

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/247

1968



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PELIKAN : **KONIEC MAŁEJ STABILIZACJI**

J. MACKIEWICZ : **BIESIADA W TARANKOWICZACH**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **UPIORY REWOLUCJI**

**KRONIKA WYDARZEŃ W POLSCE
I W CZECHOSŁOWACJI**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Zapise wczesnym rankiem</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	5
Józef Mackiewicz:	<i>Biesiada w Tarankowiczach</i>	16
Adam Czerniawski:	<i>Akt</i>	40

OBSERWATORIUM

Józef Czapski:	<i>„Biej Żidow, spaszaj Rassiju”</i>	47
K. A. Jeleński:	<i>„Hańba” czy wstyd?</i>	51
Danuta Mostwin:	<i>Czy Martin Luther King zwycięży?</i> ..	55

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Imperializm — globalizm — współpraca</i>	59
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	66

K R A J

Pelikan:	<i>Koniec Matej Stabilizacji</i>	74
Leopold Tyrmand:	<i>Kopanie i mówienie</i>	90
—	<i>Kronika wypadków</i>	96

P R O T E S T Y

Jiri Lederer i in.:	<i>Czechosłowacja</i>	103
—	<i>Jugosławia</i>	106
—	<i>Francja</i>	106
—	<i>Stany Zjednoczone</i>	107
Berlińczyk:	<i>Niemcy</i>	108
—	<i>Szwajcaria</i>	109

SĄSIEDZI — CZESI

Jiri Ruml:	<i>Studenci i policja</i>	110
Ludwik Veseli:	<i>„Wizy znikną wraz z drutami kolczastymi”</i>	117
—	<i>Z prasy czeskiej</i>	118

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Andrzej Chciuk:	<i>Duchowieństwo na emigracji</i>	125
-----------------	---	-----

K S I Ą Ż K I

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Upiory rewolucji</i>	135
Adam Sutkowski:	<i>„Kołody polskie”</i>	145
Jan Librach:	<i>Uczniowie Machiavella</i>	150
Józef Czapski:	<i>Lechoń i jego dziennik</i>	154
Olga Scherer:	<i>Antologia do czytania</i>	159
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	165



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	166
------------	----------------------------------	-----



A. Czerniawski, G. Herling-Grudziński, J. Kowalik:	<i>Listy do Redakcji</i>	174
	<i>25 rocznica bitwy pod Monte Cassino</i> ..	175

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1968

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

J. Agdan, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 14,70
Barbara i Stefan Falkowscy, Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. Feliksa Drabczyka	F. 45,00
Bezimiennie, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 15,00

DZIĘKUJEMY!

◆
Przypominamy o naszej Ankiecie Czytelniczej i prosimy o nadsyłanie
odpowiedzi.



Bieżący zeszyt *Kultury* zawiera 176 stron.

Zapisane wczesnym rankiem

*Wyższe argumenty na rzecz dyscypliny
zaczepnięte z przemówienia na Radzie Powszechnego Państwa
w roku 2068*

Wzywamy do dyscypliny, nie spodziewając się braw.
Ich brawa bowiem są nam niepotrzebne.
Lojalnym obywatelom zapewniamy opiekę
Nie żądając w zamian nic prócz posłuszeństwa.
Jednakowoż, zważywszy na wielość doświadczeń,
Wyrazimy nadzieję że ludzie ocenią
Jak bardzo różni się słuszność linii przez nas obranej
Od ich nierozumnych supozycji i pragnień.
Śmiało powiedzieć możemy że my a nikt inny
Uratowaliśmy ich z pustkowia sprzecznych opinii,
Na którym co prawdziwe nie ma pełnej wagi
Ponieważ równą wagę ma też nieprawdziwe.
Wywiedliśmy ich stamtąd, z tej jałowej ziemi,
Gdzie każdy z nich, sam na sam ze swoją niewiedzą,
Medytował nad sensem i bezsensem świata.
Podobnie jak ich Wolność to jest nagość kobiet
Chleb nie smakował im bo dość go było w piekarni.
Pod nazwą Sztuki chronili dziwactwa swojej nudy
I strach codzienny mijającego czasu.
My, nikt inny, odkryliśmy Prawo Zaciemnienia,
Rozumiejąc że umysł zostawiony samemu sobie
Sięga po rzecz ostateczną, nie na jego miarę.
My, nikt inny, odkryliśmy Prawo Zmniejszonych Celów,
Ubóstwo i gorycz albowiem są koniecznym warunkiem szczęścia.
I kiedy dziś, szaleni, złorzeczą zakazom

Już boją się że mogłyby zniknąć zakazy.
Zakaz pozwala im marzyć o sobie większych niż są,
Aniołach, gigantach być może, siłą wstrzymanych w rozpędzie.
Ich prawda, a wiedzą to, prawdą bywa tylko wbrew naszej,
Czy też wbrew naszym kłamstwom, co przyjmujemy z humorem.
Kraj pieczonych gołąbków nęci ich i odpycha.
Spotkaliby tam tylko nicość, inaczej: siebie.
Niech więc będzie wyraźnie i jasno stwierdzone.
Rządy nasze, choć twarde, nie są bez ich zgody.
Gdyż według nowych danych większość z nich szepcze we śnie:
Błogosławione niech będą cenzura i niedostatek.

Czesław MIŁOSZ

Fragment z dziennika

21. II. 68

Rosa

Krągłość

Gab

W okrągłościach Rosy gabinetu

Wieloiemienny

Nieślubny

Poczęty

I krąży, okrąża i wczoraj także panią Leonce pytał, czy

Krągł

Gab

Krągłrogabsaośćwokrrogab

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX VI. ARGENTYNA

Gombrowicz: — Po *Ferdydurke* przerwa w moim pisaniu, lat dziesięć. Dopiero w 1947-ym pojawił się *Slub*.

Roux: — Te dziesięć lat, to dwa lata przedwojnia w Polsce, a potem wojna i Argentyna.

G.: — Tak. Na miesiąc przed wojną wyruszyłem do Argentyny, gdzie było mi sądzone przeżyć dwadzieścia trzy lata.

Jak mi się wydarzyła ta Argentyna? Czysty przypadek (przypadek?). Spotykam się w kawiarni Zodiak w Warszawie z pisarzem w moim wieku, Czesławem Straszewiczem. Mówi: — Jadę do Ameryki Południowej. — Jak to? — Za miesiąc wypływa do Buenos Aires nowy transatlantyk polski, Chrobry, to jego

pierwsza podróż. Zaproszono mnie, jako literata, żebym coś o tym napisał do gazet. — Co pan mówi, to może i mnie by zaprosili? — Niech pan spróbuje, proponuję im, może się uda. We dwóch będzie przyjemniej.

Udało się. Zdarza mi się czasem czytać w prasie, że „uciekłem” przed wojną do Argentyny. Nic podobnego. Tak beztrósko przygotowywałem się do tej podróży, iż tylko przypadkowi (przypadkowi?) zawdzięczam, że nie zostałem w Polsce.

Ostatniego dnia przed wyjazdem zachodzę do kawiarni, już gotów do drogi, ze wszystkimi dokumentami w porządku. Ale ktoś mi mówi: — A ma pan zezwolenie władz wojskowych? — Mam paszport zagraniczny, złożyłem wszystkie zaświadczenia z wojska, bez tego nie wydają paszportu. — To nie wystarczy! Trzeba mieć jeszcze specjalne, dodatkowe, zezwolenie władz wojskowych; to czysta formalność, ale bez tego nie wpuszczą pana na statek.

Patrzę na zegarek. Siódma za dwadzieścia. Urząd wojskowy zamykają o siódmej. Łapię taksówkę, pędzę, wbiegam po schodach na czwarte piętro. Za późno! Drzwi zamknięte. Trzy minuty po siódmej. Dobijam się. Woźny.

— Biuro już nieczynne. Proszę nie robić hałasu.

Drzwi się zamykają. Żegnaj, Ameryko! Zaczynam schodzić melancholijnie, gdy wtem tupot. To drużyna footballowa, która miała jechać na mecz międzynarodowy do Danii. Też się spóźnili. Znow walenie do drzwi. Tym razem woźny nas wpuścił i tytułem specjalnej łaski poprzybijano nam odpowiednią pieczętkę.

Jak pan widzi, moje dwadzieścia trzy lata Argentyny to była kwestia paru minut.

R.: — I pan myśli, że to nie był przypadek?

G.: — Cała ta historia z wyjazdem to było, wie pan, jakby jakaś ręka olbrzymia wzięła mnie za kołnierz, wyjęła z Polski i przeniosła do tego lądu, zgubionego w oceanie, a jednak europejskiego... akurat na miesiąc przed wybuchem wojny.

R.: — A dlaczego Ręka nie osadziła pana w Zachodniej Europie?

G.: — Gdyż to skończyłoby się wcześniej, czy później, na Paryżu. Gdybym nie opuścił Europy, prawie na pewno zamieszkałbym po wojnie w Paryżu. A tego Ręka najwidoczniej sobie nie życzyła.

R.: — Dlaczego?

G.: — Albowiem Paryż zamieniłby mnie *à la longue* w paryżanina. A ja miałem być antyparyżaninem. Nie byłem jeszcze wówczas dość odporny. Moim przeznaczeniem było pozostać jeszcze długie lata na peryferiach Europy, z dala od jej stolic i z dala od mechanizmów literackich, pisać „do szuflady”, jak się dziś

mówi w Polsce. Niech pan spojrzysz na mapę. Z trudnością można by wybrać lepsze miejsce, niż Buenos Aires. Argentyna to kraj europejski, tu się czuje silnie Europę, silniej niż w samej Europie, a jednocześnie jest się poza nią — i w tej ojczyźnie krów nie ceni się literatury. To też mi było potrzebne. Dystans do Europy i dystans do literatury.

Magia. Kształt, jakby zaprojektowany, życia. Im bardziej jest się poza formą, tym bardziej jest się w jej mocy. Zagadkowe przeciwieństwa, niedocieczone kontrasty.

R.: — Jak się ułożyło życie pana w Argentynie?

G.: — Dobiliśmy do Buenos Aires 22 (dwójka to moja cyfra) sierpnia 1939 (suma cyfr 22), po trzytygodniowej, lekkomyślnej, podróży. Sytuacja międzynarodowa miała tendencję do odprężenia. Następnego dnia po naszym wyładowaniu świat został spiorunowany telegramami z Moskwy i Berlina, obwieszczającymi niemiecko-rosyjski pakt o nieagresji. Wojna! Jakoż po upływie tygodnia pierwsze bomby niemieckie spadły na Warszawę.

Wciąż mieszkalem na statku wraz z moim towarzyszem, Straszewiczem. Na wiadomość o wybuchu wojny, kapitan postanowił wracać do Anglii (do Polski już nie można było się przedostać). Zrobiliśmy radę wojenną ze Straszewiczem. On zdecydował się płynąć do Anglii. Ja zostałem w Argentynie.

R.: — W powieści *Trans-Atlantyk*, jeszcze nie wydanej po francusku, opisuje pan te momenty. I przedstawia pan siebie, jako dezertera.

G.: — Nie była to żadna dezercja, gdyż Polska tak czy owak była już niedostępna. Zameldowałem się w poselstwie polskim w Buenos Aires zaraz po opuszczeniu statku, a potem, gdy w Anglii poczęto formować wojsko polskie, stanąłem w stroju adamowym przed komisją poborową poselstwa... dość, że pod względem formalnym byłem najzupełniej w porządku. Przedstawiłem siebie w *Trans-Atlantyku* jako dezertera, ponieważ w sensie duchowym byłem dezerterskim. Co tu gadać, byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem.

Opisałem te początki argentyńskiej egzystencji po trosze w *Dzienniku* (tom I, rozdz. VII). Dwieście dolarów, cała moja fortuna, wystarczyły mi prawie na sześć miesięcy. Argentyna była wtedy krajem wyjątkowo tanim. Mieszkalem po studencku w podrzędnych hotelikach, pomagali mi niektórzy Polacy, zacząłem trochę pisywać do gazet — anonimowo, felietony przeważnie — przez jakiś okres miałem bardzo skąpy zasiłek z naszego poselstwa. To wszystko nie wystarczało, nigdy nie wiedziałem z czego będę żyć za miesiąc, a nieraz musiałem pożyczać kilka pezów na obiad. Tak trwało aż do roku 1947, odrobinę gorzej, odrobinę

lepiej, zależnie od okoliczności. Następny okres, to była siedmioletnia praca w Banco Polaco. To było znacznie nudniejsze. Ale smak gorzki, tragiczny, poetyczny, pierwszego siedmioletnia nie łatwo we mnie się zatrze.

R.: — Jak odczuł pan wojnę?

G.: — O tym za chwilę. Jeszcze kilka słów o tych moich argentyńskich inicjacjach. To się nie da opowiedzieć... a jednak nie można tego pominąć... Mieszkałem, jak się rzekło, w najtańszych hotelikach, czasem w tak zwanych *conventillos*, wielkomiejskich ruderach, zapchanych biedotą. Z jakąś pasją rzuciłem się w niższość, ja, pan Gombrowicz! Odmłodniałem nagle i gwałtownie pod względem psychicznym i fizycznym, na ulicy mówiono mi *joven*, jakbym nie miał dwudziestu pięciu lat. Nigdy nie byłem bardziej poetą, niż wtedy, na przepętnionych, gorących, ulicach, doszczętnie zgubiony (zgubiony w tłumie, ale i w tym co dotyczyło losu mego). Rój, mrowisko, korowód, światła, szum olbrzymi, wyziewy, a moja bieda była rozkoszą, upadek mój był wzlotem. Wsiąłem w to wielojęzyczne koczowisko bez wahania, gładko, byłem jednym z nich. A moi przygodni towarzysze, z którymi przyjaźń powierzchowna i nieobowiązująca przechodziła mi w sposób zdumiewająco naturalny (tę naturalność odkryłem w sobie, ja, sztuczny, jak skarb najcenniejszy, łaskę, wypoczynek, wyzwolenie) pomagali mi, jak mogli. Kiedyś spacerując z jednym z nich po ulicy Corrientes i gapiąc się na wystawę (co za zaszczyt dla pana Gombrowicza!) powiedziałem, że jeść mi się chce (co za zaszczyt!). — Nic, powiedział, nie przejmuj się, mam trupa, starczy dla dwóch. Wsiadliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na przedmieście, do jakiegoś domku w dzielnicy robotniczej, gdzie rzeczywiście nieboszczyk, nie wiem już jakiej nacji, leżał w trumnie, obłożony kwiatami, a rodzina, krewni i znajomi żegnali go w żałobnym milczeniu. Pomodliwszy się przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie był poczęstunek dla żałobniaków, bufet, kanapki, wino, jedliśmy i opowiadał, że nie raz wyszukuje sobie trupów w tym *barrio*, że najlepiej dowiedzieć się od kościelnego.

To młode, nieskończenie eleganckie, jedzenie trupa urosło mi do jakiegoś bardzo głębokiego symbolu owych czasów... to zajadanie trupa z młodym, świetnym, apetytem... do którego ja przecież, w moim wieku, już nie miałem prawa... I cała ta moja „naturalność”, to była w końcu tylko sztuczność i gra... ale gra najdonioślejsza, najwspanialsza, jaką mogłem wieść ze sobą samym. Dzięki temu paradoksalnemu rozmiłowaniu w upadku przetrwałem wojnę i nędzę zwycięsko. I dziś nie doświadczam wyrzutów sumienia, iż wówczas klęska, nieszczęście moje, czy bliskich, czy połowy świata, stało mi się pomostem do czegoś w rodzaju gorz-

kiej, przeklętej, rozkoszy, nie, ja jakoś miałem do tego prawo... Ale burżuazyjna ostrożność mnie nie opuszczała i nigdy nie dałem się wciągnąć w przedsięwzięcia bardziej ryzykowne. Kilka razy *cana* (policja) mnie przyskrzynała, ale nie na długo i bardziej wskutek sprawek moich przyjaciół, niż za własne przewiny.

A oto inny obrazek, który też pozostał mi, niczym symbol... W marcu czterdziestego drugiego roku właściciel mego hoteliku zbyt już energicznie zaczął domagać się zapłaty sześciomiesięcznej zaległości i trzeba było wiać. Opuściłem hotel w nocy, a mój sąsiad, wielkoduszny don Antonio, podawał mi przez okno walizki. Umieściwszy je w kawiarence, zasiadłem przy stoliku i nie wiedziałem co robić, gdyż wszystkie kredyty były wyczerpane. Wtem słyszę „co pan tu robi?”. Był to Polak, od dawna już przebywający w Argentynie, dziennikarz nazwiskiem Taworski.

Powiedziałem mu, co i jak. — Wie pan co, powiedział, ja mam teraz wspólników-kapitalistów, wynajęliśmy willę pod Buenos Aires, w Morón, żeby uruchomić warsztat włókienniczy, może pan tam mieszkać. Willa rzeczywiście była ładna, pięć pokoi w ogrodzie, co prawda zupełnie pustych, Taworski spał na jednym łóżku, a ja na stosie gazet. Na wstępie uprzedził mnie tajemniczo: jakby ktoś do mieszkania wlaził, choćby przez okno, choćby nocą, niech pan broń Boże się nie rusza i znaku życia nie daje.

Kilka nocy przespałem spokojnie na moich gazetach; w końcu, około trzeciej nad ranem budzą mnie szelesty i widzę dwóch drabów, wykręcających lampki i korki od elektryczności. Ani drgnąłem. Znikli. Jak się okazało, byli to wspólnicy Taworskiego, którzy nie mogąc się na nim zemścić, ani wyrzucić go z willi, nachodzili go w nocy by wyrządzić mu wszystkie możliwe świństwa. A znów Taworski będąc już skazany na więzienie z zawieszeniem za jakąś tam sprawkę, nie śmiał pisać — o czym oni dobrze wiedzieli. I te najścia ponocne, okrutne i pijane (bo przeważnie byli pod gazem), i ta bezbronność nasza, też mi urastają do wyżyn patetycznego znaku o niewysłowionym znaczeniu.

Spędziłem w tej willi, obdieranej stopniowo ze wszystkiego, ze sześć miesięcy. Taworski, człek zacny, opiekował się mną jak ojciec, jadaliliśmy wyłącznie prawie wędzonkę i kukurydzę, które pitraśił na cały tydzień. Cieszyłem się w Morón wielką popularnością, zarówno w „piceryji”, jak w kawiarni, gdzie był bilard i szachy. Litr mleka wypijałem codziennie z chlebem, w słońcu, siedząc na murawie i przyglądając się ulicy. W piceryji zaprzyjaźniony ze mną „moso” dawał mi sandwicza za 20 centów, ale szynkę kroił poczwórnej grubości, był to prawie befszytk.

Naraz w literackim dodatku do dziennika *La Nación*, cieszącego się wielkim poważaniem, ukazuje się na pierwszej stronie

mój artykuł. Od tej chwili moja sytuacja towarzyska w Morón uległa likwidacji, zaczęto odnosić się do mnie z szacunkiem.

R.: — To życie nie musiało być jednak takie łatwe.

G.: — Mnie podtrzymywała katastrofa. Katastrofa moja, Polski, Europy.

R.: — Ale jednocześnie pan działał na innym, wyższym, poziomie.

G.: — Tak.

R.: — Jakie były stosunki pana z argentyńskim światem literackim?

G.: — Bardzo luźne. Z początku zrobiłem pewien wysiłek żeby nawiązać z nimi kontakt, szczerze mówiąc raczej ze względów praktycznych, ale wkrótce dałem temu pokój. Byłem dla nich zjawiskiem za trudnym. Naprzód dlatego, że moje rzeczy nie tłumaczone na żadne języki, były im zupełnie niedostępne. I dlatego, że byłem nieznany w Paryżu. I dlatego, że w pierwszych latach kiepsko mówiłem po hiszpańsku. I dlatego wreszcie, że pod względem osobistym byłem dla nich za mało konwencjonalny, gdybym umiał się zdobyć na rozmowy o „nowych wartościach literackich” w Polsce, lub we Francji, albo o wpływie Mallarmégo na Valérego, może by mi się lepiej z nimi wiodło.

R.: — A Wiktor Ocampo?

G.: — Nie chciałbym powtarzać tego, co już napisałem w moim dzienniku (tom I). Jeśli uzyskałem nieco sławy w Argentynie, to nie jako autor, ale jako jedyny zagraniczny literat, który nie odbył pielgrzymki do pani Ocampo. Ale byłem pewny, że zarówno moje poglądy, jak mój sposób bycia i moje utwory, byłyby dla niej zbyt zaskakujące. Co się tyczy utworów, to ukazanie się *Ferdydurke* w Argentynie potwierdziło te moje przypuszczenia, gdyż miesięcznik *Sur*, przez nią wydawany, był chyba jedynym pismem literackim, które nie zauważyło tej książki.

R.: — A Borges?

G.: — Borges i ja, to przeciwieństwa. On jest osadzony w literaturze, a ja w życiu, jestem właściwie antyliteracki. Być może, iż wskutek tego właśnie moje zbliżenie z Borgesem mogłoby okazać się płodne, ale trudności techniczne stanęły na przeszkodzie. Spotkałem się z nim raz, czy dwa, i na tym się skończyło. Borges miał już wtedy swoją kapliczkę nader czołobitną, on mówił, oni słuchali. To co mówił wówczas nie wydało mi się najlepszej jakości, to było za ciasne, za literackie, jakieś paradoksy, *bons mots*, smaczki, gatunek, słowem, którego wybitnie nie lubię. Jego inteligencja wcale mnie nie olśniła, dopiero dużo później, gdym zapoznał się z jego utworami ściśle artystycznymi (opowiadania) musiałem mu przyznać wybitną przenikliwość umysłu i ducha. Ale Borges „mówiony”, ten Borges z rozmów, wywiadów, od-

czytów, a także ten z esejów i krytyk, był dla mnie zawsze ciasny, nie głęboki, z kiepską epatujący. Nieraz cytowano mi w Argentynie jakieś „znakomite” wypowiedzi Borgesa i za każdym razem byłem rozczarowany, była to literatura, i tylko literatura, i nawet nie z tych najlepszych.

R.: — Jak pan sobie tłumaczy tę, tak jaskrawą różnicę, pomiędzy jego sztuką, a tymi innymi jego wypowiedziami?

G.: — Mam co do tego swoją teorię. Moim zdaniem, niedość bierze się pod uwagę ślepotę Borgesa. Ona to umożliwiła mu owo wielkie skupienie wewnętrzne, z którego urodziły się dzieła artystyczne wysokiej jakości. Ale ona również skazała go na egzystencję w pewnym, nader ograniczonym, kółku ludzi-literatów, z których żaden nie miał dostatecznego formatu żeby mu się przeciwstawić, gdzie karmiono go mdłą admiracją i stowarzyszano się z nim w coraz bardziej misternych arabeskach myślowych, w tej jego pseudo-erudycji (każda erudycja jest i musi być pseudo; Borges-erudyta jest straszliwym ignorantem, ale jest też niezbyt inteligentny, ponieważ erudycja z istoty swojej jest nieinteligentna). W rezultacie Borges stawiał się w ślepotcie coraz głębszy, a na zewnątrz, z ludźmi, coraz płytszy. Był to rozwój jak najbardziej godny szacunku zważywszy, iż człowiek dotknięty ślepotą nie może żyć życiem normalnym. Ale uważam za błąd ze strony jego wielbicieli, że nie rozróżniają między tymi dwoma Borgesami i z równym namaszczeniem traktują jego inteligencję i jego nieinteligencję. Nieinteligencję, przejawiającą się równie dobrze w wydziubywaniu maniackim trzeciorzędnych okrucichów literackich, co w takiej na przykład rewelacji: „Co pan sądzi o pojedynku? Ja jestem całkowicie mu przeciwny, jeśli zachodzi jakieś nieporozumienie między dwoma osobami, to ono, moim zdaniem, nie ma nic wspólnego ze szpadami, lub ze śmiercią jednej z nich”. („Entretiens avec Borges”).

R.: — Można by tu wysunąć jeden zarzut. Gdyby pewne ograniczenia, naiwności, czy dziwactwa umysłowe Borgesa miały być wynikiem ślepoty, to w dobie kiedy jeszcze wzrok jego nie był zbyt osłabiony, byłby od nich wolny; a tymczasem Borges w pierwszym okresie swojej twórczości był mniej oryginalny i bardziej chyba uwikłany w estetyzmach. Zarówno w tym, co pisał, jak w tym, co mówił.

G.: — Ma pan rację. Może więc należałoby powiedzieć, że ślepotą nie pozwoliła mu przezwyciężyć na terenie dyskursywnym i w życiu tego, co przezwyciężył dzięki niej na terenie sztuki. Nie wiem...

R.: — A jednak o jego sztuce wyraził się pan dość surowo. W jednym z rozdziałów pańskiego dziennika, drukowanych w

Les Lettres Nouvelles, nazwał ją pan „cienką zupką dla literatów”.

G.: — Wyraziłem się niezręcznie. Mam wielki szacunek dla niego, jako dla artysty. Ale drażni mnie jego zdolność przyciągania erudytów, estetów, cyzelatorów, pięknoduchów, smakoszków, bibliofilów, profesorów, glosatorów, i innych sybarytów i specjalistów. W nich celowałem moją „cienką zupką”, a nie w niego.

Miałem sposobność poznać kilku admiratorów z jego najbliższego otoczenia, nie zadziwili mnie nadmiarem inteligencji, ani energii duchowej. I nic dziwnego, że niewiele zrozumieli z *Ferdydurke*, która wówczas ukazała się po hiszpańsku. Ale, gdyby nawet ci akolici Borgesa potrafili coś niecoś przekazać z niej Borgesowi (który sam nie jest w stanie czytać książek) niewiele by to pomogło. Ten człowiek w samotności swojej szczyry i głęboko ludzki, boi się ludzi w codziennym obcowaniu, drży o siebie, jego nieśmiałość, jego wydelikacenie arystokratyczne zmuszają go do nieszczerości, do polityki. Jego rzekoma skromność jest pancerzem jego arystokratycznej wyniosłości. Skromny sir Jerzy Borges, *knight of the British Empire, commandeur del Lettres et des Arts, caballero de la Orden del Sol*, kawaler orderu *La Madonnina* etc. z trudnością chyba znalazłby wspólny język z niejakim zarozumiałym Gombrowiczem *tout court*.

R.: — A jak ułożyło się panu współzycie z innymi literatami argentyńskimi?

G.: — Nijak. Właściwie o jakim takim współzyciu mogła być mowa dopiero po ukazaniu się *Ferdydurke*, gdy już miałem za sobą siedem lat Argentyny. Ale wtedy już przyzwyczałem się do mego anonimatu i raczej bimbałem sobie na środowiska literackie, byłem niezależny, swobodny, kapryśny i prowokacyjny. Przyzwyczałem się, że nikt mnie nie brał na serio i nikogo nie brałem na serio. Zresztą utwór, jak *Ferdydurke*, musiałby być naprzód zatwierdzony przez Paryż, bez tego oni nie mogli mnie uznać. Wypuściliśmy ten potężny pamflet, ja i grupa młodych literatów, którzy współpracowali w przekładzie, w nastroju raczej figlarnym. *Ferdydurke* znalazła sobie pewną ilość entuzjastów, głównie wśród młodych, miała też sporo recenzji w prasie, ale wszystko w końcu rozeszło się po kościach. W tym czasie rozpocząłem pracę w Banco Polaco, więc ostatni motyw, jaki mógł mnie łączyć z literaturą argentyńską, mianowicie perspektywa załapania tu i ówdzie jakiejś pożyczki, odpadł.

R.: — Czy oni pomagali panu czasem w pańskich tarapatkach finansowych?

G.: — Opowiadano mi, iż nie tak dawno attaché ambasady argentyńskiej w Paryżu miał się wyrazić do attaché ambasady polskiej: „Gombrowicz jadł nasz chleb przez ćwierć wieku, a te-

raz wygaduje na Argentynę". Nieprawda. Nie wygaduję na Argentynę, tylko co najwyżej — troszkę — na burżuazję argentyńską, to nie jest to samo. A po wtóre, chleb mój argentyński pochodził z zagranicy, naprzód trochę Polacy mi pomagali, potem Banco Polaco mi płaciło, a wreszcie żyłem z moich zagranicznych wydań. O ile pamiętam, raz jeden pewien argentyński literat-milioner obiecał mi zostawić w kopercie trzysta pezów na wyjazd do Cordoby, w góry, żebym się podreperował, bo byłem po grypie. Zostawił kopertę, ale znalazłem w niej tylko 150 pezów.

R.: — A gdy w końcu został pan odkryty w Europie? Czy nastroje się zmieniły? Czy można mówić o czymś w rodzaju lekkiej konsternacji?

G.: — Nic podobnego. Przede wszystkim nie dowierzano tym pogłoskom. Na rok przed opuszczeniem Argentyny — a więc w pięć lat mniej więcej po wydaniu *Ferdydurke* w Paryżu, kiedy tłumaczono mnie już na większość języków europejskich — spotkałem przypadkiem na ulicy poetę Jorge Calvetti, który współpracował z najpoważniejszym dziennikiem *La Prensa*. Opowiedziałem mu o moich sukcesach i Calvetti wykropił wywiad ze mną na ten temat, na dwie szpalty. Otóż inny współpracownik tego dziennika, literat Manuel Peyrou, przyjaciel Borges, spotkawszy się z Calvettem w redakcji, zarzucił mu w tonie gwałtownym, iż dał się nabrać moim kłamstwom. Zrobiła się awantura i Calvetti poszedł na skargę do naczelnego redaktora. Na szczęście przebywał wówczas w Buenos Aires Władimir Weidlé, znany krytyk z Paryża, którego książki miały w Argentynie spory oddźwięk. Naczelnny redaktor zaproponował Calvettiemu by sprawdził u niego swoje informacje i Weidlé zawyrokował, iż rzeczywiście jestem znanym i poważanym pisarzem w Europie, co zostało ogłoszone w *La Prensa*. Podobno starcie pomiędzy Calvettem a Peyrou było tak gwałtowne, iż jednego z nich wsadzono do windy unieruchamiając ją między piętrami, w obawie by nie doszło do rękoczynów. *Si non e vero...*

Cóż ich mogło właściwie obchodzić, że cudzoziemiec wśród nich dłuższy czas zamieszkały, zawsze niewidoczny, którego nigdy nie spotykali na swoich herbatkach, galach, recepcjach, się wybił? Ze mnie, istoty zawsze prywatnej, żaden naród nie może mieć pociechy, jestem *outsider*. Nie byłem członkiem ich drużyny literackiej w międzynarodowym meczu.

Chcę jeszcze dodać: owszem, znalazłem jednak życzliwych, uczynnych, przyjaciół. Virgilio Piniera, Kubańczyk dziś wybitny, i Humberto Rodriguez Tomeu, drugi Kubańczyk, wiele dla mnie zrobili, im przede wszystkim zawdzięczam przekład *Ferdydurke* na hiszpański. Cecylia Debenedetti, Alejandro Russovich, Jorge Calvetti, Adolfo de Obieta, Roger Pla, oto niektóre z nazwisk,

zapisanych przeze mnie, jak mówi król w Hamlecie „do księgi, którą codzień odczytuje”.

R.: — Teraz lepiej widzę pana w Argentynie.

G.: — To są anegdoty... żeby dać atmosferę...

R.: — I bez przerwy pan pisał?

G.: — Och, nie. Przez całą wojnę nie napisałem ani słowa, oprócz felietoników do gazet, dla zarobku, pod pseudonimem, oraz kilku artykułów w *La Nacion*. Niepodobieństwem było pisać nie wiedząc z czego będę żył za miesiąc. Dorywczo, w krótkich okresach względnej stabilizacji, szkicowałem dramat *Slub*, ale dopiero po wojnie go wykończyłem.

Wojna to były wakacje...

R.: — Wakacje, niech pan się przyzna, nie pozbawione momentów okropnego załamania w tej samotności i poniżeniu, za wodą olbrzymią.

G.: — Tak, gdy czasami humor wisielczy mnie opuszczał... Tak, to było jednak męczące, straszne, rozpaczliwe. Wojna zdruzgotała mi rodzinę, pozycję społeczną, ojczyznę, przyszłość, niczego nie miałem, niczym nie byłem... A jednak. A jednak Argentyna... Jaki wypoczynek! Jakie wyzwolenie! O pierwszych moich, najcięższych, latach w Argentynie, mógłbym powiedzieć za Mickiewiczem:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu

Ja tylko jedną miałem taką wiosnę w życiu...

Tylko, że on odnosił te słowa do roku 1812, gdy Napoleon w pochodzie na Rosję wyzwolił, na jak krótko, Polskę. A ja mam na myśli czas, gdy wraz z upadkiem Polski i wybuchem wojny światowej pękło mi wszystko, wszystek ład jakim żyłem dotychczas.

Forma się rozluźniła!

Wyjątkowa sposobność! Błogosławiona okazja, jedyna! Widi pan, ci co brali udział w wojnie natychmiast znaleźli się w nowych, tak to nazwę, formacjach — bardziej sztywnych jeszcze — w wojsku, w służbie, w akcji. A mnie wojna zanurzyła w odmet, który był szumem, oszołomieniem, tymczasowością i prawie nicością. Sam. Dowolny. Zgubiony.

Wiedziałem dobrze, to była sposobność, którą mnie los obdarował, abym mógł na koniec zbliżyć się do największych moich świętości, do tego co określam czasem jako „niższość”, albo jako „dół”, albo jako „świeżość, prostotę”, albo „niedojrzałość”, lub „ciemny, nienazwany żywioł” — te nazwy nie wyrażają ani w przybliżeniu natury owego sekretu, tej mety niejasnej, której moje książki nie potrafiły dobrze odkryć i wyrazić. W każdym razie byłem o krok od głównego ołtarza tego mojego nieosiągal-

nego kościoła — i skoczyłem w odmet, jak ktoś komu pić się chce! Nie, Bogiem a prawdą, nie były to wakacje, ani wypoczynek. Jeśli bieda, upokorzenie, wojna, klęska, samotność, niepewność, buty dziurawe, zimno, pluskwy, tysiące przykrości i nędznych kłopotów, jeśli to wszystko stało się wprost niczym, to ponieważ nigdy nie czułem się bliższy piękności, pewnej szczególnej piękności — i wtedy oddawałem się szalonej nadziei, że tę piękność będę mógł sobie przyswoić, że ona stanie się moją...

Tak, miewałem tygodnie całe, ja, trzeźwy, takiego pijaństwa poezją, że zdawało mi się iż już sam nią jestem!

Fatamorgana... Nie, jakie tam wakacje! Uciążliwa i dręcząca praca... bo, żeby zbliżyć się do prostoty i naturalności musiałem nakładać maski i to była chytrłość, przebiegłość, zgrzyty, fałsze, przecież mówię, że nie zdołałem niczego osiągnąć, a tylko zdobyłem pewne przybliżenie... przybliżenie, które bardziej wyjaskrawiało mą sztuczność! Biedny pajac! Bliski czterdziestki, wiodłem życie dwudziestolatka i poniekąd byłem dwudziestolatkiem — w obliczu katastrofy światowej — to jedno wystarczy, by uzmysłwić karkołomność mego przedsięwzięcia.

Nie wiem. Żądania naszego „ja” są nieposkromione, są tak potężne, iż czasem skłonny byłbym uwierzyć, że to trzęsienie świata po to tylko było, iżbym znalazł się w Argentynie i mógł zanurzyć się z powrotem w młodości mojego życia, której nie umiałem w swoim czasie doznać i wyzyskać. Po to była wojna i Argentyna i Buenos Aires.

25. II. 68

*Okrążający syn nieślubny
Nieślubność krągła syna!
Gabinet Rosy okrągły
W którym napoczął się syn!*

Sprzedam! Sprzedam! Sprzedam!

Sprzedam za bezcen willę z jej amfiladą, z solidnymi werandami i panoramami w sosnowym lesie i z okrągłym gabinetem pracy!

Sprzedam syna i Rosę z przyległościami-okrągłościami...

WILLA DO SPRZEDANIA ZARAZ BARDZO DOGODNE
WARUNKI

TEL. 36-850-1 od 15 do 17 ppoł.

Witold GOMBROWICZ

Biesiada w Tarankowiczach

Przede wszystkim trzeba się było zorientować gdzie są? Mapa nic nie mówiła. Odskokczywszy od miejsca lądowania, zdecydował Nikitin wysłać dwóch ludzi do wsi pod lasem. Kazał zejść do skrajnej chaty; z resztą, w zaroślach ukryci, stanowić mieli osłonę. We wsi tej czekał pojedynczy pies. Ludzi nie było widać.

— Dederko! Weźmiesz Waškę, i ostrożnie... Granat masz?

— F-1.

— Weź ode mnie „RGD” z uchwytem, jeszcze. W razie czego, rzucasz, i zadami.

Dederko wrócił. Przyniósł świeżego chleba bochenek.

— Ależ ty pomyśl sobie, co za... mać ich, mać... No, czy nie ostatnie kurwy! Ty wiesz, gdzie oni nas zrzucili?! Rozpytałem dokładnie. To Czasznicki rejon! Między Dźwiną i Berezyną. To będzie chyba kilkaset kilometrów za krótko. Mołodeczno to aż za starą polską granicą.

Nikitin sprawdził mapę. Mapa nawet nie sięgała. — „Zębami nie zgrzytać, a rwać” — pomyślał. — „Wieczny bałagan, wieczne niedociągnięcia, niepowiązanie”. Ale niczego z tych myśli nie wypowiedział.

— Jak to wszystko trzyma się jeszcze... — mruknął Dederko.

— Ty o czym-to? — Podniósł na niego wzrok znad mapy Nikitin.

Dederko machnął ręką w zniechęceniu.

XXIII

Bitwa nastąpiła nie od razu. Przedtem zaczęła się zmiana pogody.

Nie ma słów, które by potrafiły oddać wiatr południowy, wiejący wśród zimy na północy. Są w nim wszystkie nadzieje i wszystkie pragnienia umęczonego mrozem pejzażu. Nie zestawić z żadnym innym wrażeniem węchowym na świecie, tego pomieszania wiosny z korą drzewną, szumu gałęzi z mokrym śniegiem, odwilży z tlenem; postrzępione wilczymi zębami chmury, biegną nad postrzępionym lasem; raptem przebłysk żółtego pasa na horyzoncie, gdzie niebo łączy się z krańcem błot. — „Kouk-ok-ok!” zerwały się białoskrzydłe pardwy. Bóg wie co jeszcze: w środku zimy zdają się raptem pęcznić koronki brzoź. Ślad rysia na śniegu odcisnięty jest na pokaz, jakby chciał się pochwalić: „ot, spojrzcie, jaką mam śliczną łapę!” Wszystko to bardzo nieuchwytnie, zmienne i złudne. Tylko pierwszego dnia rozdyma pierś pełnym oddechem. Na trzeci, może się obrócić przeciwko człowiekowi. Ale człowiekowi zawsze jest źle na świecie, i w lesie, i w mieście, i w czas pokoju, i w czas wojny.

Szli wtedy tropami łosiej ścieżki, nie obchodząc ani zamarzniętych błot, ani rzek pod lodem. I śnieg, który mięknął pod butami, nie stawał się przez to łatwiejszy do przebycia.

Zadaniem grupy Nikitina było dokonanie sabotażu wokół węzła kolejowego Mołodeczno; następnie przesunięcie możliwie na zachód w tereny dotychczas jeszcze nie osiągnięte przez bezpośrednią dywersję sowiecką; dokonanie w tamtych rejonach pokazowych aktów karzącej ręki Związku Sowieckiego, oraz rozpoznanie, kontakt i ocena tamtejszego podziemia antyniemieckiego. Jego grupa była elitarna. Nie miał się ani krępować, ani związywać z żadnym oddziałem partyzanckim na swej drodze. Całość zadania została przekreślona na razie wskutek wyrzucenia w fałszywym miejscu, zniknięcia reszty desantu, zaprzepaszczenia radiostacji i prawie całego ładunku. Pozostało mu sześciu ludzi nie wystarczająco wyekwipowanych, ugrzęźłych w śniegach o kilkaset kilometrów na wschód od punktu przeznaczenia. Nie mając jednak innego wyboru, postanowił posuwać się lasami na zachód. Ciągłe w nadziei, że może świeży śnieg zechce zasypać jego ślady. „Biały trop” jest najgorszym tropem w działaniach partyzanckich. A jeść trzeba, i ogrzać się też, osuszyć, od czasu do czasu.

Dederko wyspecjalizował się teraz w kontaktach z mijanymi ostrożnie wsiami. Na własną zgubę, ale to zaszło już po tej bitwie.

Wstąpił do wsi Olchowka, jak zawsze do skrajnej chaty. Zastał tam starych gospodarzy, ich synową, dwoje małych dzieci i młodego, w wieku poborowym chłopaka w sowieckiej bluzie. Synowej twarzy nie dostrzegł, bo usunęła się w cień, i zresztą pochylona przy piecu, przesuwiała tam garnki, odwrócona tyłem. Młody w bluzie siedział na ławie i przyglądał się ciekawie gościom.

wi. Naturalnie, nikt z rodziny nic nie widział, nikt z nich nic nie słyszał... To już wiadomo z góry. Tyle, że stary potwierdził, iż w ich wsi nie ma policji. — Baba wymownie spojrzała na niego.

— Nu, jak nie ma — odpowiedział na jej wzrok — to nie ma! To i dziecko wie, że nie ma. U nas policjantów nie ma.

— Policajów, — poprawił Dederko. Przysiadł się na przeciwległej ławie, automat między kolanami. — A że desant z Moskwy, pięćset ludzi, wylądował, też nie słyszeliście?

— A kto jego wie... Czy pięćset, nie słychać było, a że jakoby jacyś pojawili się, to mówili ludzie... — odpowiedział wymijająco.

— Mało teraz kto, pojawia się po lesie — dorzuciła żona.

— To-to. Prędko z Niemców oczyścim całą okolicę.

— Może być — zgodził się stary.

— Od tego wojna — westchnęła baba.

— A ty — zwrócił się Dederko do młodzieńca — kto będziesz? Okrużeniec? Gdzie karabin podział, czemu nie w partyzantce? A?

— Nie okrużeniec on, syn nasz. Starszy zagaął, ot młodą żonę zostawił z dziećmi, a młodszy syn został w domu.

— A dużo was tu? — zapytał młody.

— Ot, głupie jakie pytanie zadajesz, Ignat — odezwała się matka.

— Stara kobieta, i ta mądrzejsza od ciebie, wojaka — odparł Dederko, i spojrzał w okno, jakby oczekiwał towarzyszy. Ale wstał, zażądał tylko chleba i słoniny i wyszedł. Dali mu odrobinę, ale jakoś nie nastawał. I chata ich biedna, i cała wioseczka, kilka chałup, od razu widać, nie ma co wziąć. Czasu szkoda nawet zachodzić. Ledwo odsunął bramę na uliczkę, gdy z tyłu skrzypnęły za nim drzwi na ganku; narzucając kożuszek, ukazał się Ignat, bez czapki. Niby to zszedł obojętnie po schodkach, ale oczami dał znak.

— Przejdziem tędy, bokiem — wskazał podbródkiem — widać nie będzie. — Ja dlaczego pytał, ilu was jest. Bo sprawa jedna taka nadarza się...

I opowiedział rzecz następującą: Trzecia stąd wioska, kołchoz Mironowicze, bogata; ich Olchówka, w porównaniu, to uroczy-sko... Kilometrów osiem będzie. I tam jutro wieczorem, to znaczy na drugą noc od dziś, zapowiedziane wielkie weselisko. Predkołchoza dawny, a dziś burmistrzem u Niemców, Juchniewicz, wydaje córkę za mąż. Za naczelnika tamtejszej policji, Bodaja. Też miejscowy człowiek. Broń otrzymali, stare ruskie karabiny i opaski na rękę. Pięciu ludzi. Swoich gnębią. Samogonu, naturalnie, od kilku dni przygotowali. Popiją się, naturalnie, na weselu, w drysk. A więc plan taki: podejść w nocy, otoczyć dom, i na-

kryć wszystkich po pijanemu. A tam i skorzystać będzie można, na wieś kontrybucję nałożyć.

— Ty z „kontrybucją” poczekaj. My wyzwalać przyszli, ale nie kontrybucję nakładać.

— No, to i „wyzwolić” coś niecoś dla siebie... — podmignął chytrze.

— A ja skąd wiem, czy ty nie w pułapkę zwabiasz?

Ignat zastanowił się rzeczowo, przygryzając dolną wargę, i nagle przyszła mu myśl:

— Dawajcie, ja wam sam drogę pokażę, i razem pójdę!

— No, dawaj. Zaprowadzę ciebie do naszego dowódcy.

— To chwileczkę. Ja tylko czapkę zachwycę z domu, i coś do żarcia w kieszeń. Zaczekaj pod lasem.

Las był tuż. Kilkanaście kroków od chaty. Dederko wybrał miejsce pod świerkiem. Osłonięty krzakami, oparł się o pień i automat trzymał gotowy. Stary chlew przesłaniał z tego miejsca widok na chatę. Wkrótce usłyszał skrzypnięcie drzwi, i widocznie Ignat zbiegł z ganku. W następnej chwili drzwi skrzypnęły po raz wtóry. Młody, kobięcy głos zawołał:

— Ignat! Ignat!...

— Czego?! Odczepsie! — odrzyknął ten opryskliwie. — Ja zaraz wracam!

Nikitin długo jego badał. Ignat przyznał się wreszcie, że był w okrażeniu pod Wołkowyskiem, ale Niemcy zwolnili go do domu, w pierwszych miesiącach. Że nie zdrow był, chory. Gorączka trawiła i tak dalej. Ale naturalnie, do wiosny, jak tylko pójdzie „czarny trop”, pierwszy do partyzantów przystanie, i tak dalej.

— Ty patrz, braciszku, pójdiesz między nami. Jak tylko poczujem zasadzkę, tobie pierwszemu kulę w potylicę wsadzimy.

Ignat chciał się zakląć znakiem krzyża prawosławnego, już było złożył trzy palce i prawie uczynił zamach, ale zreflektował w ostatniej chwili, i powiedział tylko:

— Strzelajcie! Mnie pierwszego!

Nikitin rozkazał go pilnować i, nachmurzony, postanowił dokonać nocnego napadu na wieś Mironowicze. Tym bardziej, że śnieg zaczął padać.



Noc była czarna. Śnieg nie gęsty, ale padał ciągle. Bez przewodnika trudno byłoby trafić i rozpoznać się dobrze. Dom byłego przewodniczącego kołchozu stał w środku wsi. Duży, o wielkich oknach. Juchniewicz nie był kułakiem, ale „okułaczył się” —

jak określił Ignat — przy Niemcach. Przeniósł się do dawnej świetlicy, i rządził we wsi jak we własnym chlewie.

— A dużo on tych córek ma? — pytał w roztargnieniu Utielnikow.

— Jeedną tylko i ma — odpowiedział z nagłą niechęcią w głosie Ignat — Teraz zamąż wydaje...

— To policajów, mówisz, pięć?

— Czterech. Piąty ich komendant liczy się. Sobaka prawdziwa.

— A czym on sobaka?

— Sobaaaka — przeciągnął w zamyśleniu Ignat.

— Jak nazywa się?

— Bodaj, jego imię. Psu spod ogona. A teraz waaażny. Rozbogacił się na cudzej biedzie. No, to Juchniewicz i bierze jego za zięcia.

— A cóż córka, głosu nie ma swego?

— Maaa... — odparł niechętnie.

W tej chwili zaszczekał pies. Podchodzili cicho, umyślnie nie od strony lasu, lecz pod wiatr, z otwartego pola. I tak nic nie widać. Przerwali rozmowy. Przodem szedł teraz Ignat, za nim z gotowym automatem Utielnikow, trzeci Nikitin z „Mauserem” w rękę. Na końcu oddziału Dederko. Przeszli groblę, minęli mostek drewniany, wyszli w środek wsi. Dochodziła dwunasta w nocy. Ulica wsi opustoszała. Raz, że niby to nie wolno nocną porą włóczyć się, dwa że kto chciał popatrzeć na weselisko ten już napatrzył się, i poszedł spać. A stać pod zasłoniętymi oknami na wietrze i śniegu bez celu, w taką czarną noc że ręki przed oczami nie dojrzyysz, komu to ochota! Trzy, że kto był zaproszony, ten był już dawno w środku. Wyszło tylko kilku co wcześniej popiło się, coś krzyczeli, ale nikt na pijane okrzyki nie zwracał uwagi. Nawet, żeby podnieśli alarm. Na to Nikitin słusznie liczył zawczasu. Któryś przyczepił się do niego, zajrzał w twarz, domacał nawet ręki z pistoletem, i krzyknął na całe gardło:

— Partyyyzant!!

Ale Nikitin ogłuszył go uderzeniem kolby w podródek, i zwałił w śnieg pod płot. Ten harmider kilku pijanych był raczej na rękę. Tłumaczył ujadanie psów. Nikt by nawet w okno nie wyrztał na pijaków patrzeć, nawet żeby było co widać. Tylko Ignat głęboko na oczy nacisnął czapkę.

Dom Juchniewicza oświetlony był od wewnątrz, widać po szparach w zawieszonych na oknach workach. I stamtąd dochodził zwyczajny w takich okolicznościach gwar, krzyki, harmider.

Rozstawili się tak: Nikitin z towarzyszem przed gankiem; jeden spadochroniarz od ulicy, drugi od ogrodu. Utielnikow i Dederko mieli wejść do środka z automatami, skomenderować:

„ręce do góry”! i wyprowadzić pijanych bezbrznych policjantów. Był projekt zarzucić weselisko granatami przez okna, ale Nikitin sprzeciwił się: w tłumie akurat może nie trafić w policjantów; rozpełzną się gady na brzuchu — choćby i ranni. Po drugie miał zamiar uboczny: zdjąć z nich opaski policyjne, które mogłyby posłużyć w przyszłości; samych zaś rozstrzelać na podwórzu. Plan był prosty.

Stało się inaczej.

Gdy raptownym pchnięciem rozwalili drzwi, dojrzeli mnóstwo gości, i jedną dużą lampę nad stołem, a stół sięgał prawie progu, tak był rozstawiony. W mgnieniu oka gwar urwał w śmiertelną ciszę.

— Ręce do góry!!... — wrzasnął Utielnikow, kierując automat.

— Ty kto?... — znad stołu wstawał rosły, młody mężczyzna.

— Ręce do góry!!! — zacharczał Utielnikow, i poczuł że palec drgnął na spuście, że pociągnie zanim tamten uniesie się do połowy.

Ale w tejże chwili, siedzący prawie pod łokciem gość, błyskawicznym machnięciem dłoni w tył, chlusnął mu w oczy pełną szklankę samogonu! Utielnikow dał serię, ale oślepiiony zgórował, akurat po lampie. Zapadła ciemność wyzwoliła nieopisany tumult, krzyki, wizgi kobiet, kotłowanie ciał, które gotowe było ich zgnieść i pochłonać. Było za ciasno w tej izbie. Dlaczegoś nad bezkształtnym zamętem wirował rozdzierający babski dyszkant:

— Margoooooola!!...

— Nazad stąd! — syknął Utielnikow, kurczowo chwytając Dederkę. Wyskoczyli do sieni. A drzwi się zapadły. Nim domacali skobla, już padł za nimi strzał. Wyskoczyli przed dom. Tu Nikitin zajął pozycję w odległości pięciu metrów od ganku. Utielnikow i Dederko byli jeszcze oślepieni światłem. Nikitin widzi lepiej i celuje dokładnie w drzwi. W tym momencie zamajaczyła w nich postać i jednocześnie zatrząskał ogień. Strzelił on fachowo, od razu, z broni trzymanej u biodra, ale w ciemność. Nikitin natomiast miał cel przygotowany, i przeszył go serią. Zabity zwał się jak worek na próg. To był sam Juchniewicz. Teraz strzały padły z okna, jeden, drugi. Dederko cisnął granatem, który odskoczył od ramy. Ledwo zdążyli paść na ziemię gdy wybuchł blaskiem, z oghuszającym hukiem na podwórzu. Omal nie zostali porażeni własnymi odłamkami. Za chatą też padły strzały. I znowu z okien: cała seria. Znaczy nie tylko mieli stare, ruskie karabiny... — Co się działo wewnątrz domu, nie wiadomo, przypuszczalnie goście, a zwłaszcza kobiety padły na podłogę; w przerwie strzelaniny doszedł raz tylko przez wybitą szybę płacz dziecka. Chronił ich kamienny fundament, który w budowie

tego typu wystaje o 25 do 30 centymetrów ponad podłogę chaty. Osaczeni musieli wytrzeźwieć od razu, strzelali wprawdzie w ciemność, na chybił-trafił, ale broń, znaczy, każdy miał przy sobie podczas biesiady.

— Po oknach!! — krzyknął w opętaniu Nikitin. — Po gadach sobaczych! Taka ich mać!...

Zarechotały cztery automaty bijąc wzdłuż ściany. Razem z brzękiem poleciały szyb i trzaskiem rozpryskującego się drzewa, tynku, doszedł krzyk rannego... Nagle! Co to?!... — Z tyłu, za nimi, w końcu wsi, strzeliła w niebo padające śniegiem, czerwona rakieta. Zgasła natychmiast, ale stamtąd gruchnęły pojedyncze strzały.

— Na naszych tyłach... — wyszeptał zachrypłym głosem Utielnikow. — Żeby nas nie obeszli, czasem.

Wszystko na nic. Moment zaskoczenia nie udał się, przez to wszystko się nie udało. A ci z tyłu? Zasadzka? Nikitin nakazał odwrót, wprost przez opłotki i pole, do lasu.

— Biej ich! Partyzaanów! — usłyszeli dzwięczny męski głos za sobą. Ale nikt ich nie ścigał. Tylko kule gwizdały beładnie. Za słabe widocznie mieli siły. Na skraju lasu nie brakowało nikogo. O Ignacie zapomnieli nawet. Zawieruszył się gdzieś w ciemności, czy rozgardiaszu bitwy. Natomiast Dederko dostał postrzał w lewe udo. Kulał i kłął.

— W lesie opatrzysz, teraz prędzej! — Skomenderował Nikitin.

Rana była nie groźna. Kula przeszła bokiem przez mięsień i wyszła. Obandażowano mu udo dla zatamowania krwi. Iść mógł. Ktoś wyciął mu pałkę, żeby się podpierał. Ale szedł coraz gorzej, i na samym końcu. Wszyscy byli przemęczeni, głodni, przepoceni i przemokli od śniegu, który na szczęście padał i zacierał ślady. Po kilku godzinach odezwał się Utielnikow:

— Dederko odstaje...

Nikitin zatrzymał się, przepuścił koło siebie ludzi i zaczął.

— Ty, jak? — zapytał.

— Sunę, jakkolwiek, po maleńku — odpowiedział Dederko.

— Uważaj bracie — upomniął go surowo Nikitin. W ciemności nie było widać wyrazu jego twarzy.

Szli dalej gęstą knieją, trybem leśnym. Zaczęło świtać. Śnieg wciąż padał.

— Dederko odstaje — powiedział jakby w przestrzeń Utielnikow.

Nikitin zarządził odpoczynek. Powoli ze świtu występował las: gałęzie w śniegu; krzaki w białych czapach, nie poznasz nawet; olbrzymie łapy świerków ugiwały się pod ciężarem. Iść było bardzo ciężko. Ale odpocząwszy, poszli. Nikitin z kompasem.

Utielnikow, który pilnował z tyłu ludzi, z trudem doczłapał do Nikitina:

— Dederko odstaje zupełnie.

— Prowadź — odpowiedział mu, a sam zawrócił.

Sto kroków w tyle siedział Dederko w śniegu. Na widok zbliżającego się, natychmiast się poderwał, ale zakołysał na nogach.

— Ty, co? Nie możesz iść?

— Trudnowato jakoś... Trudno zupełnie. Może odpocznę chwilczkę, a tam dogonię...

— Ty wiesz jaka jest instrukcja... Regulamin, żywego zostawiać za oddziałem nie pozwala, tak?

Dederko jakby nie rozumiał słów. Było już prawie jasno. Z grymasu jego ust wnioskować by nawet można, że chce odpowiedzieć jakimś żartem. W tej chwili Nikitin wyrwał „Mauser” z kabury.

— Ty, coooo?!... — krzyknął Dederko, z oczami w słup, o wyrazie bezgranicznego przerażenia. Pałka jego upadła w śnieg, a prawa ręka zalatała u boku, jakby chciała sięgnąć po własny pistolet...

I właśnie w to rozwarłe „oooo” ust, strzelił Nikitin i cofnął o krok, bo Dederko zachwiał się jakoś ku przodowi i padał na kolana, na czworaki przed nim. Plując krwią, jakby chciał wypłuć kulę. Czapka zsunęła mu się z głowy. Nikitin strzelił wtedy drugi raz wprost w ciemię. Trafiony trząsnął głową ku przodowi w dół, wyglądało że chce ubodźć nią Nikitina w kolano, ale zaraz lejąc krew ustami, układał się już bokiem w śniegu, jak w ciężkim śnie.

Nikitin schował „Mauser”, zdjął z zabitego broń i amunicję, przeszukał kieszenie, aby nie zostawić nic kompromitującego, i poszedł. Ledwo jednak uczynił kilkanaście kroków, gdy doszło go z tyłu na lewo dalekie wołanie. Odwrócił się. Biegł za nim jakiś człowiek wymachując rękami. Znowu wyjął „Mauser”.

— Stać! Ty kto będziesz?!

— Zaraz, zaraz, zaraz... — odpowiedział zdyszany głos. Człowiek spiesząc, wyraźnie ledwo łapał oddech. Nagle zatrzymał się zdumiony przy trupie.

— No, no!! Nie ma tam czego wystawać! Podchodź! Ty, kto?

Nieznajomy zbliżył się. Był bez broni. Na oko chłop zwyczajny, w kozuchu, czapce-uszance, w butach. Wyraźnie dopędzał ich.

— Uf, towarzyszu... Ledwo dogoniłem, śladem... Już myślałem...

— A jak śladem, kiedy śnieg zasypuje?

— Oto już właśnie miałem stracić, kiedy szczęśliwie, strzały usłyszałem... W ostatniej chwili... Schowajcie towarzyszu broń. Ja Stasiukowicz, członek partii. Pozostawiony przez Obkom, i zresztą przez CK-partii Białorusi w rejonie, dla roboty podziemnej. Mieszkalem w Mironowiczach. Ech, niepotrzebnie napadaliście...

— Dlaczego, niepotrzebnie?

— Zaraz, niech odsapnę, wszystko opowiem. — Poszli z tyłu za oddziałem. Stasiukowicz opowiedział, że zaraz tejże nocy, musiał na gwałt uciekać, bo po takim napadzie robią we wsi wielkie śledztwo, a jego już i przedtem uprzedzali że mają go na oku, i w podejrzeniu. Ale nie dlatego, mówi, że „niepotrzebnie napadali”, tylko dlatego że sami ledwo nie wpadli. — Ja widzę, u was nie ma kontaktów — zakończył.

— Póki co, nie ma — odpowiedział sucho Nikitin. — Mamy inne zadania.

— To-to ja i widzę. A trzeba było przedtem ze mną nawiązać łączność. A to mogliście głowy położyć.

— A co to, zasadzka była?

— Nie żeby, akurat. Można powiedzieć do połowy...

— Jak to rozumieć?

— Zaraz; powiedźcie, czy was czasem nie pewien Ignat, jak jego... Woronów syn, z Olchówki, nie naprowadził?

— Ignat i był. Z Olchówki. A bo co?

— Aaa, to już dla mnie wszystko jasno, teraz.

— Zdrajca?

— Nie! Rzecz taka: Patrząc wczoraj, ledwo żywa-zadyszana przyleciała ta jego bratowa, żona starszego brata, Naścia jej, zdaje się. Osiem kilometrów piechotą, i zaraz prosto do Bodaja, naczelnika policji naszej. Myślę, czego to ona?... A rzecz taka: ten Ignat, młodszy syn, nie żonaty, wkochał się już dawno, jak bez pamięci, w jedynaczkę Juchniewiczównę, naszego predkołchoza córkę. Aż tu czasy poszły inne. Podkreślił się ten, prawda chłopak dorodny, Bodaj. I Juchniewicz swoją córkę za niego wydaje, w dodatku „komendanta”, nazywa się, policji. To Ignat, jakby bieluniu napił się, rozum stracił. Słowem, dla niego słońce, księżyc i gwiazdy mniej blasku mają niż to, co Juchniewiczówna między nogami. I nic, tylko o jednym myśli: zabić tego Bodaja. On i do mnie już przychodził tajnie. Rozwiedziało się. Niby to nie wie, a namawia jak zamach zrobić na naczelnika policji. Ja jemu mówię, poczekaj bracie, nie czas. Niemców wygnamy z ziemi sowieckiej, to wtedy i rozprawisz się ze swoim Bodajem. A on mnie: „póki Niemców, czekać wygnają, to może u niej już pięcioro dzieci od tamtego będzie!”. A to, mówię, już twoja

rzecz, prywatniacka, a nie nasza patriotyczna. Później, prawda, żałowałem że z nim otwarcie mówiłem, ryzyko. Słowem jemu do głowy załazło, nic tylko sposobu szukał jak zabić tamtego. Raz, przyznać trzeba, sam strzelił z obrezu w otwarte okno, jeszcze jesienią, ale nie popadł. Na partyzantów poszło. Aż tu w ostatniej chwili, przed nocą ślubną, z wami jakoś zetknął się... — Daleko już odeszli od stygnącego w głębokim śniegu trupa Dederki.

— A przy czym tu jego bratowa?

— A bratowa przy tym, że męża jej zmobilizowali już w maju. I nie powrócił więcej. A młody ten, Ignat, powrócił. To ona z braku... z nim zesłała się. Zaciągnęła do swojej pościeli i zaczęła z nim żyć. Prawie na oczach wszystkich. Starzy chcieli ją nawet wygnąć, ale jak wygnasz z dziećmi. Awantury tam. Tym bardziej ona straszną zazdrością zapalała o tę Juchniewiczównę, którą on kocha. Tymczasem on, dureń, ciągle i ciągle odgrażał się, że zabije tego Bodaja. Dziwo nawet bierze, jak to nie doszło, i jego nie aresztowali. A Naścia ma się rozumieć, po tego policjanta stronie, żeby czym prędzej żenił się z Juchniewiczówną. Wy jej ojca teraz zabili...

— Cóż wy mnie tu, towarzyszu, romans jakiś opowiadacie.

— No więc, nie wiem jak tam w końcu wyszło, że ona dowiedziała się, czy domyśliła się, że Ignat z wami się spiknął. Poleciała do Mironowicz, i uprzedziła, że ma być napad. Nie wiem, czy z zazdrości wydała ona swego Ignata, czy inną jaką bajkę wymyśliła. Ale chyba jakąś bajkę, bo wiem że Bodaj nie bardzo jej powierzył, w jej babskie gadania te. I wesela nie odwołał. Na wszelki jednak pożarny-wypadek, surowo przykazał, broń mieć przy sobie pod ręką, i być na gotowości. Poza tym dwóch ludzi posłał na patrol z raketnicą. Tylko że oni poszli pilnować od strony lasu, a wy wyszli od strony pola i groblą. Ot i cały, jak mówicie, romans.

— To oni zapewne i strzelali, z tyłu?

— Nikt inny.

Za dużo było szczegółów by nie uwierzyć. Stasiukowicz wyjaśnił mu jeszcze, dlaczego w tych okolicznościach nie może pozostać w Mironowiczach. Może miał i inne jeszcze względy, o których przemilczał, czort go wie. Ale Nikitin zadowolony był z tego kontaktu. Jeszcze bardziej, gdy rozpytawszy Stasiukowicza, zorientował się że ten dużo wie, utrzymuje tajną łączność z szeregiem podziemnych ogniw partii. Miał też swojego czasu łączność z oddziałem Szczerbina, którego Nikitin szukał. A sytuacja była zła. Ludzie wymęczeni do ostatnich granic. Bez gorącej strawy tyle dni, na mrozie, dachu nie widzieli nad głową. Oberwani. Ostatni, nieudany („bałwański ten wypad”, kłąt w

duchu Nikitin), pogłębił tylko nastrój przygnębienia. Przystąpić próg izby, zdawało się szczytem marzenia. Zatrzymać się by gdzie, pobudować mocne szalasy, odpocząć, a przede wszystkim dostać prowiantu. Wyspać porządnie.

I Stasiukowicz mu poradził:

— Nie tak daleko stąd, były kołchoz „imienia Czapajewa”, wieś Tarankowicze. I tam też, poprzedni predkołchoza został teraz „burmistrzem”, Kuszelenko nazwisko. Ale gracz, ohoho!...

— Co znaczy?

— Jakby to wam powiedzieć, towarzyszu. Ja, naturalnie, w jego duszy nie byłem, nie wiem co tam dzieje się. Ma czterech braci, wszyscy w czerwonej armii. On niby to sam, na pokaz, z Niemcami trzyma. Nie tylko trzyma, ale w wielkim u nich poważaniu. On i maselka, on i słoniny, i jajeczek tam niemieckiemu komendantowi wozi. Ich rozkazy wykonuje, obowiązkowe dostawy z rejonu dostarcza, ale swą wieś oszczędza. On i wykopaną broń i nawet karabiny maszynowe, pozostałe z okrażenia, Niemcom odwiózł i nagrodę od nich otrzymał. Ale broń wszystko nie godna do użytku... Z drugiej strony wyraźnie z nami trzyma. Nigdzie tylu nie ukrywa się okruženców, jak u niego w Tarankowiczach. Mało tego, on ukrywającego się okruženca, intendenta pierwszej rangi, Kołożyna, naczelnikiem policji zrobił. On zlikwidował nawet tajniaków, którzy przeszli do policji bez jego wiedzy i aprobaty. Ot, na jakie ryzyko się puścił. I nikt nie śmie pisnąć, bo Kuszelenko ma u Niemców takie zaufanie, że każdego donosiela w mig zmiążdży. Łączność z nami utrzymuje, nie jednemu już pomógł i ukrył. Co fakt, to fakt. Kontakt ma z oddziałem Szczerbina, i ten jemu w zupełności ufa. To wiem. Prawda... ludzie gadają, że on na dwie strony taką grę prowadzi, a po której stronie sam stoi, to jeszcze nie wiadomo... No, ale to ludzie, ludzie zawsze będą gadać. A wreszcie... Zobaczycie sami. Że on wam na początek krzywdy nie robi, to fakt pewny. Obrotny człowiek, co się zowie. I pomóc może, to fakt. Dużo pomóc. Jak chcecie to ja wam z nim spotkanie urządzę.

— Wasze zdanie, słowo uczciwego komunisty?

— Moje słowo: jeżeli on i prowokator, to jeszcze na dzień... pojutrzejszy.

Nikitin rozejrzał się w koło, podniósł wzrok ku niebu. Śnieg, mokry śnieg, walił teraz dużymi zlepionymi kłakami, i od razu zalepiał nie chronione oczy. Dawno już pewno i ślady ich, i trup Dederki pokrył nieprzeniknioną warstwą. Widok lasu zanikał. W kościach czuło się wyczerpanie bez granic.

— Daleka droga?

— Do nocy dojdziemy.

— Prowadź.

XXIV

Uciekali z Mińska, naturalnie, bez dzwonka. W głębokich rozwalinach, w jednego ale dobrego konika. Wujek Jurczyka, Sawicz, podkurczył nogi na przedzie, Henryk i Jurczyk głęboko w sianie na tylnym siedzeniu. Wyjechali jeszcze do świtu, przed końcem godziny policyjnej.

— Mam przepustkę — upierał się Jurczyk.

— Jak chcesz ryzykować — odpowiedział obojętnie wujek Sawicz.

Henryk milczał. Niespodziewanie nastała mgła. A powyżej gwiazdy.

— Też, pogoda, jakiej nie bywa — odezwał się na początku wujek, i sunęli płasko, bez słowa. Więcej wujek się nie odzywał. Zresztą nie bardzo było o czym. Niebezpieczeństwo groziło od napotkania Niemców, od napotkania policji białoruskiej, od partyzantów sowieckich, od zwyczajnych bandytów; czasem od zwyczajnych mieszkańców; od wilków. Ale rękę przyłożywszy w to miejsce, gdzie pod baranim kozuchem bije serce, trzeba przyznać szczerze, że od wilków najmniej. Może dlatego, że ludzi jest więcej niż wilków. Wreszcie niebezpieczeństwo groziło od strony zabłądzenia. O czym więc tu można gadać. Jechali milcząc, wsłuchani w miarowy tupot konia po śnieżnej drodze. Raz tylko, gdy już zupełnie prześwieślało, odezwał się znowu wujek:

— W Małych-Łukach dziesięć Finów stoi, z nartami — i skreślił w las.

Drugi raz, gdy wyjechali z wysokopiennego lasu. Z nieba padała jasność dnia, ale nie był to promienny uśmiech, lecz wbrew oczekiwaniu, zimne odbicie od białej tafli chmur. Wtedy wujek powiedział:

— I co z tą pogodą wyrabia się, Bóg jeden wie. — Bo po rannej mgle i gwiazdach nad nią, spodziewał się słońca. Tymczasem wyszło inaczej, i zbierało się na odwilż.

Nie wszystkie jednak wsie omijali. Raz nocowali w Rudni. Drugi raz w Nowym Wobryniu. Dzień cały popasali w Dowginowie. Znowuż na obiad zajechali do Wilkowiczów. Tu wujek miał cioteczną siostrę za przyrodnim bratem byłego kierownika MTS, kołchozu „Czerwony Oracz”. A teraz policjanta. Trzeba się było dowiedzieć i zorientować jaka sytuacja na dalszej drodze.

— Zdaje się, niczego takiego nie słyhać było... A w lasach, któż może wiedzieć co w lasach. A zresztą zaczekajcie, pod wieczór Konstanty wróci.

Ale Konstanty wieczorem nie wrócił. I nazajutrz znowu wyjechali o świcie. Tyle, że pojechali nie na Lachowicze, a na Pusz-

nierówkę. Zimą jest najgorzej, bo zimą tylko po przetartej drodze można jechać.

W taki to sposób, nie śpiesząc, dojechali do wsi Tarankowice. Wujek zatrzymał przed domem swego kuma i dobrodzieja, który go z więzienia za samogon uratował, Kuszelenki. Micząc zlął z sań i podał lejce Jurczykowi:

— Na, potrzyмай. Zobaczę.

Za chwilę wrócił z chaty z piękną kobietą w zarzuconej na ramiona chustce, która otworzyła wrota, prześliznąwszy się czarnymi oczami po siedzących w saniach. Miała lat ze trzydzieści; włosy ciemne, brwi zarysowane wysoko w górę. Rysy regularne jak na pudełku pralinek. Widok był nie tutejszy. Henryk nie wytrzymał:

— Ależ i krasawica-razkrasawica!

— Już tam, zaraz! — odpowiedziała, widocznie przywykła. — Zachodzić do chaty. — I poszła przodem, chodem twardym, prawie nie kołysząc w biodrach.

— Żona tego, Kuszelenki — mruknął Jurczyk, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Henryka.

— Co ona, Gruzinka jakaś?

— Skąd! Tak może, mieszanka z tutejszymi Tatarami.

Gospodarza nie było. W izbie, na ławie w rogu, za stołem, spał na podłożonym pod głowę półkożuszkowi człowiek. Na wejście obcych zbudził się, widać instynktownie, i jeszcze w półśnie, automatycznie jakoś sięgnął ku prawej kieszeni.



Nikitin na pierwsze spotkanie wybrał się sam, gdy zapadła ciemność, pozostawiając oddział w pogotowiu na skraju lasu. Michał Kuszelenko, uprzedzony już przez Stasiukiewicza, przywitał gościa z gładkim, może trochę przesadnym ugrzeczniem. Kazał podać wieczerzę, a później rozmawiali w cztery oczy, półgłosem:

— Z Moskwy, znaczy? — zagaił gospodarz.

— Z samej.

— No, teraz widzicie, jak tu u nas wygląda — powiódł ręką.

— Niedobrze.

— A pod jakim względem zwłaszcza? — spytał podchwytliwie Kuszelenko.

— Pod względem wytrzymałości narodu. Gnie się tu u was, jak ta trzcina na wietrze.

— To co teraz, to jeszcze ujdzie. Żebyście zobaczyli na jesieni co działo się, dopóki Niemca pod Moskwą nie zatrzymano!

Kiedy ludzie wierzyli jeszcze, że Niemiec rozpędzi kołchozy, ludzom ziemię odda, i władza sowiecka więcej nie wróci.

— Wróci ona, wróci — z mimowolną groźbą w głosie powiedział Nikitin.

— No, tego to my jeszcze z wami na pewno nie wiemy... — I żeby złagodzić tę uwagę, zapytał zaraz: — Wy, sami, kto będziecie?

— Mówił chyba Stasiukowicz. Starszy lejtenant, Mikołaj Nikitin. Dowódca oddziału desantowego.

— Stasiukooowicz — przeciągnął cicho Kuszelenko. — Wy Stasiukowiczowi dużo mówiliście?

— Mało. A bo co?

— Trudno coś powiedzieć... Ale, jak to mówi się: *Nia zwie-dausz y brodu, nia suńsia u wodu*. Zawsze lepiej być ostrożnym.

— Mhm. No, a wy sami, słyszałem, energiczną akcję rozwija-cie. Tak? Nawet szeroko dość... zakrojoną, mówią?

— Kto mówił? Też Stasiukowicz?

— Po wsiach mówią, gdzie zachodziliśmy.

— Pewnie. *Nia budź ni wojtam, ni swatam, dyk nia budzisz prakliatym*.

— Coś niejasno wyrażacie się, towarzyszu. Ciągłe przysłówia-mi białoruskimi. A ja, przyznam, w subtelności tego języka nie bardzo jestem wdrożony.

— No, to ja wam jeszcze jedno przysłowie powiem, zupełnie nie subtelne: *Nia uwieś toj świet, szto u waknie*. Za oknem dziś nie wiadomo co wyrabia się. Nie siedzieć nam, przecie, z założo-nymi rękami. Trzeba ruszać się, i ludziom i sprawie pomagać. Nie? Czy nie tak i partia uczy?

— Tak jest. Właśnie mnie pomocy od was potrzeba.

— A zapiskę mnie podpiszecie, że pomoc okazałem?

— Zobaczym jaka będzie pomoc.

— A jakiej wam w pierwszym rzędzie potrzeba?

— Kapitan Szczerbin gdzie stoi z oddziałem? Muszę jego zobaczyć. Kontakt macie?

— Fiu! Daleko. On bazuje się teraz już po polskiej stronie. Gdzieś między Połockiem i Królewsczyzną. Ale miał przejść pod Wilejkę. Za to bliżej macie oddziały inne: „Mściciel”, „Walka”, „Oddział wujaszka Wani”. Nie duże. W stanie raczej organizacji. Z tymi mogę skontaktować.

— Dawajcie. Dalej potrzebne mnie są opaski policyjne. Poza tym żarcie dla ludzi. Różne drobne rzeczy. Chcę wypocząć i do-prowadzić do porządku.

— W bliskości?

— A ot, żeby do was podać ręką było można — odpowie-dział Nikitin, ale wypadło mu to jakoś dwuznacznie. — I wresz-

cie chcę porozmawiać z intendentem pierwszego stopnia, Kołożynem. On u was naczelnikiem policajów?

— Kołożyn, tak.

Kuszenko zakręcił się jakoś na siedzeniu, i zawołał:

— Pauliuta! — Zza przepierzenia zawieszonoego samodziałową, wiejską kotarą, wyjrzała twarz pięknej żony. — Narzuć, Pauliuta, kiedy łaska, kożuszek; wyrzyj spojrzeć jak tam, na dworze... Choć ja tu rządę — zwrócił się do Nikitina — ale zawsze, na wszelki wypadek. Kołożyn, tak. Oficer sowiecki, z okrażenia, autentyczny. Ja go tutaj przymościłem do naszej wsi. Owszem. — Wstał, podszedł do półki, wziął pęczek samosiejnej machorki, deszczułkę, nóż i wróciwszy do stołu zaczął cienko krajać. — Taki wypadek był: Do wsi Domoradzkie zwabili jakoś, kto mianowicie nie ustalono, siedmiu partyzantów, zdaje się z oddziału Czerkasowa. W zasadzkę. I tam ich wymordowali.

— Kto mordował?

— Kto! Ludzie.

— Kiedy?

— No, już kawał tygodni będzie temu.

— To co to ma z Kołożynem?

— Nic, żeby miało. Ale dzisiaj takie czasy. Spojrzysz na konia, to wiesz: koń; spojrzysz na wilka, to wiesz: wilk; spojrzysz na sosnę, to wiesz: sosna. A spojrzysz na człowieka, to kto jego wie, kto on jest. Ja Kołożyna powiadomię, że chcecie z nim porozmawiać.

Rozmowa Nikitina z Kołożynem nie trwała długo. Przedstawił okoliczności, w jakich mu udało się wydostać z okrażenia daleko stąd, w rejonie Kojdanowa. Kuszenko pomógł znaleźć mu dach nad głową, i teraz prowadzi się tę „niebezpieczną grę”, jak się wyraził. Nikitin zaproponował, by jednak dał spokój tej „grze”, i poszedł do niego do oddziału. I może zabrał ze sobą tych ludzi, których jest zupełnie pewny.

Po twarzy Kołożyna przebiegł cień.

— Zupełnie pewnym dzisiaj, nie można być nikogo.

— Chodźcie sami. Mnie brak wyszkolonych oficerów. Reszta desantu czort wie gdzie została zapędzona. Nie doszło, czasem, waszych uszu?

— Słyszałem. Jakiś kilku desantowców. Ludzie Niemcom donieśli. Kilku podobno do „Wujaszka Wani” przystało. Nie widziałem ich. Ale, czy to wasi?... Co do mnie... — Wyciągnął nogę w prawie eleganckim bucie o obcisłej cholewie, i pomacał swoje kolano. — Noga nie w porządku. Kurować jeszcze trzeba. W takie śniegi daleko nie ujdzie. A po drugie... — Widać było, że poszukiwał w myślach argumentów. Palcami prawej dłoni pocisnął jeszcze dwa razy kolano, a później w zamyśleniu przesunął

nimi wzdłuż pasa, prawego boku, i bardzo nieznacznie odpiął, jakby przypadkowo, futerał pistoletu. Ale Nikitin dostrzegł ten dyskretny ruch kącikiem oka. Nie przerywał mu. — Widzicie, towarzyszu Nikitin, w ostatnich czasach tu pojawiło się po wsiach masa jakiś ni to „biednych”, „żebraków”, ni to zwolnionych uprzednio przez Niemców z niewoli, co to uciekają od ponownej ich rejestracji... Ni to jakiś starych „okrużeńców”, diabeł ich wie, kto ich rozsyła. Antysowieckie nastroje rozprawdzają.

— Niemiecka robota?

— Może i Niemcy. Może i ktoś jeszcze. Słowem tu oko trzeba mieć wyostrzone.

— To po co was tu dwóch. Kuszelenko jeden wystarczy.

— Hm. Otóż to. W otwarte karty, towarzyszu Nikitin: dopóki ja w Tarankowiczach, to wiem że ten Michał Kuszelenko nie poda się na tamtą stronę. A jak mnie zabraknie... A on dużo wie.

Ale Nikitin już wiedział że Kuszelenkę z Kołożynem łączy osobista przyjaźń, przynajmniej zewnętrznie. Z drugiej strony, już Stasiukowicz uprzednio, a później zapoznany przez niego tarankowicki gajowy, Hołubko, półgębkiem wtrącił: „Czy on, cząsem, ten Kołożyn, nie dobiera się do jego żony”... Zresztą przyczyn mogło być, i mogło nie być, różnych. Dlatego uważał za niewskazane komplikować nawiązanej na razie styczności, i nie dał po sobie poznać że nie podoba mu się odmowa Kołożyna. Ku widocznej uldze tamtego, Nikitin wstał i zakończył rozmowę:

— No, nic spieszego towarzyszu. Jeszcze pogadamy przy okazji o tym i owym.

W dobrze zakonspirowanym kawałku lasu pobudował mocne szałas, ubezpieczył się wartami, wysłał kilka patroli zwiadowczych w okolice. Zachował w ogóle najdalej idące środki ostrożności, i zarządził nieustanną obserwację wsi. Kuszelenko dostarczył produktów „pod rozpiskę”; wysłał łącznikowego do Pasynek, gdzie spodziewał się odszukać oddział „Mściciela”. Dostarczył też kilku opasek policyjnych.

Tego dnia Nikitin przyszedł do Tarankowicz w kolejnej sprawie do Kuszelenki. Gospodarza nie zastał w domu. Postanowił zaczekać. Czuł się jakoś źle. Widocznie przeziębiony. Łamało w kościach i miał dreszcze. Może nawet gorączkę. Pauliuta powiedziała, że mąż zaraz wróci. W oczekiwaniu, Nikitin położył się na ławce, a półkożuszek wsadził pod głowę. Niespodziewanie zasnął.



— Jak mogłam wpuścić? Zwyczajnie, otworzyłam wrota
— odpowiedziała hardo Pauliuta.

Kuszenko ostygł z pierwszego napadu wyrzutów, jakimi przez zaciśnięte zęby obrzucił żonę w sieniach za to, że wpuściła do chaty gości, gdy był w niej Nikitin. Znać jednak, bał się trochę żony, czy też ulegał. Przyglądając włosy wszedł z wymuszonym uśmiechem.

Na ławie pod oknem siedzieli Jurczyk z wujkiem. Przy stole, naprzeciw siebie, Henryk i Nikitin.

— Aa! Ot, kogo widzę! Sawicz, kum, odwiedził! — Rozłożył ręce Kuszenko, udając radość. — I gości przywiozł... — Obrzucił szybkim wzrokiem Henryka.

— To mój siostrzan — powiedział Sawicz. — Znasz chyba. A to, koleżka jego.

Atmosfera była napięta. Rozładował ją dopiero wujek Sawicz, gdy przyniósł z sań litrową butelkę samogonu. Pauliuta postawiła zakąskę. Okna zawieszone zostały szczelnie. Lampa naftowa rozświećlała wnętrze. W jej świetle Henryk starał się przypomnieć skąd zna te rysy twarzy nieznanego. Że widział je już kiedyś, tego był pewien. Nikitin?... Nic mu nie mówiło. — Nikitin odzywał się powściągliwie i grzecznie. Henryk umyślnie trącił się z nim drugą szklaneczką samogonu, i po jakimś nieuchwytnym ruchu tamtego, raptem przypomniał sobie: „Ach, to Raczenko z wileńskiego NKGB!... Później gdzieś politrukiem na prowincji był, bodaj w Rudominie?... Ale, czy on mnie poznaje, czy nie? Brał raz udział w badaniu. Czyżby nie poznawał?...” — Nikitin opowiadał, że widział ślady rysia w lesie, gdyż mówiono o tym, czy wojna niszczy zwierzyńcę, czy też odwrotnie, uniemożliwiając polowanie ludności, sprzyja jej rozmnożeniu.

Po piątej szklaneczce Henryk wstał i powiedział, że pójdzie spojrzeć na gwiazdy.

— Drzwi mojej chaty zawsze na jedną i tę samą gwiazdę wychodzą... — zachichotał Kuszenko.

— Ja przeprowadzę — odezwała się niespodziewanie Pauliuta.

— Nie trzeba. Sam znajdę — odparł brutalnie Henryk.

Gospodarz był niespokojny. Nie wiedział kto to jest, i po czyjej stronie. Może być tajniak niemiecki, może być sowiecki. Może być tak tylko, spekulant, może być partyzant. Może być z białoruskiej narodowej, jak oni nazywali „samoobrony”, czy ich policji. Może być antypartyzant od Zubowa ze Znachorek; oni tam mają takich ociężałych, małomównych starowierów.

Gdy Henryk wrócił, tamci wypili już po szóstej kolejce. Piła również Pauliuta, ale mniej. Gospodarz postawił nowy litr. Pijanieli jakoś szybko. Henryk otrząpał śnieg, i przerzucił nogę przez ławę, siadając na swoim miejscu.

— Nie ma gwiazd. Śnieg pada.

— Daj jemu Boże zdrowie — powiedział z lekkim sarkazmem Nikitin.

— A ty w Niego wierzysz? — Raptownie zwrócił się doń Henryk.

— Wierzy, choć nie przyznaje się — zażartowała Pauliuta.

Raczenko-Nikitin wytrzymał wzrok Henryka i odpowiedział z lodowatym spokojem:

— Gdyby Bóg był, takim jak go malujecie, że bez jego woli włos człowiekowi nie spadnie z głowy, to by znaczyło że jest musowo sadystą. My w tej wojnie, możemy temu za świadków być.

Henryk wypił haustem, obtarł usta wierzchem dłoni i zastanowił się czym by przekąsić. Później w zamyśleniu:

— A gdyby Bóg, powiedzmy, sam był właśnie śmiercią. I od śmierci dopiero zaczynało się życie?

— Ech, ty! — Wyszczerył najniespodziewaniej zęby Nikitin. — Stary kontra! Sam wiesz, że to nieprawda!

— Co ja wiem jeszcze poza tym, to zachowam dla siebie.

— I tylko?!

— Jak mnie drugi raz zaproszą do NKGB, bolszewicka ty chrząstka, to zaświadczyć, że piłeś wódkę pod ikoną świętą.

— Nowa — jakby nigdy nic, wskazał na nią ręką gospodarz.

— Nie było przedtem. Jak nasza Niezwyciężona Czerwona dała się zwyciężyć, przyszło się kupić i powiesić ikonę dla wszelkiego porządku. He, he, he...

— No, to wypijmy za to... — Jurczyk się namyślał, i wypalił:

— Żeby przyszło się ją znowu zdjąć!

— Dlaczego nie! Wypić można z każdej okazji — uniósł szklaneczkę gospodarz. (Och, jakże nie w smak mu była ta pijana biesiada, w której sam wypadał z tonu). — Byle w porządnej kompanii.

Zaszczekał pies, ale umilkł, jakby znajomego poznał. Dały się słyszeć skrzypiące kroki na ganku. Ktoś wycierał nogi ze śniegu. Pauliuta wstała odsunąć skobel w sieniach. Później słychać było jej śmiech. Otworzyły się drzwi i w progu ukazał się policjant z opaską na ramieniu, w pasie przy którym wisiał z prawej strony futeł pistoletu, a z lewej bagnet, dlaczegoś o niezwykle szerokim brzeszczocie. — Henryk uczynił nieokreślony gwałtowny gest; w oczach Jurczyka załopotał przestрах. Ale gospodarz pochylił się ku przodowi i szepnął:

— Swój człowiek.

— Cóż to?! — Zakrzyknął nowy gość. — Wieczorynka w pełni, a mnie to już nie proszą?!

— Proszą, proszą — popchnęła go z lekka Pauliuta.

— Nasz naczelnik policji, towarzysz Kołożyn — przedstawił Kuszelenko.

Ten obrzucił, siadając, niepewnym wzrokiem nieznanym gości, i zatrzymał go o cień dłużej na Henryku.

— Moje nazwisko Raczenko — powiedział głośno Henryk, podrzucając podbródkiem. — Znałście może takiego?

— Nie, nie miałem zaszczytu — odpowiedział Kołożyn.

Nikitin patrzył na Henryka ironicznie mrużąc oczy, z zimną jakąś nienawiścią, mimo że był pijany i miał gorączkę.

— No, to wypijmy pod nieznajomość!

— Wypijmy — zgodził się Kołożyn bez zastanowienia. Nie mógł domyślać się aluzji. Widział zresztą, że towarzystwo pod gazem. — A gospodyni nie pije? — zwrócił się do Pauliuty.

— Teraz dopiero zacznę.

— Ech, *nia wier kaniu u darozie, a żoncy doma* — odezwał się gospodarz.

— O! Już swoje rozpoczyna... — Pauliuta haustem wychyliła szklaneczkę. Odstawiła. Nagle, błyskawicznym ruchem wyrwała bagnet z pochwy u siedzącego obok niej Kołożyna, mignęła nad stołem, i trzymając przed twarzą brzeszczot jak lusterko, poczęła przeglądać w odbiciu stali swoje wargi; czasami macając je palcami lewej ręki, lub wysadzając koniuszek języka. Było coś podniecająco wyzywającego w całym tym zachowaniu. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Wtedy odezwał się dotychczas milczący Sawicz:

— Wypijem pod to lusterko.

— Ho, i ty stary, widzę... — zaczął gospodarz i nie dokończył.

— Na starość i kot durniej — odpowiedział.

Pili dalej.

Jakoś rozmowa zesła na Niemców, i Kuszelenko bardzo ostrożnie zrobił porównanie z władzą sowiecką, przy tym wypadło jakby na korzyść tej ostatniej. Sawicz, który pod wpływem alkoholu stał się nagle rozmowny, przytaknął mu:

— Sprawiedliwie mówisz Michajło. Słyszałem ja takie opowiadanie: do wsi, może być do naszego Pohostu, może do Słobódki, czy tam innej jakiej, przyjeżdża Niemiec i dawaj wywlekać z chlewu parsiuka. No, wiadomo, gospodarz zastąpił się, nie daje. To Niemiec w twarz jego kułakiem. A on spojrzał tylko na Niemca, jakby myśl jemu jakaś przyszła, i mówi: „Bij drugi raz!”. To Niemiec drugi raz jego w twarz uderzył. A on: „Bij trzeci raz!”. Niemiec jego trzeci raz. A on mówi: „Mało tego, bij czwarty raz”. To wtedy Niemiec zastanowił się i pyta: „A dlaczego chcesz, żebym ja ciebie bił koniecznie?” A on odpowiada: „Bo zasłużyłem na to, żeby mnie bić”. „Czymże takim zasłu-

żyłeś na taką karę?”, pyta Niemiec. „A tym, odpowiada, że was czekałem jak zbawienia losu”...

Wszyscy wybuchnęli pijanym śmiechem. Tylko Nikitin spochmurniał, i ścisnął nerwowo w rękę szklaneczkę.

— Kontrrewolucyjny to bełkot! Takie dowcipy... — I z widocznym wysiłkiem opanowując się, cedził: — Jakże może być porównanie. Nasza idea uniwersalna, i nie porównywać jej z żadną inną!

— Otóż to, otóż to. W tym i rzecz — odpowiedział z naskiemi Henryk.

— Ty w jakim to sensie mówisz?

— W tym samym, uniwersalnym. W tym i rzecz, że „u-ni-wer-sal-na”... Tak i trzeba ją rozumieć... I zaraza uniwersalna.

Kołożyn jakoś dziwnie przechylił głowę i z zainteresowaniem się przysłuchiwał. Kuszelenko uczynił pobłażliwy ruch dłonią i chciał coś zacząć mówić... Gdy raptem:

Raczenie uderzyła krew do twarzy. Nie wiadomo, czy pod wpływem gorączki, czy wódki, zdało mu się w tej chwili, w tej właśnie chwili... że to pułapka, że niewyraźne rozmowy jakie prowadzili z nim dni poprzednich i Kuszelenko, i Kołożyn, znajdując konsekwentne zakończenie w niespodziewanym przyjeździe Henryka i towarzyszy... Że po to się zeszli, że teraz mają go schwytać... — Nagle pchnął dłoń do prawej kieszeni i błysnął matowym połyskiem lufy „Mausera”!...

Ale w tym samym momencie Jurczyk, który siedział po jego prawej stronie, dwoma rękami złapał go za dłoń i przycisnął ramię w dół do ławy. Raczenko lewą pięścią zamachnął się by uderzyć go w zęby, jednakże w tej sekundzie Henryk palnął go poprzez stół pustą butelką po ciemieniu!... Raczenko-Nikitin zbladł, opuścił głowę, i jakby zemdlął.

Biesiadnicy porwali się z miejsc, z wyjątkiem Kołożyna. Siedział on nieruchomo, ręce złożył przed sobą na stole, i z niedostrzegalnym sarkazmem w kącikach zastygłych warg, obserwował przebieg zajścia.

Była noc, niezbyt jeszcze głęboka. Śnieg padał nieustannie.

XXV

— Ech, gdyby nie to.

— Gdyby nie co?

Wujek Sawicz poczłapał walonkami w miękkim śniegu do odryny, nie odpowiadając. Czasem człowiek powie coś takiego do własnych myśli które się kołaczą po siwej głowie, a później nie potrafi tego objaśnić. Niesmak jakiś.

Wstali bardzo późno. Nikitina dawno już nie było. Wczoraj rozbroili, położyli na ławie, i nakryli nawet kożuchem. Teraz Kuszelenko mówił:

— Ot widzisz, jak to bywa. Jednemu samogon szkodzi, chociażby mojej Pauliucie; leży, nie wstaje, z bólem głowy. A drugiego leczy. Nikitin wczoraj chory był zupełnie. A jak napił się do stanu zielonej gadziny, wstał jeszcze do świtu; jak ręką odjęło. Zdrow zupełnie, tylko blade. Podziękował i nawet przeprosił za wczorajsze. Greczny człowiek. I poszedł! Po ciemku. Dobrze, że śnieg przestał padać.

— Komu dobrze, komu źle — zauważył Jurczyk.

— I to prawda. Wy teraz jaką drogą?

— Chyba wypadnie dać się na Zaborze — odpowiedział wujek.

Henryk podszedł do odryny, gdy Sawicz nakładał do sań gospodarskiej konicyny, i zwrócił mu półgłosem uwagę:

— Niepotrzebnie było mówić, którą drogą pojedziemy...

Sawicz westchnął, i upychając siano macał coś w saniach.

— Co słusznie, to słusznie. Niepotrzebnie. I ja widzę, że niepotrzebnie. Jak on tak lubi przysłówia, trzeba było odpowiedzieć: *jedu u Rygu, pa sol, pa skrygu*, i koniec. Ale na starość i kot durnieje — powtórzył wczorajsze powiedzonko.

Odjazd przewlekał się jednak bez powodu. Po prostu dreptali w miejscu. Po wczorajszej biesiadzie człowiek czuł się jak zardzewiały. Godzina już była późna. I w rezultacie na zaproszenie gospodarza, pozostali jeszcze przez noc, a wyjechali dopiero nazajutrz rano.

Pauliuta wstała z łóżka i ukazała się dopiero, gdy już otwierali bramę. W chusteczce białej, i powyżej zarzuconej na głowę i ramiona grubej chustce wełnianej. Na ganku otuliła się nią szczelniej, z dreszczem. Spojrzała jak mąż podparł palikiem wrota, bo wiatr był z tamtej strony, i odezwała się leniwie, przenosząc wzrok gdzieś ponad ich głowami:

— To wam nie bliżej będzie dać się wprost na Stare Chutory. Droga teraz trzyma wszędzie, błota pod lodem.

— Nie, córeczko — odezwał się wujek. — Błoto trzyma, to ono trzyma. Ale zawiana być może, droga tamta. I w Starych Chutorach też, nie wiadomo jak tam... Zostawaj z Bogiem. — Cmoknął na konia.

Jeszcze raz wzdygnęła się z zimna otulając chustką. Nie popatrzyła więcej na nich, i poszła swym giętym krokiem w kierunku stodoły.

Zrazu droga wiodła przez wysokopienny las sosnowy. Później poszła wyrębami, krzakami, zupełnie nie rozjeżdżona. Dalej przez

błota kępkowe, gdzie na szczytach kępek wyrastały chude brzoźki, sosenki. Jechali w kierunku zachodnim z trochy odchyleniem ku północy. Słaby wiatr dął im w twarz. Dyszeć było przyjemnie, rześko. Poza tym panowała cisza. Była odwilż.

— Czemu to ona — przypomniał sobie Jurczyk — sulila nam drogę na Stare Chutory?

— Bóg ją raczy wiedzieć, czemu — mruknął wujek. — Prosto wstała z łózka...

Znów wjechali w las, ciemny, duży, świerkowy. Wysoko nad głowami szeptem rozmawiały, na lekkim podmuchu, stożkowate wierchołki. Konik biegł rażno poskrzypując duhą w użwach, choć droga nie była wyjeżdżona po śnieżnych opadach. Gdy wjechali z lasu świerkowego, poszła ona trochę w górę po płaskim wzniesieniu pokrytym krzakami olszyny i leszczyny na przemian, w gęstej cizbie zimowych prętów młodo drzewia, leśnego bzu, jarzębiny, głogu, wilczej jagody, kaliny... Nie rozpoznać tego drobiazgu. Tu słyszeć było gęsty świergot ptaków, dalekie nawoływania, rzekłbyś jak sygnały podawane jedno drugiemu. Przed nimi, na szczycie pochyłości, rósł przy drodze dąb o skrzyconych, zardzewiałych liściach, i szemrał do siebie. Na tle chmurnego nieba.

Pojechali stępa. Raptem z prawa usłyszeli jęk. Wujek ściągnął lejce, wstrzymał konia. Wyraźnie gdzieś, między krzakami jęczał człowiek.

— A o! — wskazał Jurczyk.

Teraz dostrzegli wszyscy. Leżał czarny na śniegu, podłużny kształt ludzki, dobrze widziany wśród leszczyny, w odległości kilkunastu, może więcej kroków od drogi. Jurczyk bez słowa zeskoczył z rozwalin pierwszy. Za nim wygramolił się wujek, rzucając sznurowe lejce na przodek sani.

— Stoj, ty — powiedział do konia.

Koń jednak ruszył nieposłusznie.

— Tprrr! — zakrzyknął nań ospale Henryk. Konik zrobił kilka kroków i stanął. Henrykowi, rozłożonemu wygodnie w samym tyle rozwalin, nie chciało się złazić. Odwrócił tylko głowę do tyłu w prawo, i patrzył jak tamci, brnąc głęboko, podchodzili do leżącego.

To była zasadzka.

Pierwszy runął Sawicz, przeszyty seria z automatu. Za nim zwałił się na bok Jurczyk. Poderwał się, lewą ręką chwytając i łamiąc gałązkę... Ale w tejże chwili celnym strzałem z niemieckiego „Waltera” w głowę, dobił go Utielnikow, strzelając z leżącej pozycji na śniegu. On to bowiem udawał jęczącego człowieka.

Koń przestraszony strzałami, szarpnął gwałtownie ku przo-

dowi. Ale prawa lejca ześliznęła się z sań, nadeptała na nią kopytem i stanął z podniesionym łbem. Nim Henryk zdążył uczynić ruch, seria z automatu po saniach trafiła go jedną kulą w ramię, drugą w prawe udo, trzecia kontuzjowała go prześlizgując po skroni. Henryk zwałił się na wznak w saniach, a jednocześnie oszalały z przerażenia koń, któremu kula boleśnie oparzyła podbrzusze, stanął dęba, zerwał lejce, i targnąwszy z całej siły zaprzęgiem, poleciał przed siebie po drodze.

— Trzyyyymaaaaj!

„Trrr-ach-trrr-ach!” Następną serią wziętą za nisko, przejechała się pod płozami, pryskając śniegiem, ale nie sięgając kopyt. Koń z saniami przeleciał koło dębu i znikł za wstępem wzgórza.

— Trzyyyymaaaaj! — Dwóch partyzantów pobiegło z automatami w górę. Gdy dopadli dębu, zobaczyli że po pochyłości drugiej strony droga znika skrętami w rojstach, za którymi znikły też sanie. Dali dwie długie serie w tym kierunku, pobiegli dalej, ale dalej droga wiła się w nowych skrętach, zasłaniając widoczność...

W tym czasie z gęstych zarośli po tej stronie wzgórza wyszedł Raczenko-Nikitin, nerwowo skręcając papierosa. Przystanął w śniegu, który mu sięgał do kolan, jakiś czas pstrykał zapalniczką gasnącą na wietrze, zapalił wreszcie, wciągnął głęboko dym, i podszedł do trupów. Utielnikow otrzępywał się ze śniegu. Jego projekt i całe zaplanowanie zasadzki, wydawało się w zasadzie słuszne. Miejsce wybrane na wznoszącej się pochyłości, gdzie sanie musiały przejść na stępa, dobre. Twierdził jednak uprzednio, że na pewno wszyscy trzej wyleżą z sań, aby obejrzeć leżącego, i nawet wskazał pniak przy drodze, do którego musowo uwiążą lejce. Wtedy i robota będzie zrobiona, i nadto cały zaprzęg, nieuszkodzony, dostanie się w ich ręce. Sygnalizacja za pomocą piszczałki, udającej głos jarząbka, działała bezbłędnie. Wiedzieli na wiorstę, kto mianowicie jedzie. Stało się inaczej. — Krew obficie wylała się z podziurawionego wujka Sawicza, utworzyła w jednym miejscu złodowaciącego śniegu, małą kałużę. Nikitin popatrzył w dół na leżących, kazał trupy dobrze przeszukać, i nie dopalając, zmiął nerwowo w palcach i cisnął bez powodu papierosa w tę czerwoną kałużę. Niedopałek zasyczał we krwi, i pozostał na powierzchni.

O świcie dnia poprzedniego, gdy wrócił z biesiady od Kuszelenki, zarządził Nikitin alarmowe ubezpieczenie, i nakazał śpieszne zwinięcie obozowiska, możliwe zatarcie śladów, rozparcelowanie ciężarów zgromadzonych zapasów pomiędzy partyzantów. W godzinę oddział miał spożyć śniadanie i być gotów do

dalszego wymarszu. Sam z Osipem Anienko poszedł raz jeszcze na skraj lasu dla obserwacji Tarankowicz. Gdy wrócił, wiedział skądś dokładnie, którędy tamci pojadą nazajutrz.

Teraz nie był zadowolony z przebiegu akcji.

— Utielnikow! — zawołał, i patrzył na zbliżającego się. — Śmiech mnie bierze, jak patrzę na wasze zaplanowanie. I że ja, stara wrona, dałem się nabrać! Tyle lat w służbie bezpieczeństwa, pora wam i psychologię ludzi znać. Według wszystkiego, to nasz człowiek: zobaczył w lesie, usłyszał rannego, to batem po koniu! Czym prędzej, dalej od biedy! To znać trzeba. A nie liczyć, żeby złaził z sań.

— A jednak, dwóch ułożyli.

— Na przypadkach nie buduje się teorii. — I wyjmując mapę i kompas, dorzucił z rozdrażnieniem: — Dwóch!...

Mimo dużego obładowania oddziału kazał maszerować na przełaj. Zmieniając kierunek z północno-zachodniego, na południowy-zachód.

Tymczasem konik wujka Sawicza leciał w dół po pochyłości, zarzucając saniami na zakrętach, od czego bezwładna głowa Henryk uderzyła z boku na bok po wymazanej krwi koniczynie. Przeleciał przez mostek i dalej drogą na oślep przed siebie. Śniegi po obu stronach stanowiły niejaką zaporę, więc koń instynktownie wybierał przetarty tor drogi, wciąż drogą, jak wiodła przez las i pola, i znowu las. Aż dopiero po jakimś czasie zaczął ustawać, i podzwaniając zerwaną uzdeczką przeszedł na kłus, a później poszedł krokiem.

Wiatr wykręcił teraz od północy. Jeszcze przed zmierzchem odwilż ustąpiła. Mróz począł zwolna skuwać wilgotne przestrzenie śniegów w stwardniałą skorupę śreni. Rozpadła się też zwarta dotychczas wełna chmur, niebo przejrzało niedosiężnie wysokie, i pociągnęły po nim obłoczki z ceglanym odbiciem zachodu. To, że szło na mróz poznać było i po wronach które, skądś przyleciałe, usadawiały się na samych wierzchołkach drzew. Nieraz na gałązkach tak cienkich, że każdemu kto na nie patrzył, musiałoby przyjść zastanowienie: i jak to utrzyma ich, taka cienkość.

Józef MACKIEWICZ

Akt

ON: Niech pan siada.

JA: Przecież nie ma krzeseł.

ON: Co to komu przeszkadza. Wiek?

JA: Pełnoletni.

ON: Żonaty?

JA: Od czasu do czasu.

ON: Stałe zajęcie?

JA: Celnik, kapłan, kibic, karierowicz, marksista lub poeta.

ON: Groeten aan Uw tante en oom.

JA: Dank U zeer.

ON: Mag ik Uw telefoonnummer hebben?

JA: 19-39-1945.

ON: Wij willen graag stoppen en het uitzicht bewonderen.

JA: Mijn klok loopt voor en mijn gehoorapparaat moet nagekeken worden.

ON: Proszę więc wszystko opowiedzieć od samego początku.

JA: Dnia 8 sierpnia 1967 roku o godzinie 19 z minutami wysiadłem na stacji Abbesses. Wieczór był ciepły lecz pochmurny. Co chwila wydawało mi się, że deszcz spadnie i żałowałem, że nie miałem ze sobą płaszcza. Pamiętam, że szedłem rue Gabrielle, że błdziłem trochę, że parę razy przemaszerowałem rue d'Orsel, że wreszcie znalazłem się na place St. Pierre u stóp schodów wiodących do Sacré Cœur.

ON: Banalny podróżnik z pana.

JA: Nie dosłyszałem.

ON: „Fenomenalny kobieciarz z pana” powiedziałem.

JA: Dziękuję. Powoli zacząłem się wspinać po schodach. Zatrzymywałem się kilkakrotnie, siadając na ogrodowym krzeselku, by złapać oddech. Przysłuchiwałem się rozmowom tubylców, ale umykałem jak tylko zbliżała się babcia z biletami. Potem czas jakiś siedziałem na skwerze przy którym stoi kościół św. Jana. Aż zapalili lampy i spadły pierwsze krople deszczu.

ON: A coś pan robił w Luwrze poprzedniego dnia?

JA: Oglądałem malowidła Poussina.

ON: Żartuje pan.

JA: Słowo honoru.

ON: Czytał pan Quine’a?

JA: Oczywiście.

ON: Ale „Kapitału” pan nie czytał?

JA: Nie.

ON: Dlaczego?

JA: Proszę pana, to co jest do powiedzenia, zwykle da się wyrazić zwięźle i prosto. Po jakimś czasie człowiek uczy się rozpoznawać watę, pustosłowie i wielobarwną retorykę. Dlatego instynktownie unikam dziś wszelkich gigantów. Czy to będzie mur chiński, czy to będą piramidy, amerykańskie wieżowce, symfonie Brücknera, plafony Michała Anioła, czy też dzieła zebrane Hegla, Marxa, Stanisława Brzozowskiego lub Teilharda de Chardin. Dla kontrastu: miłośnicy lord Russell wyklada wszystko jasno, a kiedy musi wyrazić myśl niezwykle zawiłą, przeprosza czytelnika, powiadając, że to nie jego wina, że świat jest tak skomplikowany. Ani myśli wykręcać się sieczką i delfickimi dwuznacznościami. Niech pan zwróci uwagę, że właśnie tam, gdzie mamy sieczkę i brak klarowności, tam znajdujemy również tajną policję, tortury, niebezpieczne maniactwo władzy. Doktryny absurdałne nie mogą się ostać w świetle dziennym. Muszą być poparte siłą. Stąd cenzura, brutalność przemocy, tępota, prześladowanie niewinnych. Można na poczekaniu sformułować aforyzm, że, jak padlina, każda sprzeczna teza przyciąga jezuitów, satrapów, ubeków i tym podobne siły ciemności.

ON: Więc Quine’a pan czytał?

JA: Stale go czytam. Mam słabość do nominalistów.

ON: Zna pan może przekład polski.

JA: Znam i nie pochwalam.

ON: Dlaczego?

JA: Quine pisze o tym co „jest”, tłumacz o tym co „istnieje”. To jest ogromna różnica, gdy się porusza zagadnienie tak doniosłe. Quine, równie wielki stylista co myśliciel, jest w pełni świadom wagi każdego słowa. Dlatego, na postawione sobie „proste” pytanie „What is there?”, odpowiada równie rozbijającą „everything”. Oto niebywale efektowny chwyt stylistyczny: w uderzająco bezpośredni sposób konfrontuje czytelnika z zagadnieniem, na które nikt dotąd nie znalazł zadawalającej odpowiedzi. Mam tu cały *dossier* dalszych uwag.

ON: Niech się pan za bardzo nie popisuje, bo jeszcze pan na sobie podejrzenie skupi. To, co pan powiedział już nam wystarcza, by pana natychmiast zwolnić lub osadzić w pierdlu na stałe. My też dokumentację systematycznie kompletujemy.

JA: Do usług.

ON: Gdzie się pan urodził?

JA: W Babilonie. Rzym mnie nazwał człkiem.

ON: Drogi panie, ja też do szkoły podstawowej uczęszczałem: jak pan mądrzejszych od siebie cytuję, i to błędnie, niech pan nie zapomina o cudysłowach.

JA: Przepraszam.

ON: Więc proszę o życiorysik w kilku wyważonych zdaniach. Proszę nie zapominać, że magnetofon jest bardzo sprawny. Najnowszy model amerykańsko-radziecki.

JA: Poczęto mnie więc pewnej parnej nocy w jednym z naszych licznych wiszących ogrodów. Potem miałem ciężkie dzieciństwo. Ojciec był kapłanem, potem go ukrzyżowali. Mnie i brata wychowywały niańki. Matki nigdy nie było w domu. Później dowiedziałem się, że była sufrażystką. Z czasem została kochanką Solomona, potem żoną Menelaja i spowodowała długoletnią wojnę. Jedyną ostoją okresu dojrzewania był brat, aż mu się znudził rodzinny Babilon, sprzedał się w niewolę kupcom perskim i zawędrował z nimi do Chin gdzie po latach został cesarzem czy namiestnikiem. Podobno nawet przysłał po mnie wysłanników z propozycją objęcia tam jakiegoś wysokiego stanowiska. Ale ja wówczas odkrywałem Amerykę, a wiadomość i tak dotarła do mnie przypadkiem po latach, gdy brat już spał snem wieczystym w grobowcu faraonów chińskich. Zresztą źródło było niepewne, więc nie przywiązuję do tego epizodu większej wagi. Miałem ciężkie dzieciństwo. A pan?

ON: Oczywiście. Ale zawsze lepiej być niż nie być.

JA: „Cierpię, więc jestem”, czy coś takiego.

ON: Nigdy „istnieję”!

JA: Ma pan poczucie humoru, gratuluję.

STANISŁAW WOKULSKI: Lepiej nie być.

KRÓLEWICZ HAMLET: Żywot wiekuisty musi być strasznie nudny.

WOKULSKI: Jest wynagrodzeniem za umartwienia życia doczesnego.

HAMLET: Wszystkie religie są absurdalne.

TERTULIAN: Non p-p-pudet, quia p-p-pudendum est, pro-prosus credibile est, quia inep-ptum est certum est, quia imposibile.

HAMLET: Na tym całe nieporozumienie polega. Człowiek jest istotą rozumną. Jak najlepiej przekonać ludzi, że się jest poza ich zasięgiem? Zademonstrować, że się nie jest w stanie rozumnie myśleć. Ale mnie jeszcze nikt nie pasował na świętego, choć wielu stwierdziło, że rzeczywiście jestem szalony.

OFELIA: O, what a noble mind is here o'erthrown!
Now see that noble and most sovereign reason,
Like sweet bells jangled, out of tune, and harsh.

HAMLET: A któż zaborczą armię polską w Danii ogniem i mieczem na elementy pierwsze rozłożył? Zresztą, wracając do Tertuliana, jak mamy rozróżnić absurdy, w które winniśmy wierzyć, od absurdów, które na wiarę nie zasługują?

OFELIA: O, woe is me
T'have seen what I have seen, see what I see!

ON: Cóż, głosik gąski, młodziutkiej, głupiutkiej księżniczki. Może nawet była brzydka i ułomna, a w łóżu oporna i zimna. Na pewno miała sopran. Same teksty jej pornograficznych piosenek na to wskazują. Czyż nie?

JA: Rozsądek nakazuje zgodę.

ON: Gdyby choć przynajmniej miała alt, to by się królewicz dawno swego matczynego kompleksu pozbył. Złoty alt! Głos kobiety dojrzałej, doświadczonej kochanki, a nie jakiegoś tam ćwierkającego podlotka. Ofelia w roli protagonistki *Frauenliebe und Leben* na przykład, a nie dziecinnie rozbawionej Zuzanny, powiedzmy. Królewicz był przecież człowiekiem czułym, bystrym i mądrym ponad swoje lata. Kobieta, która głosem na przykład Janet Baker zaśpiewałaby mu „Kołysankę” Straussa, wyleczyłaby go

z kompleksów i neurozy. Niestety, jak wiemy, przez Ofelię skończyło się tragicznie dla tylu osób.

JA: A pan czytał Quine'a?

ON: Że pan w ogóle o takie rzeczy pyta!

JA: Jeżeli pan go na pamięć zna, wie pan, co mistrz ma do powiedzenia o „pustynnych krajobrazach”?! Żadnych Hamletów, żadnych jednorożców i tym podobnego metafizycznego plugastwa.

ON: Przyznaję się do winy.

JA: Nie zapominajcie także obywatelu, że magnetofon stale czynny, że maszyna jest obojętna na cierpienia i obawy ludzkie. Wszystko wiernie notuje, niezależnie, czy to pana głos czy mój utrwała się na tej luksusowej cztero-ścieżkowej taśmie dźwiękowej.

ON: Mea culp-p-pa.

JA: Irracjonalne przyznawanie się do winy i to po łacinie, wskazuje, że panu ciężkie dzieciństwo zleciało gdzieś na wschodnich rubieżach rodzinnej Europy.

ON: Istotnie.

JA: Ciężkie dzieciństwo, gimnazjum ogólnokształcące, okupacja.

ON: Tak.

JA: Drętwa mowa kleru i marksistów.

ON: Tak.

JA: A kto u was Żydów mordował?

ON: Faszyci, którzy teraz wysługują się kapitalistom w NRF, NRD i Egipcie.

JA: A kto mordował w Katyniu?

ON: Kwame Nkrumah, Mao Dze Dung, Henryk Sienkiewicz, Ché Guevara i Ben Gurion. Jak pan widzi, sami Żydzi.

JA: Ile lat służył pan w Bezpiece?

ON: Osiem.

JA: Czym trudni się pan obecnie?

ON: Murarstwem, poezją i stręczycielstwem.

JA: Proszę mówić swobodnie. Papierosa. Wódeczki. Whisky. Marihuany. Piwa. Soku pomarańczowego. Coś na ból głowy. Cztery razy siedem.

ON: 1944.

JA: To ciekawe.

ON: Syna mi zatłukli w Warszawie.

JA: Tu jest pan z dala od koszmarów okupacji, smrodu taniej benzyny, kolejek po żywność, średniowiecznego kościoła katolickiego, drobnej burżuazji ukrywającej się za legitymacją partyjną. Tu nad wodami Lemanu, pije pan coca-colę, ogląda pan pełne sklepy, modnie uczesane kobiety, bez trosk bankierów. Zapewne ma pan coś w tej sprawie do powiedzenia.

ON: Jesteśmy narodem tragicznym. Wybieramy wolność raz tu, raz tam, kupujemy lodówki, umieramy po więzieniach, walczymy o to lub owo. Brak nam wspólnych celów i poczucia narodowej tożsamości. Powody leżą w przeszłości. Marksistowska interpretacja naszej historii nie jest, jak pan myśli, absurdem. Nie jest winą Marxa, że przywłaszczyli go sobie półinteligenci. Narzucono nam obrządek łaciński, narzucono nam germańskie mieszczaństwo, narzucono włoski barok, francuską kulturę, niemiecki przemysł, rosyjską rewolucję i melancholię. Wszystko żywcem ściągnięte, nic własnego poza sztuką ludową. Norwid wiedział, co czyni, gdy się kurczowo tej naszej ludowości trzymał, zwłaszcza, gdy bliżej poznał Lipsk, Florencję i Paryż. Inaczej zaprzepaściłby własną osobowość. Gdyby nas te plagi ominęły, wystartowalibyśmy co prawda późno jak wszyscy Azjaci, ale przynajmniej wiedzielibyśmy kim jesteśmy.

JA: W roku 1922 Kurt Schwitters popełnił jednak dadaistyczny collage, na którym widnieje banknot z orłem w koronie i napisem „Jedna Marka Polska”.

ON: Argument silny, ale nie przekonywujący.

DR SAM JOHNSON: „Polack” is the name of an inhabitant of Poland. „Polaque” is French. As in Cameron’s translation of Passeratius’s „Epitaph on Henry III of France”:

This little stone a great king’s heart doth hold,
Who ruled the fickle French and Polacks bold.

ON: Argument silny, ale nie przekonywujący.

JA: Drogi przyjacielu, wobec tego aresztuję was na mocy wszystkich paragrafów Małego Kodeksu Karnego Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego, Bolesława Nieśmiałego, Jana Kochanowskiego, Jana Opalińskiego, Jana Śniadeckiego, Hotelu Lambert, Rzeczypospolitej Polskiej, Synodu Chocimskiego, Wielkiej Encyklopedii Powszechnej i Sumienia Narodu.

I tak jak Lelum i Polelum skuci maszerujemy po jasno oświetlonej scenie. Łańcuchy ciężkie pobrzękują, podkute świeżo zelowane buty z cholewami walą w deski proscenium, wznosząc

kurz, budząc śmy, wywołując oklaski i śmiech widzowi. Wreszcie, jak ospali leniwi lubieżni Azjaci, jak sztuczni bracia syjamscy, stajemy na baczność zwróceniu ku widzowi niewidocznej za smugami oślepiających lamp, reflektorów, rac i ogni bengalskich. Publiczność podjudzona naszym strip-teasem do szatu, wyje, rzuca na scenę bukiety sztucznych kwiatów, pudełka czekoladek, transparenty („Kraje Rad, Łączcie Się!”), onuce, stenogramy posiedzeń XX Kongresu („Boże błogostaw Krajom Rad!”), makiety klimatyzowanych obozów koncentracyjnych i fotokopie studolarowych banknotów.

Stoimy teraz nadzy w świetle purpurowym i ta barwa jeszcze bardziej widzów ekscytuje. „Nie macie nic do stracenia prócz kajdan!”, krzyczą. Za chwilę zaczną nas ze skóry obdzierać, w nadziei, że wreszcie odkryją tajemnicę naszego bezkonkurencyjnego sukcesu. Ale cóż rewelacyjnego ujawnią brudne wnętrza śmierdzącej padliny?

Adam CZERNIAWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

« Biej Żidow, spasaaj Rassiju »

Taki był w carskiej Rosji slogan Czarnej Sotni, ciemnej reakcji, inspirowanej przez Ochronę — *ówczesną rosyjską Bezpiekę* — slogan który doprowadził do niezliczonych pogromów i mordów.

Znałem Rosjan z lewicy rewolucyjnej, którzy tamte czasy jeszcze pamiętali, dla nich to wspomnienie było hańbą, nie tylko rządów carskich z którymi walczyli, to była hańba Rosji, więc ich własna. Reakcja tych ludzi najgwałtowniejsza, solidarność ze szczutymi i prześladowanymi „niezależnie od kształtu ich nosa”, reakcja w piśmie, słowie i czynach, więzy braterstwa, wspólnych walk i przyjaźni z Żydami-Rosjanami uratowały wówczas godność i honor Rosji w oczach świata.

Dziś, kiedy partia komunistyczna próbując się w Polsce ratować, wymyśla niebezpieczeństwo polskich syjonistów, kiedy szczuje na Żydów polskich czy na Polaków żydowskiego pochodzenia, na wszystkich którzy noszą nazwisko żydowskie, którzy mają matkę czy żonę o nazwisku żydowskim, usuwając ich ze stanowisk na zasadach *rasistowskich* (takie były pierwsze kroki hitleryzmu w Niemczech) — każdy Polak: antykomunista czy komunista, katolik czy bezwyznaniowiec, odczuwać to musi jako *własną* hańbę. Nie było jeszcze takiej polskiej władzy, która by się na takie zarządzenie zdobyła, która by tak *zdradziła* polską tradycję tolerancji, którą tak lubimy się chlubić na zewnątrz.

Nie łatwo będzie tę hańbę wymazać, bo to posłuszne wykonanie zarządzeń po linii sowieckiej, anty-izraelskiej i anty-żydowskiej zostało dokonane na *naszej* ziemi, przez *Polaków*.

W odezwie Prymasa piętnującego bicie młodzieży, bezprawie zarządzeń, kłamstwo prasy, nie ma jednego słowa o jawnie antysemickim charakterze tej ostatniej akcji rządowej. Czyżby nawet Kardynał Wyszyński, którego głos znaczy więcej niż jakiegokolwiek inny głos w Polsce, czuł się zmuszony zrobić ustępstwo na rzecz tego odłamu społeczności katolickiej, który jest tradycyjnie wrogi Żydom?

Dlaczego nie słyszymy kategorycznego, głośnego napiętnowania tej brudnej roboty przez organizacje, przez władze emigracyjne? Ta sprawa, niestety, jest równie jasna jak drażliwa. To związanie się z partią N.D., której głos i autorytet na emigracji jest znaczny — to jest może również „oniemienie” społeczeństwa emigracyjnego, które w znacznej części podskórnie, nieraz nawet podświadomie, jest endekoidalne. Lepiej milczeć, wsadzić głowę w piasek i tłumaczyć, że antysemityzm w Polsce nie istniał i nie istnieje.

Druga sprawa niemniej drażliwa, o której tu należy wspomnieć: Żydzi wobec nas. Spotykamy się coraz to we wszystkich krajach ze zjawiskiem u Żydów, które można by nazwać lustrzaną odbitką naszego rodzimego antysemityzmu — to namiętny anty-polonizm, znów tylko pewnego odłamu społeczności żydowskiej. Wielu Żydów nie waha się Polskę na każdym kroku skalować i Steiner ze swoją „Treblinką”, w której między innymi opowiada ze szczegółami o pogromach w Wilnie, których nigdy nie było, nie jest wcale wyjątkiem. Ale tu Poliakow, wielki specjalista od spraw żydowskich, pierwszy zaprotestował w prasie francuskiej. Pewni Żydzi informują o Polsce w taki sposób, że niezadługo świat uwierzy, że to nie Niemcy a Polacy są odpowiedzialni za zagładę Żydów. Sam miałem wątpliwy zaszczyt starcia się z (ex-porucznikiem Armii Czerwonej) autorką książki, między innymi o Polsce, która pisze wprost, że w jej miasteczku Niemcy nie mieli dużo do roboty z deptaniem godności Żydów i z eksterminacją; Polacy odruchowo — *très spontanement* — tę robotę wzięli na siebie. Znaleźli się nauczyciele polscy, którzy bili swoich żydowskich uczniów spotkanych na ulicy, a panie (w kapeluszach) chodziły do żydowskich sklepów, by płuć sprzedawcom w twarz, robotnicy zaś radośnie przypiekali zadki swym żydowskim współtowarzyszom, *grillaient joyeusement leurs fesses*. Tyle o stosunku Polaków do Żydów w 1939 roku, we wspomnianej książce.

Mam przed sobą list z Chicago, napisany przez rdzennego Polaka, uczestnika Powstania Warszawskiego, który jako specjalista walk w mieście zgłosił się w dniu wybuchu wojny żydowsko-arabskiej na ochotnika do wojska izraelskiego. Pisze on o „patologicznym” i „bezinteresownym” antysemityzmie polskim ale porusza również stosunek Żydów do Polaków w Ameryce. Pozwolę sobie duży fragment tego listu zacytować*.

„... Nigdy w życiu nie wsączył się we mnie jad antysemityzmu. Przez cały czas okupacji, aż do Powstania — w naszym domu, w samym sercu Warszawy, przechowywaliśmy Żydówkę — koleżankę mojej matki z pensji, a także innych, przelotnych uciekinierów przed zagładą. Podawaliśmy ich dalej albo umieszczaliśmy bezpiecznie.

W getcie miałem serdecznego przyjaciela i kolegę z ławy szkolnej, który był sekretarzem inżyniera Czerniakowa i który został zamordowany, gdy

* Nie podaję nazwiska autora tego listu, bo to list prywatny.

Czerniakow zażył cjankali (a nie „wyciągnął z szuflady rewolwer i strzelił sobie w łeb”, jak to kiedyś w *Wiadomościach* napisał Garliński).

U tego mego przyjaciela byłem w getcie na tydzień przed jego tragiczną śmiercią. Byłem z aryjskimi papierami dla niego i bezpieczną drogą na pozagettową wolność. Nie przyjął ocalenia: przyjął los swego szczenię, który poznał dopiero w najstraszniejszej niedoli. A potem chodziłem do getta, gdy hitleria ogłosiła, że nawet mysz się nie przemknie w żadną stronę. Radziłem sobie. Przyjmowałem wyzwanie. Dopiero teraz jestem bezsilny — nie mogę zmobilizować pomocy Żydów gdy trzeba zaprotestować przeciwko sformułowaniom w prasie o „polskich obozach koncentracyjnych” (*Life*), gdy trzeba wyjaśnić, że Korczaka nie wydał żaden polski antysemita, i że był on i jest w swojej polskiej ojczyźnie nad Wisłą i gdzie indziej bohaterem od dawna, a nie od tygodni, jak tego chce redaktor *Parade*, niedzielnego dodatku do jednego z anglo-języcznych dzienników Chicagowskich.

Nie wystarcza polskim nazwiskiem podpisywać sprostowań, bo to syzyfowa praca. Trzeba odpowiedniej reakcji uczciwych Żydów. I tu właśnie proszę Pana o pomoc, o radę, bo „odzywa się nie odwzajemniona miłość Żydów do Niemiec i niedługo nikt o nas nie będzie myślał inaczej jak tylko *butchers helpers*.

16 lat temu przygotowałem wywiad radiowy z Żydem młynarzem z Lubelskiego, którego wraz z 10-cio osobową rodziną uratowali polscy chłopci. W przeddzień programu stary Żyd płacząc wyznał mi, że nie pozwolono mu powiedzieć tego, co miał powiedzieć. Kto nie pozwolił — nie wyjawiał.

Węc działają dwie siły: rodzima endecja, i ci wszyscy, którzy po dawnemu zacierają ręce, że ktoś inny robi (ale na pewno robi) brudną robotę, oraz jakieś nieujawnione siły, które podsycają niechęć Żydów do nas i w opinii starają się nas przedstawić, jako współników Hitlera i współodpowiedzialnych za zagładę Żydów.

Wyznaję, że jestem bezsilny, zniechęcony i zmęczony. Być może też, że stosuję kryteria rozumowe i uczuciowe, które w dzisiejszym świecie są nie do przyjęcia...”.

Ten list nie jest odosobniony, listów podobnych otrzymujemy wiele od naszych przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych, z Wenezueli, z Kanady.

Kultura jest atakowana, że za mało pisze o wrogich nastawieniach Żydów do Polaków na świecie, że pisze więcej o naszych wobec Żydów przewinieniach.

Tak jest, bo naszym obowiązkiem przede wszystkim jest walczyć ze złem, które w rdzeniu swoim naszą polską społeczność truje. Już 100 lat temu napisał Norwid:

*Nie ten gniazdo kala co je kala
Ale ten co mówić o tym nie pozwala.*

Stosunek *Kultury* do Żydów, do Polaków-Żydów, do Izraela, do całej wspólnej na naszej ziemi historii, jest zbyt znany, by do tego powracać.

Po oświadczeniu solidarności z Izraelem, który z paru przyjaciółmi podpisałem w chwilach kiedy samo istnienie Izraela było śmiertelnie zagrożone, ja sam otrzymałem ponad 200 lis-

tów od Polaków z całego świata, którzy pragnęli do tego oświadczenia dołączyć swe podpisy*. Redaktor *Kultury* i Redakcja *Kultury*, otrzymali takich listów bez porównania więcej, ale wśród tych listów jest także niejeden zatruty, który z trudem i z przymusem czytam od deski do deski.

Długie wywody, powtórzone prawie bez zmian z polskiej przedwojennej prasy antysemitycznej, jakby autorzy tych tekstów nie zauważyli, że 6 milionów Żydów wymordowano, że znikły z powierzchni ziemi miasteczka polskie o przewadze żydowskiej, jakby nie zauważyli, że dawne płaszczyzny tarć między Żydami a Polakami znikły, przesunęły się, lub powstały inne, ale że powstały także nowe, łączące nas z Żydami fakty i wydarzenia, które trzeba by na nowo przemyśleć.

W tej samej teczce znajdują anonim z New Yorku („zbyt Żydami pogardzam...”) lub na przykład krotochwilny wierszyk, gdzie idąc posłusznie po linii dzisiejszej polityki i propagandy polskiej partii komunistycznej, polski kapłan wiąże Niemcy i Izrael „poprzez kominy Buchenwaldu” w jedną firmę „ludobój i spółka”!

Jedna pretensja, która się w listach do nas powtarza: dlaczego *Kultura* drukuje jedynie listy wybrane, przeważnie w linii *Kultury*? Tu odpowiedź jest jasna: listów jak wyżej przytoczone, *Kultura* drukować nie zamierza, dla dwu powodów: 1) *Kultura* ma swoją linię i o nią walczy; 2) broni *poziomu* pisma. Gdybyśmy chcieli drukować wszystkie listy musielibyśmy *Kulturę* wydawać w potrójnej objętości, zamieniłaby się ona w coś pomiędzy skrzynką pocztową a koszem do śmieci.

Stanowisko naszego pisma jest od lat na jednym odcinku niezmiennie: od początku, wbrew napaściom, walczyliśmy z ciastym polskim nacjonalizmem — to ustawia nasz stosunek nie tylko do Żydów, ale i do Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, do Rosjan i do Niemców. Tak postępując czujemy się w istotnej tradycji polskiej.

Każdy naród, każde skupisko idąc po najsłabszej linii oporu szuka kosztów ofiarnych, każda mniejszość przy tym do tej roli się nadaje, a już idealnym — bo pod ręką — kosztem ofiarnym jest — Żyd!**

* Zdałem z tego sprawozdanie w artykule „Solidarność” *Kultura* Nr 9 (1967).

** Pamiętać musimy, że antysemityzm nie jest wyłącznie polskim zjawiskiem, że ma bardzo głębokie korzenie w przeszłości, że obok antysemityzmu polskiego który jest *naszym* wstydem jest rosyjski antysemityzm, dawne pogromy i „czerta asiedłosti” (strefa osiedlenia), jest niemiecki z zagładą milionów Żydów w komorach gazowych, jest antysemityzm sowiecki i nawet amerykański (hotele z napisem: „Wstęp Żydom wzbroniony”). Wszędzie istnieje w formie tlejącej czy wybuchowej, w społeczeństwach chrześcijańskich i muzułmańskich; tu, we Francji, gdzie groził wręcz wojną domową w czasach procesu Dreyfusa, miał on swoich zwolenników i propagatorów również w latach hitlerowskich. „La grande rafle du Vel d'Hiv” (Claude Lévy et Paul Tillard, Ed. Laffont), przeprowadzona „wzorowo” z rozkazu Niemców ale rękami wyłącznie *Francuzów* (9.000 policji i wojska, plus

Jedno jest pewne — jak dawniej akcja Ochrazy w Rosji carskiej, jak dawne „Biej Żydów” tylko bliżej związało postępowych Rosjan i Żydów, tak dziś polityka partii i Bezpieki w Polsce pobudzić musi nas wszystkich, Polaków i Żydów, do zachowania, do wzmocnienia naszego paktu przyjaźni i do wspólnej walki z Ciemnogradem.

Józef CZAPSKI

« Hańba » czy wstyd ?

Kiedy Paweł Jasienica odczytał na walnym zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich antysemitkę ulotkę, rozdawaną na uniwersytecie warszawskim przez ludzi Moczara, zebrani pisarze chóralnie zakrzyknęli „Hańba!”. Podziwiam dzieło Jasienicy, podziwiam jego odwagę, reakcja zebranych podniosła mnie na duchu. Jak wytłumaczyć Jasienicy i jego słuchaczom uczucie zażenowania jakie mnie ogarnęło kiedy przeczytałem jego dalsze słowa: „Koledzy! ktoś dla siebie wiadomych celów usiłuje ściągnąć na nasz naród piętno antysemitów. Brak tolerancji odbił się już na sprawach Polski za czasów Voltaire’a, kiedy to podnoszono sprawę naszej nietolerancji religijnej. Wiem o tym dobrze, jako historyk. Nic nam dziś nie może przynieść większej szkody, jak wytworzenie w opinii świata przekonania, że jesteśmy narodem antysemitów”. („Długo nie milkną oklaski i okrzyki” — czytam w sprawozdaniu).

Wiem, że Jasienica antysemityzm potępia. Ale przykro mi, że zamiast zastanowić się poważnie nad źródłem zła, zakłada z góry: a) że antysemityzmu w Polsce nie ma; b) że chodzi o tajemniczy spisek mający na celu „skompromitowanie narodu”; c) że największym złem jest właśnie „kompromitacja” w oczach światowej opinii (nie może nim być antysemityzm — skoro go nie ma).

Obecny nawrót antysemityzmu w Polsce jest jedną z boleśniejszych spraw w naszej historii. Nie tylko dlatego, że w Polsce właśnie, na oczach Polaków, zginęły miliony Żydów zamordowanych przez hitlerowców. Nie tylko dlatego, że z trzech milionów Żydów pozostało w Polsce 30.000 niedobitków, którym w nor-

300 do 400 młodzieży-ochotników), ta obława z 1942 r. w Paryżu spędziła jednego dnia, w jedno miejsce 13.000 mężczyzn i kobiet przeznaczonych do obozów śmierci, włączając do nich, z decyzji Laval’a, jeszcze dzieci, które rozkaz niemiecki pominął. Nie wierzę by tych rozmiarów obława przeprowadzona być mogła w tamtych czasach równie „wzorowo” w sercu Warszawy wyłącznie rękami Polaków.

malnych warunkach, w ludzkim społeczeństwie, po tak straszej tragedii, nic już nie powinno zagrażać. W pierwszym rządzie dlatego że do antysemityzmu doczepiono teraz hipokryzję. Hipokrytami są ci, którzy antysemityzm podniecają, którzy uciekają się do tej straszej broni w swej walce o władzę, w swych porachunkach wewnątrz partii. Usuwając Żydów ze stanowisk w partii, w rządzie, w administracji, w instytucjach kulturalnych, atakując Żydów, denuncjując Żydów, wyliczając żydowskie nazwiska wśród opozycji studenckiej, rewizjonistycznej i liberalnej krzyczą bez przerwy, że nie są antysemitami, Panie Boże i Karolu Marksie broń! Moczar antysemita? Kąkol antysemita? Piasecki antysemita? Skądże!

Hipokrytą jest również Gomułka kiedy mówi, że „antysyjonizm nie ma nic wspólnego z antysemityzmem” i wyjaśnia: „Antysemityzm ma miejsce wówczas, jeśli ktoś występuje przeciwko Żydom dlatego, że są Żydami”. Ponieważ w Polsce, poza O.N.R.-em i Falangą (nie licząc szeregu ludzi spośród Stronnictwa Narodowego) „konsekwentne” teorie rasistowskie na modłę hitlerowskich ustaw norymberskich nie istniały — można na tej podstawie twierdzić, że antysemityzmu w Polsce nie było. Polacy nie występowali przeciwko Żydom „dlatego że są Żydami”, ale dlatego że Żydzi są brudni, chciwi, kłamią, mają pejsy, mówią żargonem, nie chcą się asymilować, a także dlatego, że się asymilują, przestają mówić żargonem, są elegancko ubrani, chcą być Polakami. Dlatego, że są niekulturalni i dlatego, że są za bardzo kulturalni. Dlatego, że są przesadni, zacofani i ciemni i dlatego, że są piekielnie zdolni, postępowi i ambitni. Dlatego, że mają długie garbate nosy i dlatego, że nieraz nie można ich odróżnić od „czystych Polaków”. Dlatego, że ukrzyżowali Chrystusa, że praktykują ubój rytualny i ślęczą nad Talmudem i dlatego, że wzgardzili własną religią i są ateistami. Dlatego, że są chuderlawi, chorowici, wrodzone ofiermy i ofiary i dlatego, że są wysportowani, mają bojówki i „chucpę”. Dlatego, że są bankierami i kapitalistami i dlatego, że są komunistami i agitatorami. W żadnym wypadku dlatego, że są Żydami.

Tak samo przedstawia się sprawa z „antysyjonizmem”. Gomułka nie jest antysemitą. Zarzuca on po prostu Żydom że są „syjonistami”. Zarzut ten wymaga zastanowienia. W epoce w której pojęcia „syjonizmu” i „antysyjonizmu” miały istotny sens, kiedy Żydzi rozproszeni po świecie stanęli przed wyborem czy założyć własne państwo czy pozostać na zawsze w diasporze, syjoniści byli wśród nich mniejszością (a wśród antysyjonistów byli zarówno zwolennicy całkowitej asymilacji, jak i masy ortodoksyjne, dla których „powrót do Jerozolimy” był hasłem transcendentnym, nieodłącznie związanym z nadejściem Mesjasza). To nie Żydzi, to „inni” (hitlerowcy w pierwszym rządzie, ale nie sami tylko hitlerowcy) sprawili, że dzisiaj dla każdego człowieka dobrej wiary (nie tylko dla Żydów) nie ulega wątpliwości, że konieczny jest obszar suwerenny zapewniający Żydom schronienie w razie możliwego zawsze nawrotu barbarzyństwa.

Na czym zaś polega „syjonizm” polskich Żydów? Po prostu na tym, że na równi ze wszystkimi uczciwymi Polakami, ze światową opinią i zgodnie z obiektywną prawdą sprzeciwili się tezie Gomułki że w ostatnim konflikcie z Arabami Izrael był agresorem. Należy dodać, że kłamstwa Gomułki a zwłaszcza nacisku żeby kłamstwo to było „spontanicznie” popierane przez społeczeństwo nie mogą usprawiedliwić żadne względy „solidarności ze Związkiem Radzieckim” ani szantaż rosyjskiego niebezpieczeństwa. Na dzisiejszym etapie obozu komunistycznego było to lizusostwo na ochotnika. „Antysyjonizm” Gomułki polega więc na tym, że Żydom nie wolno mówić prawdy. Jeśli zaś Żydzi nie mają prawa mówić prawdy dlatego, że są Żydami, to jak to nazwać? Antysemityzm częściowy? Dyskryminacja na tle pochodzenia?

Wilk, którego Gomułka w ten sposób wywołał z polskiego lasu, szydło, które przy tej okazji wyszło z polskiego worka, to już nie wilk częściowy, ani szydło dyskryminacyjne. To po prostu wilk antysemityzmu, to szydło na kształt mieczyka Chrobrego. Oenerowcy operowali jednak hasłem jasnym i precyzyjnym: „Bij Żyda!” Z przerażeniem oglądam na pierwszej stronie „Życia Literackiego” fotografię ponad stutysięcznego tłumu wieczącego 23 marca na Rynku w Krakowie z setkami transparentów, z których wszystkie figurujące na pierwszym planie, a więc czytelne, zaczynają się od obsesyjnego słowa o olbrzymich literach, zajmującego całą płachtę: SYJONIŚCI... Dalej trudno odczytać, ale migocą jednak poszczególne złowrogie litery: ... zdrada... zagranica... A więc partia może zmobilizować sto tysięcy Polaków pod jednym hasłem „antysyjonizmu”? Otrzymuję od lat propagandowy biuletyn warszawskiej agencji Interpress po francusku. Ostatni, kwietniowy numer poświęcony jest dwudziestej piątej rocznicy powstania warszawskiego getta. Wiemy z prasy, że kwiecień został oficjalnie ogłoszony w Polsce „miesiącem wspomnień”, że obchody ku czci bohaterskiego powstania warszawskich Żydów organizować ma... ZBOWID. Dziwny hołd składa poległym Żydom polska oficjalna agencja. Niejaki Wojciech Sulewski opisuje w tym biuletynie „żydowskie gestapo” oraz rzekomo kolaborującą z Niemcami „frakcję faszystowską syjonistów”, piętnuje „Judenraty...”, „policję żydowską, która aktywnie kolaborowała z hitlerowcami aby rabować i terroryzować Żydów w gettach, oraz pomagała w ich deportacji na miejsce kaźni”. Dodatkowo do tego biuletynu są tłumaczone na francuski wszystkie głosy prasy polskiej oskarżające Izrael i „międzynarodowych syjonistów” o współpracę z N.R.F. i o „łagodzenie winy niemieckiego faszystwu poprzez szkalowanie narodu polskiego”. Stanowczo, wieńce ku czci poległych bohaterów warszawskiego getta powinni nieść podczas tego koszmarnego obchodu Moczar, Piasecki i Kąkol. Podpis pod fotografią — tytuł książki Borisa Viana: „J'irai cracher sur vos tombes...”¹.

1. Już po napisaniu tego artykułu, widzę ze sprawozdań prasowych, że przepowiednia moja niemal się sprawdziła.

O tym jak trudno grać tę absurdalną komedię; świadczy konferencja prasowa urządzona przez ambasadora P.R.L. w Paryżu Drutto. Słyszałem o nim zawsze, zarówno od polskich komunistów jak i od liberałów, że to „stary komunista i przyzwoity człowiek”. Nieszczęsny ambasador miał za zadanie tłumaczyć francuskim dziennikarzom, że antysemityzmu w Polsce nie ma. Jako główny argument podał on... że jedyną polską partią zwalczającą antysemityzm w przedwojennej Polsce była partia komunistyczna. Ponieważ wiadomo, nawet francuskim dziennikarzom, ilu było w przedwojennej Polsce komunistów, ładnie wystawił p. Drutto świadectwo naszemu narodowi!

Trudno się dziwić hipokryzji komunistów polskich. Antysemicką hecę rozpętało stanowisko Gomułki w konflikcie izraelsko-arabskim. Niestety ani liberalna opozycja, ani Kościół katolicki nie przeciwdziałała z dostateczną siłą tej hipokryzji i uczestniczą poniekąd w zмовie milczenia zakładając, że antysemityzmu polskiego nie ma, że istnieje międzynarodowa „propaganda antypolska” szerzona przez Żydów. Antysemityzm jest złem bezwzględny, ale jest również symptomem zła ogólnego. Zagroza nie tylko Żydom ale wszystkim Polakom. Dlatego żałuję, że na odważnym zebraniu Związku Literatów Polskich wszyscy niemal podchodzili do antysemityzmu jako do „prowokacji”. Nikt się nie zastanowił w Polsce jakie są historyczne, polityczne, społeczne przyczyny faktu że można w roku 1968, na hasłach antysemitycznych torować sobie drogę do władzy. Na emigracji obowiązuje podobnie uproszczony schemat myślowy. Biuletyn Prasowy Radia Wolna Europa pisze: „Antysemityzm w Polsce jeśli istnieje — to jedynie w partii. W szerokich masach społeczeństwa potępia się stale różne wrogie antysemityczne wystąpienia partii i reżymu...”.

Polacy są niestety przewrażliwieni na punkcie stosunku Żydów zagranicą do polskiego antysemityzmu. Każdy niesprawiedliwy głos żydowski na ten temat jest wyolbrzymiany, przemilcza się zaś systematycznie wszystkie te liczne głosy żydowskie, które są dla Polski przyjazne, a które wobec smutnej przeszłości powinno się specjalnie cenić. Oskarżanie Żydów o „spisek antypolski”, negacja polskiego antysemityzmu, wyolbrzymianie pomocy udzielanej Żydom przez Polaków w czasie okupacji, z przemilczaniem faktów negatywnych, z tego samego okresu — to właśnie pożywka dla polskiego antysemityzmu. Są na szczęście wyjątki. Wzorem stosunku do tej sprawy jest wydana przez „Znak” książka „Ten jest z Ojczyzny mojej”, poświęcona Polakom którzy ratowali Żydów z narażeniem życia, ale nie kryjąca odwrotnej strony medalu...

Symboliczną wymowę ma dla mnie fakt, przytoczony przez Henryka Grynberga w jego artykule „Przygody z cenzurą” („Wiadomości” 7. IV. 68). Oto zdanie, które cenzura polska wykreśliła w jego noweli w „Twórczości” w lipcu ubiegłego roku:

„...bo Frydowie byli Żydami. Frydowie pewno myśleli, że po tym jak tyle przecierpień i zostali przy życiu, prawie sami

z całego miasteczka, to wszyscy im będą współczuli, dodawali otuchy, a może nawet cieszyli się z nimi..."

„Zrozumiałem — pisze Grynberg — że nie wolno mi będzie wzbudzać dla Żydów współzucia... że w Polsce nie będę mógł pozostać pisarzem”.

Wydaje mi się, że nie wystarcza wobec tego okrzyk „Hańba!”, godzący w innych. Że wszyscy Polacy, gdziekolwiek są, powinni odczuć palący wstyd...

Polska w obozie komunistycznym staje się odpowiednikiem Grecji w świecie zachodnim. I tu i tam garstka zupaków pod pretekstem egalitarnego antyliberalizmu nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów. Nie zapominajmy, że ich odskocznia w Polsce jest antysemityzm.

K. A. JELEŃSKI

Czy Martin Luther King zwycięży?

W niedzielę wieczorem, 31 marca 1968 roku prezydent Johnson w niespodziewanym przemówieniu do społeczeństwa amerykańskiego zadeklarował decyzję nawiązania rozmów pokojowych z Północnym Wietnamem, zaprzestanie bombardowań tego kraju i zrzekł się prezydentury i jakiegokolwiek ubiegania się o następną kadencję, ażeby poświęcić się całkowicie sytuacji państwowej wymagającej jego koncentracji. W cztery dni później, w czwartek, 4 kwietnia wieczorem, przywódca liberalnej grupy murzyńskiej, laureat nagrody Nobla, Dr Martin Luther King został zastrzelony w Memphis, Tennessee gdzie pojechał, aby moralnie poprzeć strajk śmieciarezy, których związek zawodowy nie został uznany przez majora i urząd miejski w Memphis.

W poniedziałek, 8 kwietnia, na wykładzie socjologii w Columbia University, w Nowym Jorku, położonym tuż przy zrujnowanym i dymiącym jeszcze Harlemie, profesor Robert K. Merton rozpoczął pierwszy wykład po tygodniowej przerwie wiosennych wakacji.

— Nie widzieliśmy się zaledwie tydzień — powiedział profesor Merton i zamilkł. Klasa milczała, było to poważne, spokojne milczenie ludzi, których dyscyplina naukowa nauczyła oceniać wypadki trzeźwo i przewidywać zdarzenia przyszłe na podstawie analizy przeszłości. Chociaż w nowojorskim Harlemie przycichło, chociaż stłumione zostało *resurrection* w Chicago, palił się jeszcze w dzielnicach murzyńskich, blisko Kapitolu i Białego Domu,

Waszyngton, sąsiednie Baltimore, Pittsburgh i pełne napięcia wyczekiwanie ciążyło nad krajem.

— Trudno mi prowadzić dalszy ciąg wykładów — powiedział profesor — walczę z moim obowiązkiem nauczania i obowiązkiem nauczyciela. Ten wykład będzie poświęcony teraźniejszości. Pokolenie nasze nie pamięta bardziej brzemiennego w wypadki tygodnia niż tydzień ubiegły. Proszę was jednak, postarajcie się, zmuscie się, aby nie być tylko ludźmi. Postarajcie się oderwać, odsunąć od siebie wszystkie emocje wywołane czwartkowymi wypadkami, gdyż mogą one zaćmić to, co stało się w niedzielę. A to, co stało się w niedzielę wieczór powinniśmy poprzeć.

Współczesne pokolenie Amerykanów nie pamięta bardziej znamiennego tygodnia niż ten który rozpoczęło przemówienie prezydenta. Kraj odetchnął. Nieufność do prezydenta, ustąpiła nadziei w lepszą przyszłość, było to jak wielkanocny cud w nowoczesnym wydaniu. Rezygnując z następnych czterech lat prezydentury, Johnson zyskiwał ostatnie 10 miesięcy, które chciał całkowicie poświęcić sprawom kraju, a może odzyskać zaufanie i zdobyć sympatię. Zabójstwo Kinga przeraziło Amerykę. Ciężka, zimna groza płynęła z aparatów telewizyjnych. Nowoczesny „cud wielkanocny”, który dokonał się zaledwie 4 dni temu zeszedł na drugi plan. Łańcuch *riots*, pożarów, rabunków, przerzucał się z jednego do drugiego miasta rozdmuchiwany przez prasę, przez radio, przez telewizję. Gromady wyrostków pędziły przez ulice murzyńskich dzielnic rozbijając szyby, rzucając bomby podpalające. Aparat telewizyjny spokojnie pokazywał obrazy, na których młodzież murzyńska dzwigała zrabowane ze sklepów: początkowo alkohole, później żywność, później ubrania i meble. Dzwigano fotele, kanapy, tapczany, telewizje. Policja ani wojsko nie strzelało. Rabujący krzyczeli: „Dosyć nas okradali sklepikarze przez te wszystkie lata. Nie rabujemy, odbieramy swoje!”. W zrujnowanych dzielnicach organizowała się natychmiast i bardzo sprawnie pomoc społeczeństwa. Biali pomagali czarnym, rozdawali żywność, opatrywali poranione nogi i ręce, spokojnie, z poczuciem rezygnacji i winy.

Uświadomiona społecznie biała *middle-class* amerykańska patrzy z troską i pesymizmem w przyszłość. Nie ma woli zmiany w naszym narodzie — mówią — nienawiść pogłębia się, nawet wykształcona *middle-class* murzyńska odsuwa się od nas, identyfikują się z własną mniejszością. Kiedy próbuję zaszczerpić trochę optymizmu w ten przygniatający pesymizm, odpowiadają: „Nie znasz ich”, albo: „Nie wiesz co to jest *Southern mentality*”.

Gazety, radio, telewizja zapełnione są artykułami, programami, które aż do przesady rozdmuchują zasługi do niedawna mało uznawanego doktora Kinga. Jeszcze kilka dni temu przedstawiany w Kongresie jako szarlatan, instygator, szaleniec, Martin Luther King rośnie i przeobraża się w bohatera narodowego.

Pierwsze swoje zwycięstwo odniósł Martin Luther King w roku 1956. Drobny, wydawałoby się, wypadek pchnął go w górę i wyniósł do szczytu u którego mówił „oglądam obiecaną ziemię”.

Incydent miał miejsce w autobusie w Montgomery, Alabama. Zmęczona całodzienną pracą przy maszynie krawieckiej, Murzynka, Rosa Parks odmówiła ustąpienia siedzącego miejsca w autobusie białemu pasażerowi. Zaaresztowanie jej wywołało bojkot autobusów przez Murzynów. Na czele ruchu stanął Martin Luther King pastor w kościele Baptystów na Dexter Avenue w Montgomery. Zwycięstwem jego była deklaracja Sądu Najwyższego w Alabama, w listopadzie 1956 roku, znosząca segregację w autobusach. Czy zabójstwo przywódcy Murzynów amerykańskich i, jak on sam twierdził, „przywódcy wszystkich ludzi ubogich” w walce o prawa społeczne, walce prowadzonej bezkrwawo, potępiającej gwałt, a głoszącej *love i brotherhood*, stanie się jego wielkim, ostatecznym zwycięstwem?

Biali i czarni maszerują w pochodach, biorą wspólnie udział w nabożeństwach, w publicznych manifestacjach. Wydawałoby się, że ten wielki, spontaniczny ruch musi przynieść ostatecznie ukonstytuowanie się reform społecznych, że potrzeba żądanego przez Kinga *Economic Bill of Rights*, gwarantująca pracę ludziom którzy chcą i mogą pracować, zostanie zrozumiana przez pojednane społeczeństwo i rząd, który w ciągu jednego wieczoru zapomniał „szarlatana” i uznał męczennika i bohatera.

— To co stało się w tym tygodniu — powiedział profesor Merton — jest powtarzającym się fenomenem historycznym. Człowiek, który staje się męczennikiem poprzez zadany mu gwałt pokazuje nam się w innej formie. Jest to jakby przeistoczenie się, zupełna przemiana. Ale zastrzegam, na pewien czas tylko!”

Emile Durkheim, socjolog francuski, pół wieku temu, bo w roku 1911 pisał: „Pojawienie się męczennika wytworza na pewien czas zbiorowy sens przynależności do jednej sprawy tylko u ludzi, którzy zaledwie kilka godzin albo kilka minut temu podzieleni byli w swoich opiniach. Osoba męczennika ulega transformacji, dawny krytycyzm i urazy zostają na pewien czas zapomniane. Ideały łączą się z realnością i społeczeństwo ludzkie połączone egzaltacją unosi się ponad siebie i ponad wszystko co przyziemne. Ale stan egzaltacji jest zbyt wyczerpujący. Połączone systemy społeczne znów się zacieśniają, zamykają i jednostki wyczerpane stąpaniem na koturnach ideałów wracają do codziennego i mniej męczącego poziomu myślenia.

Jeśli więc w najbliższym tygodniu, najbliższych kilkunastu dniach uniesienia, połączenia i idealistycznego zbratania większości społeczeństwa, przywódcy społeczni wykorzystają odpowiedni klimat i przeprowadzą i ukonkretyzują zmiany społeczne, Martin Luther King zwycięży.

Stany Zjednoczone są w stanie napiętego wyczekiwania. Cierpliwość i spokój z jakim białe społeczeństwo, a raczej większość tego społeczeństwa, reaguje na rewolucyjny ruch murzyński są często trudne do zrozumienia. Powinnam zresztą ograniczyć jeszcze „większość społeczeństwa” do północnych Stanów, gdyż w tym wewnętrznym konflikcie różnice Północ-Południe zarysowują się bardzo silnie. Wydaje mi się, jakby Północ obwiniła Połud-

nie i obarczała je częściową odpowiedzialnością za stan obecny. Zresztą stan obecny, rewolucja murzyńska, jej podłoże, klimat w którym się rozwinęła, dojrzała i wybuchła — wymaga osobnej analizy. W tej krótkiej notatce starałam się tylko odpowiedzieć na pytanie „Czy Martin Luther King zwycięży?”. Jako podstawę do tych rozważań użyłam nie wiadomości prasowych, ale analizy socjologicznej i uwag profesora Mertona. Użyłam też własnych obserwacji starając się je oczyścić od narzucających się, często pogarszających sprawę i przedstawiających ją niewłaściwie źródła telewizyjnych i prasowych.

Danuta MOSTWIN

nowość !

**ZOFIA
ROMANOWICZOWA
ŁAGODNE OKO BŁĘKITU
POWIEŚĆ**

CENA : We Francji Frs. 10.00

W Anglii Sh. 18/-

W U.S.A i innych krajach \$ 2.00

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:**



LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE · PARIS IV

Imperializm - globalizm - współpraca

W połowie marca br. odbyły się w Londynie liczne demonstracje anty-amerykańskie. Wielotysięczne tłumy „szturmowały” ambasadę amerykańską. Czy każdy imperializm budzi w ludziach uczucie gwałtownego protestu?

Nim odpowiemy na to pytanie — musimy odpowiedzieć na inne pytanie: czy polityka amerykańska w Wietnamie jest istotnie imperializmem? W moim przekonaniu polityka amerykańska w południo-wschodniej Azji nie jest imperializmem i z tej przyczyny nie przynosi rezultatów.

Nie chciałbym stwarzać wrażenia, że z przekonań i z zamiłowań jestem reakcyjnym imperialistą. Niemniej wypada stwierdzić, że polityka imperialna stanowi wypróbowaną metodę działania, która w przeszłości przynosiła bardzo konkretne korzyści.

Czy polityka globalna może nie być polityką imperialną? Jeżeli nie ma być polityką imperialną — czym winna być?

Polityka imperialna jest polityką jednostronną — to znaczy — opiera się na decyzji hegemonu a nie na uzgodnionej współpracy. W roku 1956 Rosjanie wmaszerowali do Budapesztu — opór zgnetli siłą i podyktowali swoje warunki. To był klasyczny imperializm. Sukces budapeszteńskiej operacji — z punktu widzenia Moskwy — nie zależał od współpracy Węgrów. Węgrzy musieli wykonywać rozkazy Moskwy — w przeciwnym wypadku ryzykowali więzienie lub śmierć. Wyższość polityki imperialnej polega na tym, że jej sukces zależy od talentu hegemonu a nie od stopnia i jakości współpracy partnera. Natomiast sukces polityki ko-operacji zależy nie tylko od hegemonu lecz przede wszystkim od współpracy partnera względnie partnerów.

Gdyby Amerykanie okupowali Wietnam, rozbudowali gęstą sieć baz i garnizonów, skasowali rząd i administrację cywilną wprowadzając wszędzie bezwzględną, kolonialną administrację — rezultaty, mierzone kryteriami polityki siły, byłyby prawdopodob-

nie lepsze. Polityka imperialna wymagałaby oczywiście nieporównanie większych sił niż armie, którymi dysponuje gen. Westmoreland.

Twierdzenie, że wojny w Wietnamie nie można wygrać — jest nonsensem. Być może wojna ta jest nie do wygrania z pozycji sojusznika Sajgonu. Z całą pewnością byłaby do wygrania w ramach polityki imperialistycznej. Amerykanie mają niepowodzenia w Wietnamie ponieważ nie są imperialistami i zadawałają się pozycją sojusznika rządu południowo-wietnamskiego.

Obiektywizm nakazuje stwierdzić, że amerykańska polityka globalna w południowo-wschodniej Azji jest mieszaniną imperializmu i współpracy. Ponieważ polityka ta nie jest ani imperializmem ani ko-operacją — tylko po części jednym i drugim — rezultaty są nikłe i stoją w jaskrawej dysproporcji do wydatków we krwi, w materiale i w dolarach.

Dlaczego tak jest?

Imperializm się przeżył — budzi powszechny sprzeciw i protest — a równocześnie nie ma go czym zastąpić. Dopóki Rosjanie prowadzą politykę imperialną — amerykańska polityka globalna stanowiąca odpowiedź na sowiecki imperializm — ma przed sobą ograniczony wybór. W prasie angielskiej czyta się często następujące „westchnienia”. Amerykanie mają kontynent, bogactwa, własne problemy. Po co im Wietnam? Mądry stary Lippmann proponuje, by oba super-mocarstwa wycofały się z terenów, które do nich nie należą. Lecz jeżeli Amerykanie zaczęliby się wycofywać, gdzież jest gwarancja, że Rosjanie również zaczęną się wycofywać? W mojej ocenie izolacjonizm amerykański byłby zaproszeniem i dziejową szansą dla sowieckiego imperializmu.

Cel obu hegemonów na terenie Europy jest ten sam. Rosjanie liczą, że w razie wojny państwa satelickie stawiają zbrojny opór przeciwnikowi. Amerykanie liczą, że w razie wojny państwa zachodnioeuropejskie stawiają zbrojny opór przeciwnikowi. Rosjanie zmierzają do tego celu polityką imperialną — Amerykanie zaś polityką ko-operacji.

O ile polityka imperialna ma za sobą stulecia tradycji i doświadczeń — o tyle polityka ko-operacji jest stosunkowo świeżą koncepcją. Jeżeli przyjąć, że celem amerykańskiej polityki współpracy w Europie jest zapewnić sobie czynny współudział aliantów w ewentualnej trzeciej wojnie światowej — nie jestem pewien czy politykę Waszyngtonu uznać należy za uwieńczoną sukcesem. Wyobraźmy sobie, że — na skutek rozszerzenia się konfliktu zbrojnego w skali światowej — Rosjanie postanawiają zabezpieczyć się od strony europejskiego Zachodu. W takiej sytuacji Moskwa miałaby dwie możliwości. Albo zająć zbrojnie kontynent pozostawiając w kluczowych punktach znaczne siły — albo przywódcy na Kremlu musieliby zadowolić się deklaracjami neutralności ze strony państw zachodnioeuropejskich. Tak czy inaczej, w końcowej fazie wojny Amerykanie musieliby wyzwać Europę na wzór pierwszej i drugiej wojny światowej.

„Kompleks europejski” zakorzeniony w umyśle każdego Amerykanina tu bierze swoje źródło. Przeciętny Amerykanin sądzi, że Europa zagraża Stanom Zjednoczonym w tym sensie, że — jak uczy doświadczenie — władna jest wciągnąć Amerykę w wojnę i w niekończącą się serię trudności i kłopotów.

H. Kahn i A. Wiener z Hudson Institute rozważając ten problem nie odrzucają możliwości, że gdy Amerykanie wyzwolą Europę pod koniec trzeciej wojny światowej — powiedzą sobie: do trzech razy sztuka! Wylądują na kontynencie europejskim i zostaną na zawsze. Waszyngton uzna bowiem, że tylko stała obecność poważnych sił amerykańskich zapewnić może spokój w tej najtrudniejszej części świata.

Jedno jest pewne. Celem polityki amerykańskiej — tak po pierwszej jak i po drugiej wojnie światowej — było stworzenie układu w Europie, który wyłączałby powtórzenie się sytuacji z lat 1914 i 1939. Amerykanie nie chcą nas wyzwalać po raz trzeci — choć jestem pewien, że podjęliby ten wysiłek i po raz trzeci, gdyby nie było innego wyjścia.

Imperializm przeżył się i budzi sprzeciw. Polityka ko-operacji jest niezmiernie trudna i mało efektywna. W procesie ewolucyjnym w chwili gdy stare formy obumierają — nowe formy dopiero ząbkują. Stalinizm jest martwy — lecz nowe siły, które go zastąpią — nie są jeszcze w pełni wykrystalizowane.

Ewolucja niesie ze sobą przemiany i grzebie *status quo*. W utrzymaniu *status quo* zainteresowani są nie tylko reakcyoniści i konserwatyści. Na terenie zachodniej Europy obserwowaliśmy ostatnio paradoksalną sytuację. Zwolennikami *status quo* okazali się ludzie skąd inąd niezmiernie światli i postępowi. Dzieje się tak, ponieważ interesy zainwestowane w *status quo* są bardzo rozmaite.

„The Observer” stwierdził szczerze, że „widok Czechosłowacji i Polski, które manifestują swoje niezadowolenie — budzić musi zarówno podziw jak i alarm”.

To jest bardzo charakterystyczne wyznanie. Jak wynika z treści cytowanej wypowiedzi ludzi Zachodu alarmuje nie tyle widmo Budapesztu — ile alternatywa *status quo*. Oczywiście widmo Budapesztu jest zawsze obecne. Sympatie dla Polaków i Czechów są szczerze. Szczególniej dotyczy to Czechosłowacji, która cieszy się wielkim uznaniem na Zachodzie. Sympatie są szczerze — lecz niemniej szczerze jest poczucie alarmu.

Sytuacja jest istotnie paradoksalna. Społeczeństwa Zachodu pragną ewolucyjnych przemian w Europie wschodniej. Instytucje brytyjskie przyznają stypendia studentom z Polski, oczywiście w tym celu by zapoznali się z Zachodem. Z życzliwością odnotowuje się w prasie posunięcia zmierzające do liberalizacji ustroju. Każda manifestacja w Pradze czy w Warszawie wzmaga na zachodzie falę zainteresowania i sympatii.

Tak oto dochodzimy do owego paradoksu. Ludzie Zachodu pragną zmian w Europie wschodniej i w pewnym stopniu gotowi są czynnie dopomóc w tym dziele. Równocześnie boją się

owych przemian — ściślej mówiąc konsekwencji owych przemian. Boją się alternatywy *status quo*. Jeżeli jedyną alternatywą obecnego stanu rzeczy miałyby być zjednoczone, uzbrojone Niemcy — to lepiej zachować *status quo* z komunizmem w Czechosłowacji i w Polsce włącznie. Wygłaszając opinię idącą po tych liniach „The Observer” z całą pewnością mówi za setki milionów zachodnich Europejczyków.

Status quo cementuje lęk przed Niemcami. Europejczycy zachodni pragną zdemokratyzowania ustrojów w Czechosłowacji, w Polsce czy na Węgrzech — pragną również by owe państwa w pewnym stopniu uniezależniły się od Rosji. Lecz ceną za owe osiągnięcie nie może być restauracja zjednoczonych uzbrojonych Niemiec. Jeżeli zniesienie „żelaznej kurtyny”, likwidacja Paktu Warszawskiego i NATO — miałyby zapoczątkować erę hegemonii Niemiec w Zachodniej Europie — to lepiej zostawić wszystko tak jak jest obecnie. To jest filozofia zrozumiała po doświadczeniach ostatniego półwiecza.

Jeżeli imperium satelickie w Europie wschodniej określimy mianem więzienia — to należy rzeczowo stwierdzić, że klucznikiem owego więzienia jest *de facto* nie Rosja tylko Niemcy. Choć problem granicy na Odrze i Nysie jest kardynalnej wagi, to jednak istotą owego „klucznictwa” nie jest granica nadodrzańska. Gdyby rząd w Bonn uznał granicę na Odrze i Nysie byłby to wielki krok naprzód — lecz i wówczas Niemcy byłyby klucznikiem więzienia wschodnioeuropejskiego. I na tym polega cała trudność tego arcy-problemu. Nikt w Europie nie chce zjednoczenia Niemiec i w konsekwencji nikt nie chce zmiany *status quo*.

Rosja zgodziłaby się na zjednoczenie dokonane pod egidą NRD. Innymi słowy zgodziłaby się na Czerwone Prusy. Można więc stwierdzić, że Rosja ma pewną koncepcję zjednoczenia Niemiec. Mocarstwa zachodnie, w przeciwieństwie do Moskwy, nie mają żadnej koncepcji zjednoczenia Niemiec — ponieważ nie chcą zjednoczonych Niemiec ani czerwonych ani białych.

W chwili gdy piszę te słowa (ostatnia dekada marca br.) z Pragi napływają wiadomości o rewolucji de-stalinizacyjnej, która zmierza do uwolnienia Czechosłowacji z jarzma absurdałnej doktryny. W Warszawie odbywają się manifestacje i starcia z policją a robotnicy zbierają pieniądze na wydalonych z uniwersytetów studentów.

W Europie jest tylko jeden kraj, który miałby możliwości dopomożenia rewolucji wschodnioeuropejskiej. Tym krajem są Niemcy.

Istnieje tylko jedna koncepcja zjednoczenia Niemiec to jest koncepcja sowiecka. W Federalnej Republice ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy z następującego problemu. NRD to jest nie tylko „sowiecka zona okupacyjna” lecz i inne Niemcy.

W moim przekonaniu sytuacja niemiecka w pewnej mierze przypomina układ w Wietnamie. „Sprzymierzeńcem” Ulbrichta jest niemiecki Sajgon — tzn. Bonn. *Establishment* w Bonn w przeciwieństwie do Sajgonu jest uczciwy i nieprzekupny — lecz

co z tego? Rząd w Bonn podobnie jak rząd w Sajgonie — jest nieatrakcyjnym manekinem bez cienia imaginacji i oryginalności. Rząd w Bonn nie ma żadnej koncepcji ani żadnej polityki. Owa bierność i polityczna jałowość *establishment* w Bonn żywi z jednej strony neo-hitleryzm a z drugiej strony ideologię Czerwonych Prus.

Nikt mnie nie przekona, że NRD jest tylko fragmentem Federalnej Republiki okupowanym przez Sowiety i gdyby jutro Rosjanie wycofali się za Odrę znikłyby wszelkie różnice pomiędzy obu niemieckimi państwami. Tak jak w Polsce na skutek przemian i ciśnienia odmiennej atmosfery ludzie myślą inaczej niż emigracyjny *establishment* — podobnie w Niemczech wschodnich ewolucja poglądów większości społeczeństwa przebiega po innych liniach niż w Federalnej Republice. Jestem również przekonany, że większość społeczeństwa w NRD nie uważa rządu w Bonn za swój rząd, który miałby prawo do reprezentowania wszystkich Niemców. Wydaje mi się, że rząd w Bonn popełnia klasyczny błąd wszystkich białych rządów i stawia znak równania pomiędzy antykomunizmem a poparciem dla siebie. W Polsce antykomunistów są miliony lecz zwolenników emigracyjnego *establishment* nie ma nawet pół setki.

Do czego zmiierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że w NRD formuje się inny naród niemiecki, który stanowi potencjalne zagrożenie zarówno dla Federalnej Republiki jak i dla Europy Wschodniej.

I punkt najistotniejszy. Niemcy wschodni mają określoną „niemiecką misję” — podczas gdy Niemcy Zachodni nie mają żadnej misji. Owa misja jest już wyraźnie zarysowana. Misją NRD jest być żandarmem Europy wschodniej. Dziś żandarmem, a jutro współpartnerem Moskwy w wielkim dziele rozwiązania problemu niemieckiego. Ulbricht odejdzie, a za kilka lat w Niemczech zachodnich — po okresie wielkiego rozczarowania — powstać może silny obóz orientacji pro-rosyjskiej. Wówczas zrodzą się warunki powołania do życia w NRF „Frontu Ogólnoniemieckiego”, który oczarowany „misją niemiecką” i jej perspektywami — utoruje drogę do federacji obu państw niemieckich.

Co może Bonn w ramach swej obecnej polityki przeciwstawić powyższemu programowi? Nic — dosłownie nic.

Zachodni sojusznicy nie chcą nawet słyszeć o zjednoczeniu ani o żadnej „misji niemieckiej”. Sojusz z Francją czy *special relationship* z Ameryką nie zmieniają sytuacji na jotę. Niemcom Wschodnim i Moskwie można przeciwstawić się tylko na Wschodzie a nie w Waszyngtonie czy w Paryżu.

Obserwując politykę Bonn trudno uwierzyć, że Niemcy związani są ze Wschodem Europy od tysiąca lat. Dziś we wschodniej Europie narasta bunt, ziemia usuwa się stalinowcom spod nóg, dokonywują się przemiany o które walczyły młode pokolenie — naddająca burza społeczna, która nada kształt tej części Europy na dziesiątki lat. Czy w tym procesie dziejowym naród niemiecki ma reprezentować tylko Ulbricht?

Ideologii Czerwonych Prus i żandarma ludów wschodniej Europy — Niemcy zachodnie powinny przeciwstawić politykę pojednania i wolności. Ci Niemcy, którzy wierzą w demokratyczne Niemcy — rozumieją bez trudności, że program pojednania ze wschodnią Europą nie jest jedną z wielu dróg wiodących do zjednoczenia, tylko *jedyną* drogą wiodącą do zjednoczenia Niemiec. Stalinizm musi upaść w całej Europie wschodniej na to, by mógł upaść w NRD. Rewolucja wolnościowa, która narasta w Polsce i w Czechosłowacji — musi zwyciężyć, bo tylko wówczas powstaną warunki umożliwiające likwidację imperium satelickiego, którego NRD jest głównym filarem.

Wchodzimy w okres w którym zapadnie historyczna decyzja nie tylko w sprawie Europy wschodniej lecz i w sprawie Niemiec. Stan obecny jest nie do utrzymania. Albo zwyciężą siły postępu i demokracji — albo powrócą do władzy stalinowcy. Walka nie jest zakończona i o sukcesie rewolucji będzie można mówić nie wcześniej jak po upływie dwóch lat.

Czechosłowacja była u progu gospodarczego bankructwa. Podjęte reformy, aby przyniosły rezultaty, trzeba będzie na to czasu i pieniędzy. Każda rewolucja — krwawa czy bezkrwawa — w ostatecznej analizie jest rewolucją gospodarczą albowiem sukces zależy zawsze od masowego poparcia robotników i chłopów. O sukcesie Lenina nie zdecydowali literaci i poeci tylko hasło: „ziemia dla chłopów”. Czechosłowacja nie ustanowi od tej reguły wyjątku. Losy rewolucji czechosłowackiej rozegrają się na polu ekonomicznym. Stalinowcy nie tracą nadziei, że nowe kierownictwo zawiedzie, że nie poradzi sobie z wrzeniem społecznym, które spowoduje rozprzężenie i chaos w fabrykach i zakładach przemysłowych. Problem każdej rewolucji sprowadza się do zagadnienia: jak połączyć wydajną produkcję z wolnością?

W interesie całej wschodniej Europy i w interesie Niemiec leży by siły postępu i reformy osiągnęły w Czechosłowacji pełne zwycięstwo. Ulbricht zdaje sobie doskonale sprawę z wysokości stawki, o którą toczy się gra: w ostatnim tygodniu marca br. odbyło się 5 nadzwyczajnych posiedzeń wschodnioniemieckiego Politbiura.

Karl Jaspers w świeżo wydanej książce pt. „The Future of Germany” — pisze o sytuacji w Niemczech zachodnich co następuje: „Niebezpieczeństwem nie jest nacjonalizm lecz brak czegoś w co można by wierzyć. Neo-nacjonalizm zyskuje zwolenników, ponieważ poza neo-nacjonalizmem nie ma niczego innego”.

Niemcy powinni zrozumieć, że w tej chwili mają coś niepomniernie więcej do przegrania niż Wrocław. Mogą ostatecznie i finalnie przegrać swą historyczną pozycję na wschodzie Europy i przegrać szansę — być może niepowtarzalną — zjednoczenia narodu niemieckiego w ramach wolności i demokracji.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie dziś — uznanie Czechosłowacji w jej obecnych granicach, nawiązanie z Pragą normalnych i przyjaznych stosunków, zaoferowanie Czechosłowakom poważnej pomocy gospodarczej — oznaczałoby, że Federalna Republi-

ka gotowa jest czynnie poprzeć ruchy rewolucyjne i reformatorskie w Europie wschodniej. Gdyby Rząd NRF podjął tego typu inicjatywę, w Niemczech wschodnich powstałaby panika.

W słownictwie komunistycznym nie ma większej anatemy niż zarzut współpracy z rządem w Bonn. Nowa niemiecka polityka wschodnia musiałaby przezwyciężyć niemal nieprzezwyciężalne trudności i uprzedzenia. Lecz nie w tym leży trudność. Owe nieprzezwyciężalne przeszkody w gruncie rzeczy nie leżą ani w Pradze ani w Warszawie tylko... w Bonn.



Gladwyn Jebb w swojej książce „Halfway to 1984” (Columbia University Press) — napisał, że żyjemy pomiędzy dwoma światami: jednym, który jest martwy i drugim, który nie ma siły się urodzić. Wydaje mi się, że Niemiecka Federalna Republika stanowi świetną ilustrację powyższej diagnozy. NRF leży pomiędzy Niemcami, które są martwe a Niemcami, które nie mają siły się urodzić.

Niniejszy artykuł rozpocząłem od rozważań na temat imperializmu. W wielu wypadkach imperializm dawał konkretniejsze wyniki niż współpraca. Jednak ludzie nie chcą ani imperializmu ani totalizmu.

Media komunikacji nadały nowy wymiar tak ludowładztwu jak i władzy nad ludem. Korespondent BBC w Pradze wykazał dokumentarnym filmem, że rewolucja w Czechosłowacji była pierwszą telewizyjną rewolucją w dziejach. Ludzie siedzieli przyklejeni do ekranów telewizyjnych i brali udział w zgromadzeniach w fabrykach i słuchali przemówień najwybitniejszych przywódców ruchu reformy. Telewizja praska nadała m.in. słynne przemówienie Goldstückera. Sztab praskiej telewizji stanął na wysokości zadania i nadawano komentarze często nie czekając na wyjaśnienia czynników oficjalnych.

Łatwo sobie wyobrazić co działałoby się w Rosji czy w Polsce gdyby stacje telewizyjne choćby przez trzy dni znalazły się w rękach właściwych ludzi.

Choć media komunikacji stanowią w państwach totalnych potężne narzędzie propagandy — ich wpływ w skali światowej jest anty-totalistyczny i anty-imperialistyczny. Dzięki radiu i telewizji cenzura nigdzie nie jest szczelna i monopolistyczna. Kryształuje się nowy fenomen, który nazwać należy opinią światową. Nic nie dzieje się w izolacji. Proces pisarzy w Moskwie czy demonstracje studentów w Warszawie odbywają się na scenie światowej. Podobnie, żołnierze amerykańscy walczą nie tylko w Wietnamie lecz na dziesiątkach milionów ekranów na wszystkich kontynentach globu.

Uniwersalność i dostępność informacji powodują wolność słowa w tym sensie, że słowo coraz trudniej jest ujarzmić. W warunkach współczesnej technologii stuprocentowy totalizm byłby możliwy tylko w skali światowej. By zapewnić „szczelność” cen-

zurze w Warszawie trzeba by stotalizować wszystkie radiostacje świata, co jest propozycją absurdalną. Cenzura jest nie tylko w defensywie lecz w odwrocie i procesy tego nikt nie zatrzyma.

Imperializm i totalizm stanowią formacje martwego świata. Nawet w wydaniu Waszyngtonu czy Moskwy imperializm jako instrument polityczny nie jest w stanie zapewnić dzisiaj równie świetnych osiągnięć jakie mają za sobą Francuzi czy Anglicy. Byłoby bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że to co nie powiodło się Rosji czy Ameryce — powiedzie się Niemcom.

W pluralistycznym współczesnym świecie możliwa jest tylko jedna polityka — to jest polityka współpracy. Podobnie jak demokracja — polityka współpracy jest powolna i często niezdatna. O ile demokracja jako forma ustroju społecznego posiada na Zachodzie długą tradycję — o tyle demokracja jako forma systemu międzynarodowego jest koncepcją, która jak dotąd nigdy nie miała dość siły aby się urodzić. Niemniej jestem przekonany, że demokracja międzynarodowa i polityka współpracy to jest kształt rzeczy które nadchodzą.

Niemcy wykazaliby dalekowzroczną mądrość gdyby „kwestię niemiecką” ekshumowali z martwego świata i zaczęli rozpatrywać ją w kontekście polityki współpracy — polityki jutra. W porównaniu z Czechosłowakami i Polakami zachodni Niemcy są przerażająco wczorajsi. Karl Jaspers, niestety, prawdopodobnie ma rację.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

CZECHOSŁOWACKO-POLSKIE KONTRASTY

Patrząc na ulice Pragi, słuchając wypowiedzi przypadkowych przechodniów „ankietowych” przez korespondentów telewizji brytyjskiej — trudno oprzeć się wrażeniu, że to jest inny świat, który nie może być mierzony i oceniany naszymi kryteriami.

Jakiś mędrzec powiatowy napisał niedawno w jednym z londyńskich pism emigracyjnych, że komuniści czechosłowaccy godząc się na wolne wybory popełniliby samobójstwo. To nie jest takie proste. Z wypowiedzi jakie utrwały aparaty korespondentów BBC wynika bezspornie, że Dubczek cieszy się dziś tak entuzjastycznym poparciem społeczeństwa, że gdyby rozpisano wolne wybory jego partia, tzn. partia komunistyczna, uzyskałaby prawdopodobnie większość w parlamencie.

Dla nas na Zachodzie Dubczek jest przede wszystkim komunistą. Angiel-

skie przysłowie mówi, że leopard nie zmienia centków — tak jak tygrys nie zmienia pręgów. Dubczek jest reformatorski i „liberalny” — niemniej jest towarzyszem partyjnym Nowotnego. Nauczeni doświadczeniem nie ufamy komunistom choćby najbardziej liberalnym i nikt z nas nie głosowałby na żadnego komunistę.

W ramach tamtego świata to wszystko wygląda inaczej. Korespondenci telewizji Brytyjskiej ankietowali ludzi nie tylko na ulicach lecz odwiedzali również prywatne mieszkania. Patrzyłem na galerię ofiar stalinizmu — słuchałem relacji o więzieniach, fałszywych oskarżeniach i egzekucjach. Dla tych ludzi, którzy stanowią znaczny procent społeczeństwa — Dubczek nie jest leopardem, który nie zmienia centków, tylko jest człowiekiem, który ich wyzwolił — który obalił stalinizm. Na razie tylko to jest ważne i tylko to się liczy.

Antykomunizm w Czechosłowacji oznacza nienawiść do stalinizmu. Nienawiść, podobnie jak miłość, nie dotyczy doktryny tylko instytucji i ludzi, którzy ową doktrynę reprezentują. Paradoks sytuacji z którego na Zachodzie nie wszyscy zdają sobie sprawę — polega na tym, że antykomunizm, czyli w sytuacji czechosłowackiej anty-stalinizm — stanowi największą siłę Dubczeka. Czechosłowacy wierzą, że Dubczek wyprowadzi ich ze stalinowskiego domu niewoli. Naiwność? Być może — lecz jaki jest wybór? Jeżeli nie Dubczek — to kto?

Jeszcze jeden paradoks, który należy odnotować. W Czechosłowacji i w Polsce istnieją partie polityczne — niegdyś demokratyczne. Logicznie biorąc, renesans demokracji winien się zacząć nie od komunistów, którzy nigdy nie byli demokratami — tylko od partii, które mają za sobą tradycję demokratyczną.

W tamtym świecie obowiązuje inna logika. W oczach społeczeństwa partie niegdyś demokratyczne są bardziej skompromitowane kolaboracją ze stalinizmem niż komunistą Dubczek.

Trudno się temu dziwić. Osobiście wolałbym powierzyć losy polskiej demokracji komuniście Leszkowi Kołakowskiemu niż pewnym panom ze Stronnictwa Demokratycznego czy Ludowego. Kołakowski odważnie walczył o zdemokratyzowanie ustroju — podczas gdy tamci panowie byli tylko „transmisją” dyktatury. Obecnie oba transmisyjne stronnictwa powzięły uchwały wyrażające stuprocentową solidarność z Gomułą.

Sytuacja w Czechosłowacji jest bez precedensu. Od pierwszego marca br. nie ma cenzury przewencyjnej. Ordynacja wyborcza została anulowana a data wyborów przełożona. Wybory do rad prowincjonalnych odbyć się mają w czerwcu a wybory do parlamentu w jesieni br. Tak lokalne jak i powszechne wybory odbędą się na podstawie nowego ustawodawstwa wyborczego.

Ponieważ sytuacja jest bez precedensu, w artykułach analizujących wydarzenia w Czechosłowacji roi się od wieloznacznych terminów i określeń. Na Zachodzie nie mamy za sobą tego typu doświadczeń i w konsekwencji nie mamy również odpowiedniej terminologii. Wszyscy piszą o „rewolucji” wychodząc z założenia, że każde obalenie starego porządku jest *de facto* rewolucją.

Dubczek przemawiając na posiedzeniu KC w dniu 1 kwietnia br. powiedział m.in.: „Naszym głównym zadaniem jest pogłębić i skonsolidować ruch odrodzenia w Czechosłowacji. Byłoby jednak błędem przeprowadzać podstawowe zmiany zbyt szybko”.

Równocześnie Dubczek powtórzył klasyczne ostrzeżenie: „Partia komunistyczna nie pozwoli wysadzić się z siodła pewnym anty-socjalistycznym siłom działającym pod pokrywką demokratyzacji i rehabilitacji”. (Tekst według Reutera).

Jeżeli przez rewolucję rozumieć obalenie ustroju komunistycznego i przywrócenie demokracji typu zachodniego — to należy stwierdzić, że w Czechosłowacji nie tylko nie ma rewolucji lecz nie ma nawet sytuacji rewolucyjnej. Rewolucja antykomunistyczna musiałaby być wymierzona przeciwko Dubczekowi i jego reżymowi. Ktokolwiek dziś w Czechosłowacji wystąpiłby przeciwko Dubczekowi zostałby uznany przez większość za obłąkanego.

Jeżeli przez rewolucję rozumieć obalenie stalinizmu w ramach ustroju komunistycznego — to niewątpliwie w Czechosłowacji dokonano rewolucji.

Czy w Czechosłowacji istnieje demokracja? Odpowiedź zależy od definicji tego terminu. Jeżeli przez demokrację rozumieć rządy większości — to znaczy administrację, która cieszy się poparciem większości społeczeństwa — to niewątpliwie Dubczek i jego reżym odpowiadają powyższej definicji. Gdyby dziś przeprowadzić referendum w Anglii i w Czechosłowacji to prawdopodobnie Dubczek okazałby się bardziej popularnym przywódcą niż Wilson. Istnieje jednak pomiędzy nimi podstawowa różnica. Wilson, jeżeli przegra następne wybory — będzie musiał odejść. A Dubczek?

Na Zachodzie za główne sprawdziany demokracji uważamy wolne wybory i wielopartyjność. Lecz nie wszędzie i nie zawsze wolne wybory wyrazić się muszą wielopartyjnością. Wolne wybory przeprowadzone obecnie w Czechosłowacji przyniosłyby prawdopodobnie poważne zwycięstwo partii Dubczeka. Stałoby się tak z dwóch przyczyn. Dubczek jest w pewnym sensie narodowym bohaterem jako likwidator stalinizmu. I punkt drugi, najważniejszy: nie ma żadnej alternatywy. Nie ma alternatywy w Czechosłowacji a cóż dopiero w Polsce.

Alternatywą komunizmu nie jest zachodnia wielopartyjność, która jest koncepcją martwą nawet w Czechosłowacji — tylko alternatywą jest socjalizm w którego trzeba tchnąć duszę demokratyczną.

Czy socjalizm demokratyczny musi mieć partię przeciwną, opozycyjną? Celem każdej demokratycznej partii socjalistycznej jest zdobycie poparcia większości społeczeństwa. Czy osiągnięcie tego celu w 80 % oznaczałoby, że zwycięska partia socjalistyczna przestałaby być demokratyczną? Oczywiście dana partia socjalistyczna nie przestałaby być demokratyczna gdyby opozycję zepchnęła na margines w sposób legalny i demokratyczny.

Tak oto dochodzimy do podstawowej sprawy w każdym modelu demokratycznym to jest do zagadnienia opozycji.

Dubczek był opozycjonistą i to znacznego kalibru. Mógł wystąpić z partii komunistycznej i założyć nielegalną partię opozycyjną. Nie zrobił tego, ponieważ zdawał sobie sprawę, że w taki sposób niczego by nie dokonał. Pierwszym zadaniem w Czechosłowacji było obalenie stalinizmu. Obalić stalinizm mogła tylko opozycja partyjna. Jeżeli kiedyś z kolei Dubczek zostanie obalony — nie obalą go partie „transmisyjne” tylko obali go również opozycja partyjna.

Dlaczego stalinizmu w Czechosłowacji nie zlikwidowała rewolucja antykomunistyczna? Rewolucja antykomunistyczna musiałaby być z definicji antysowiecka. Rosjanie nie mają wojsk w Czechosłowacji lecz Czechosłowacja

jest w bardzo znacznym stopniu uzależniona gospodarczo od Sowietów. Dubczek wrzenie społeczne ujął w swoje żagle ponieważ zaoferował model rewolucji asekurowanej.

Komunizm jest to — co w danym kraju nazywa się komunizmem. Dziś nie ma innej definicji komunizmu. Praga jest komunistyczna i Pekin jest komunistyczny choć pomiędzy ustrojami Chin i Czechosłowacji istnieje przepaść. Ze względów polityczno-taktycznych termin „komunizm” jeszcze długo będzie obowiązywał nawet w Czechosłowacji.

W mojej ocenie sprawdzianem demokracji w nowym modelu Czechosłowackim będą nie wybory tylko status opozycji. Jeżeli obecny nastrój entuzjazmu utrzyma się do jesieni — najbardziej demokratycznie przeprowadzone wybory dadzą Dubczekowi większość w parlamencie.

Za czasów Nowotnego opozycja to byli „rewizjoniści, syjoniści, agenci obcych wywiadów”. Opozycja w stosunku do Dubczeka to stalinowcy i ludzie obciążeni zbrodniami „minionego okresu”.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że tak Novotny jak i Dubczek, uważają opozycję partyjną za zbrodniczy spisek przeciwko legalnemu kierownictwu partii. Nie zmienia postaci rzeczy fakt, że w danej konkretnej sytuacji Dubczek ma rację, ponieważ nie ulega wątpliwości, że stalinowcy ponoszą odpowiedzialność za nieprawdopodobną ilość zbrodni i krzywd. Lecz za rok czy za dwa lata partia zostanie oczyszczona ze stalinowców i powstanie niewątpliwie nowa, nie-stalinowska opozycja. Jeżeli wówczas Dubczek i jego zwolennicy uznają, że opozycja jest wyrazem sił „antysocjalistycznych”, które zmierzają do obalenia legalnego kierownictwa partii — to koło ewolucji dokona pełnego obrotu i Czechosłowacja wróci na punkt startu.

Zdemokratyzowanie komunizmu nie polega na dopuszczeniu do głosu innych partii politycznych. We Włoszech czy we Francji partie komunistyczne nie są demokratyczne choć posługują się maszyną demokratyczną, ponieważ nie będąc partiami rządzącymi nie mają innego wyjścia.

Wolne wybory i zniesienie cenzury mają olbrzymie znaczenie. Lecz są sytuacje, kiedy zniesienie cenzury nie grozi wybuchem i są sytuacje kiedy wolne wybory dają większość komunistom.

Nie cenzura i nie brak wolnych wyborów czynią z Polski państwo totalne. Polska Ludowa jest państwem totalnym ponieważ jest rządzona przez partię totalną. Wszystko inne to są pochodne tego faktu.

Zdemokratyzowanie ustroju musi oznaczać albo likwidację komunizmu albo zdemokratyzowanie partii komunistycznej. Ani zniesienie cenzury, ani wolne wybory, ani dopuszczenie do głosu innych ugrupowań politycznych — nie są równoznaczne ze zdemokratyzowaniem partii komunistycznej. To wszystko mogą być elementy koniunkturalnej „odwilży”, którą inauguruje się wówczas kiedy trzeba upuścić pary z kotła.

Historyczna waga doświadczenia czechosłowackiego polega na tym, że dla komunistów czechosłowackich zdemokratyzowanie partii nie oznaczałoby samobójstwa. Dubczek jest obecnie jedynym przywódcą komunistycznym w Europie wschodniej, który mógłby zaryzykować wolne wybory. Wydaje się, że Dubczek i jego współpracownicy zdają sobie sprawę, że rządzić i wydajnie gospodarować można wówczas gdy się ma za sobą poparcie większości społeczeństwa. Kardynalne pytanie brzmi: Czy Dubczek i jego partyjni zwolennicy zdają sobie sprawę z faktu, że poparcie większości społeczeństwa będą mogli utrzymać tylko za cenę rzetelnego zdemokratyzowania

ustroju. Totalna partia nie może zdemokratyzować żadnego ustroju. Partia totalna może zaimprovizować taktyczną „odwilż” czy „liberalizację”. Demokracja musiałaby się zacząć od zdemokratyzowania największej czechosłowackiej partii politycznej tzn. partii komunistycznej. Jest bowiem oczywiste, że nie-demokraci nie mogą budować demokracji.

Co należy rozumieć przez zdemokratyzowanie partii komunistycznej?

Drogi do demokracji mogą być różne — sądzą jednak, że demokracja musiałaby objąć między innymi następujące punkty:

a) pełne niezależnienie związków zawodowych i zalegalizowanie prawa strajku;

b) przyznanie radom robotniczym — wybieranym w każdym zakładzie przemysłowym przez robotników a nie mianowanym przez partię — prawa współzarządu przedsiębiorstwami z wyłączną decyzją w sprawach personalnych i w sprawie podziału zysków.

W nowym modelu związków zawodowych należałoby skasować różnicę pomiędzy robotnikami a inteligencją techniczną. Inżynierowie elektrycy powinni należeć do związku robotników przemysłu elektronicznego a nie tworzyć odrębny związek czy stowarzyszenie. Leży to zarówno w interesie robotników jak i inteligencji technicznej.

O totalizmie partii komunistycznej decyduje dyktatura nad robotnikami. Przełamanie owej dyktatury jest zasadniczym warunkiem zdemokratyzowania komunizmu.

Potężne związki zawodowe grupujące w swych szeregach zarówno robotników jak i inteligencję techniczną — dostarczyłyby z czasem partii komunistycznej podstawowego elementu w strukturze demokratycznej tj. równo-rzędneho partnera, który byłby dostatecznie silny by korzystać z prawa inicjatywy, krytyki i *opozycji*.

Rozwój po tych liniach wydaje mi się daleko bardziej prawdopodobny niż renesans partii politycznych sprzed ćwierć wieku, które już dawno utraciły wszelkie powiązania z rzeczywistością.



Istnieją dwie historycznie wypróbowane metody rządzenia ludźmi. Można rządzić albo terrorem, albo w oparciu o zaufanie większości społeczeństwa. Najgorsze rezultaty dają modele mieszane — gdzie nie ma ani pełnego terroru ani pełnego poparcia społeczeństwa. Takim mieszańcem jest model PRL. „Ni pies ni wydra” — by użyć określenia tow. Wiesława z jego ostatniej wielkiej mowy.

Reżym jest za słaby by pozwolić sobie na terror w skali stalinowskiej. Równocześnie Gomułka nie może apelować o poparcie społeczne — ponieważ dziś nie otrzymałby owego poparcia nawet za cenę ustępstw. Wydawałoby się, że reżym w tego typu sytuacji powinien upaść. Gomułkizm opiera się na chwiejnej równowadze pomiędzy dwoma specyficznymi kompleksami. Mam na myśli kompleks budapeszteński u rządzonych i kompleks wspólnego bezpieczeństwa u rządzących.

W Polsce istnieje potencjalnie sytuacja rewolucyjna — ponieważ w przeciwieństwie do Czechosłowacji — nie ma przywódcy komunistycznego, który wrzenie rewolucyjne potrafiłby ująć w swoje żagle. Czy w przyszłości Dubczek rewolucję zrealizuje czy ją zdławi — w tym momencie jest bez

znaczenia bo większość Czechosłowaków szczerze go popiera. Obiektywizm każe również stwierdzić, że dziś nikt nie może przepowiedzieć czy Dubczek zawiedzie czy nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei. Należy również pamiętać że przywódcy czechosłowaccy nie działają w próżni. Bardzo wiele a może wszystko zależeć będzie od dynamiki i postawy społeczeństwa czechosłowackiego.

W Polsce Ludowej potencjalni Dubczekowie zostali już dawno z partii wydalen. Ci przywódcy, którzy pozostali — choć w wielu wypadkach nie są entuzjastami Gomułki — zdają sobie sprawę, że upadek tow. Wiesława oznaczałby prawdopodobnie i ich upadek.

Patrząc na wydarzenia w Czechosłowacji nieodparcie nasuwają się analogie „październikowe”. A jednak to są analogie fałszywe.

Zdobyć kulturalno-wolnościowe można anulować jednego dnia. W obrębie 24 godzin można przywrócić cenzurę i zamknąć „Po Prostu” czy „Literarni Listy”. Lecz reform gospodarczych — jeżeli wprowadzone są w życie — nie można anulować jednego dnia. I tu leży zasadnicza różnica pomiędzy polskim Październikiem a rewolucją czechosłowacką.

Program reform gospodarczych w Czechosłowacji wymaga szczegółowego omówienia przez specjalistę przedmiotu. Ograniczę się więc tylko do cytowania artykułu znanego naszym Czytelnikom, młodego ekonomisty J. Krok-Paszkowskiego, który pisze m.in.:

„Obecnie podjęto (w Czechosłowacji) decyzję wprowadzenia systemu cen opartego całkowicie na mechanizmie rynkowym. Decyzja ta oznacza przyjęcie kryteriów opłacalności w podejmowaniu decyzji gospodarczych. Konsekwencje tego kroku są bardzo daleko idące. Przede wszystkim oznacza to ograniczenie władzy państwa i decentralizację, dzięki której poszczególne przedsiębiorstwa będą mogły podejmować samodzielne decyzje w zakresie produkcji, kupna, sprzedaży a w pewnym stopniu również inwestycji.

Nowe kierownictwo w Czechosłowacji zapowiada zniesienie izolacji cen wewnętrznych i cen światowych. Ma to prowadzić do pełnej konfrontacji rynku wewnętrznego z rynkami zagranicznymi. Słowem chodzi o pełne włączenie gospodarki czechosłowackiej do ogólnej gospodarki światowej. Wymaga to oczywiście doprowadzenia do wymiennalności korony czeskiej na giełdach walutowych świata, co według zapowiedzi oficjalnych w Pradze ma nastąpić w niedalekiej przyszłości”.

Z powyższego cytatu wynika jasno, że w sferze gospodarczej podjęto w Czechosłowacji prawdziwą rewolucję. W Polsce — jak wiadomo — istniał jeszcze przed Październikiem projekt „Polskiego Modelu Gospodarczego”, lecz Gomułka go zdławił.

Nie trzeba być ekonomistą by zdawać sobie sprawę z faktu, że reform gospodarczych tego typu i kalibru — raz wprowadzonych w życie nie można anulować jednego dnia. To nie jest „odwilż” ani „liberalizacja”. To są radykalne przemiany strukturalne, które wprowadzone w praktykę — w większości wypadków staną się nieodwracalne.

Reformy gospodarcze nawet w skali czechosłowackiej nie gwarantują

demokracji. Lecz niewątpliwie rewolucja gospodarcza pociąga za sobą nieuchronne konsekwencje społeczno-polityczne.

Mechanizm rynkowy, wymienialność waluty, zerwanie z izolacją — oznacza gotowość do podjęcia walki konkurencyjnej, której sukces zależeć będzie od wydajności i sprawności produkcyjnej czyli w ostatniej instancji od robotników. Problem cen i płac, podział zysków, rola i znaczenie związków zawodowych — to wszystko w proklamowanym modelu gospodarczym nabiera nowego wyrazu. Nie można być Dubczkiem w sferze gospodarczej i Gomułką w sferze społeczno-kulturalnej. Decentralizacja stanowi uszczuplenie władzy partii i owo uszczuplenie może być wyrównane tylko poparciem społeczeństwa. Dubczek i jego administracja niewątpliwie potrzebują aktywnego poparcia większości społeczeństwa. Za jaką cenę Czechosłowacy gotowi są udzielić owego poparcia przekonamy się w niedalekiej przyszłości.

Rewolucja czechosłowacka jest i naszą rewolucją. Dubczek nie tylko obalił Novotnego lecz również podważył pozycję Gomułki i jego reżymu. Sukces reform w Czechosłowacji, która jest naszym najbliższym i pobratymczym sąsiadem — wcześniej lub później musi spowodować upadek „gomułkizmu”. Wówczas powstałaby możliwość zrealizowania projektu federacji polsko-czesko-słowackiej, której to koncepcji poświęciliśmy dziesiątki artykułów na przestrzeni ubiegłych 20 lat. Federacja polsko-czesko-słowacka — nie wymierzona ani przeciwko Rosji ani przeciwko Niemcom stworzyłaby tak dla Czechosłowaków jak i dla Polaków ramy prawdziwej niepodległości politycznej i gospodarczej.

„INSPIRATORZY OSTATNICH WYDARZEŃ”

Przemówienie Gomułki wygłoszone 19 marca br. na „Spotkaniu z Warszawskim Aktywnym Partyjnym” nie zasługiwałoby na komentarz gdyby nie towarzyszyły mu szczególne okoliczności. Tekst przemówienia podała nie tylko polska prasa partyjna — lecz mowa Gomułki w całości i bez skrótów ukazała się na łamach „Prawdy”, „Izwestii”, „Leninskiej Prawdy”, „Czerwonego Sztandaru” w Wilnie i „Neues Deutschland” w NRD. Rozgłos jaki przemówieniu tow. Wiesława nadali stalinowcy dowodzi, że protesty pisarzy w Moskwie, demonstracje studentów w Warszawie, przewrót w Pradze — stanowią *jedno zjawisko* i wspólne zagrożenie dla stalinowców w całym bloku wschodnim.

Dłuższy ustęp w swoim elaboracie Gomułka poświęcił „Kulturze”. Ponieważ poza specjalistami nikt nie czyta maratońskich przemówień dygnitarzy komunistycznych — wydaje mi się celowe przytoczyć poniżej fragment dotyczący naszego pisma:

... „Dlatego też finansują oni nie tylko *Orła Białego*, ale i *Kulturę* paryską, która reprezentuje inny kierunek polityki reakcyjnej, bardziej perfidny i bardziej dostosowany do realnego układu sił.

Najbardziej reprezentacyjnym przedstawicielem tego kierunku jest czołowy publicysta tego pisma Juliusz Mieroszewski. Unika on w swych

publikacjach prymitywnego antysowietyzmu, a nawet uzasadnia potrzebę rewizji tradycyjnej polskiej polityki wobec Rosji — ponieważ, jak przyznaje — polityka ta przyniosła nam same klęski i zawody. Logicznie rzecz biorąc — pisze on — mamy przed sobą tylko dwa rozwiązania — albo Rosję pobić albo się z nią ułożyć.

Można by więc pomyśleć, że pan Mieroszewski opowiada się za sojuszem polsko-radzieckim. Są to jednak pozory. Chciałby on układać się ze Związkiem Radzieckim, ale na określonych warunkach. 'Rosję Sowiecką trzeba albo pobić albo zeuropeizować' — pisze Mieroszewski. A pod 'europeizacją' ten przysięgły Europejczyk rozumie oczywiście obalenie socjalizmu. Narzędziem tej 'europeizacji' Związku Radzieckiego miały być 'zeuropeizowane uprzednio przy pomocy rewizjonistów kraje demokracji ludowej, a zwłaszcza Polska. Gdyby Polacy, Czesi i Węgrzy mieli po temu możliwości, wypracowaliby z czasem kompromisowy model ustrojowy, który nie byłby ani komunizmem ani kapitalizmem'. Inaczej mówiąc ni pies ni wydra...

Dlaczego poświęcam tyle miejsca politycznym dywagacjom Mieroszewskiego z paryskiej *Kultury* finansowanej przez wywiad amerykański? Dlatego, przede wszystkim, że istnieje polityczne i ideologiczne powinowactwo między linią Mieroszewskiego a hasłami i koncepcjami politycznymi inspiratorów ostatnich wydarzeń".

Czemu zawdzięczamy tak zaszczytne wyróżnienie? Wchodzą tu w grę dwie sprawy. Przede wszystkim stosunek do Rosji. Tow. Wiesław i wszyscy stalinowcy reprezentują tradycję: Ochrana (Bezpieka), bicie Żydów (Syjoniści), „dałoj gramotnyje” (wyrzucanie na bruk profesorów uniwersytetu). Tej świetlanej tradycji „Kultura” ma czelność przeciwstawiać program przebudowy Związku Sowieckiego w nowoczesny *Commonwealth* niezależnych państw i narodów. Modernizacja Związku Sowieckiego i rzetelna demokratyzacja ustrojów — odpowiadałyby pragnieniom znakomitej większości Polaków i Rosjan, co oczywiście niepokoi Gomułkę i innych stalinowców.

Tak oto dochodzimy do punktu drugiego. Gomułka zauważył, że „istnieje polityczne i ideologiczne powinowactwo między linią Mieroszewskiego a hasłami i koncepcjami politycznymi inspiratorów ostatnich wydarzeń”.

Istotnie tak jest — dodać tylko należy, że „ostatnie wydarzenia” na pewno nie są ostatnie.



Na zakończenie zabawny epizod z niwy emigracyjnej. Londyński *Dziennik Polski* z dnia 27 marca br. doniósł, że „Gomułka ostro zaatakował emigrację polityczną, a zwłaszcza jej prasę wymieniając „*Dziennik Polski*”, „*Orła Białego*” oraz „*Jutro Polski*”.

O „Kulturze” ani słowa. Dowcip polega jednak na tym, że Gomułka wymienił „*Dziennik Polski*” tylko w imaginacji p. Wohnouta. W rzeczywistości, Gomułka *Dziennika Polskiego* nie wymienił w ogóle.

LONDYŃCZYK

Koniec Małej Stabilizacji

Ogólne założenie mojej korespondencji jest mniej więcej takie:

Po dwudziestuparu latach rewolucji prawdziwej i udanej, faktycznej i nominalistycznej (bo tego nie można upraszczać) rząd w Polsce ustalił się ze wszystkimi swoimi cechami. Na razie nie ma mowy o zmianie na jakiejś drodze choćby quasi-parlamentarnej. W każdym razie aparat się umacnia. Zło tych rządów nie ma swego źródła w założeniach ustrojowych, a przynajmniej nie w najważniejszych założeniach ustrojowych, które teoretycznie niosą w sobie dużo dobrego, dają się dyskutować i rozwijać — gdyby starczyło rozumu i dobrej woli. Zło tkwi w ludziach, w zespole starych komunistów, na ogół niedokształconych a za to wypaczonych kursami agitatorskimi na Kremlu i późniejszymi więzieniami; jest to najstarsza kadra, uzupełniły ją liczne i trudne do scharakteryzowania szeregi karierowiczów, jeżeli to pojęcie wymaga dodatkowego charakteryzowania; w tej strukturze jest gdzieś jakieś miejsce na ludzi względnie młodych z wykształceniem i dobrą wolą, ale ci jeszcze nie dali o sobie znać, ani jako generacja, ani tym mniej, jako zorganizowana frakcja. Dali znać o sobie tylko nieliczni intelektualiści marksistowscy, którzy albo siedzą w więzieniach, jak Kuroń i Modzelewski, albo zostali wyrugowani z partii i ze stanowisk uniwersyteckich, jak Kołakowski. To jest kapitał na przyszłość, z którego ceny nie zdajemy sobie sprawy. Ale jakieś pozytywne przeobrażenie stosunków zależy od zbyt wielu okoliczności zewnętrznych, których nie można przewidzieć.



Przesyłam to jako rodzaj dziennika, czy fragmentu dziennika, w którym czytelnik nie będzie szukał definitywnych sądów. Co do jego autora, ten ma nadzieję, że mu to przyniesie długo oczekiwaną ulgę, moralną i rozumową. Powiedziałem sobie: człowieku, spuść wreszcie wodę!

Ponieważ nie będzie to podpisane własnym nazwiskiem, więc użyty tu zaimek „ja” jest tylko środkiem formalnym, nie przydaje tej korespondencji żadnej barwy osobistej, żadnej w ogóle wartości i nie może żyrować jej wiarygodności. Na to nie ma rady. Prócz tego tekst jest za długi, to jest inna jego wada, związana z warunkami łączności. Lepiej byłoby pisać krótko i przejrzysto — gdyby można było po prostu pójść co jakiś czas na pocztę i wrzucić kopertę do skrzynki.



Zdaje się, że do końca marca zakończyła się pierwsza faza zdarzeń sprowokowanych zdjęciem Dejmekowskich „Dziadów”. Są tu w ramach partii, jak widać, jakieś komeraże i jak dotąd nieczytelne zagrania, ale ważna jest tylko jedna sprawa — antagonizm między partią a społeczeństwem. Ale nie wszystkie człony społeczeństwa są tak samo przeciwne praktykom rządu i niezupełnie tak samo zorientowane. Nie można sobie wyobrazić, że po tylu latach obcowania z partią (na zasadzie współpracy, przeciwieństwa czy poddania się jej naciskowi) naród zachował wciąż tę samo osobowość, co przed rokiem 1945. W lutym i marcu zupełnie inną rolę odegrały inteligencja, a inną robotnicy — choć podział nie jest taki czysty, jak sugeruje kampania ze strony aparatu.

Przed kilku dniami, 23 marca około 11-tej, przypatrywałem się zdzieraniu transparentów z frontonu UW na Krakowskim Przedmieściu. Ludzie obserwowali to dość spokojnie wymieniając niegłośne uwagi, przyklejali twarze do szyb trolejbusów i autobusów. Można było sądzić, że miejskie załogi porządkowe likwidują dekorację jakiejś wczorajszej uroczystości. Właściwie miaso zna ten gatunek dekoracji. Nie sięgając zbyt daleko wstecz, w październiku 1956, akurat w tych samych miejscach, oparte o te same mury uniwersyteckie stały deski wzywające do kwesty na rzecz pacyfikowanych Węgrów. Teraz też deski, płótno, tektura i te napisy przez parę tygodni wciąż na nowo reprodukowane. Zamaszyste i z pośpiechu niezdarne pismo, w którym wyraża się wesołość autentycznego czynu ulicy. Na rozpacz nie ma wtedy czasu. To kulfoniaste pismo bywa przecież w zupełnie innych okolicznościach po prostu fałszowane: np. w czasie pochodów majowych też widać takie deski z wyraźnymi imitacjami spontanicznego pisma, żeby zrobić atmosferę żywiołu ulicy, o czym od dwudziestu lat nie może być mowy. Teraz to obcowanie z prawdziwymi odruchami rewolucyjnymi (choć jeszcze nie można tego nazwać pełną rewolucją) było niezwykle podniecające.

Slogany wyrażały całą gamę protestów i żądań dobrze utrzymanych w granicach zdrowego rozsądku, bez wypadków szczeniactwa. Wezwanie do robotników, żeby solidaryzowali się ze studentami i literatami, protesty przeciw akcji prasy. Jeden z napisów głosił: „Tylko MIŚ nie kłamie!”. Lapidarna prawda: „Miś” to barwne pisemko dla maluchów. „Bez chleba nie ma

wolności!" — ten głęboki filozoficznie aksjomat afiszowano wielokrotnie, na Uniwersytecie i na Politechnice. Widać tu wpływ konspiracyjnej myśli teoretycznej z ducha memoriału Kuronia i Modzelewskiego. Cała ta akcja sloganowa dowodziła mądrości, było jedną z najpiękniejszych kampanii demagogicznych, jakie się zdarzały. Aż trudno było w to uwierzyć: tyle lat ładowano ludziom w głowy całkiem mechaniczne zaufanie do tzw. nieomyłności odruchów ludowych, że myśli się o tym z najwyższym krytycyzmem i zresztą słusznie.

Młodzież studencka odrabia dziś jeden z najcięższych fragmentów roboty, w każdym razie w ciągu krótkiego czasu wysunęła się na czoło narodu. Zawalił się mit streszczający się w słowach zapożyczonych zresztą z żargonu młodzieżowego: „chata, cizia i szkło". Zresztą oni doskonale rozumieją moralną pozycję, którą niespodzianie zdobyli. Może zresztą była to niespodzianka tylko dla nas, tzw. wapniaków, którzy zbyt pochopnie uwierzyliśmy w rozmaitą mitologię o cynizmie powojennej młodzieży, co w tej chwili dementują studenci nie tylko w Polsce, ale — wszędzie na swój sposób — i w Madrycie, Paryżu, we Włoszech, w Tokio, nie mówiąc o Pradze i Bratysławie. Patrząc teraz w niesłychanie pewne siebie, bystre oczy tych młodych należy raczej sądzić, że cała ich sławna dotychczasowa poza była tylko barwą ochronną. A krył się pod nią wstyd. Wstyd z powodu swego okaleczonego wnętrza, za co ich pokolenia w żadnym razie nie mogły odpowiadać; prawdopodobnie wstyd za nas, za to pokolenie które powinno za swoją epokę odpowiadać. Teraz to już zaczyna być ich epoka i może mamy prawo łączyć z tym faktem jakieś nadzieje.



Najlepszy dowód, jak oni czują swoją rolę, jest nadzwyczajny popyt na białe miękkie rogatywki UW — a pewnie coś podobnego dzieje się i w innych miastach, gdzie wchodzą w grę inne czapki. Dotąd rzadko kto te czapki nosił, gardzono nimi, bo taki był styl i różne pozy. Dziś podobno czapkarze robią na tym pieniądze, bo na ulicach pełno jest tych białych i najwidocznie świeżo zakupionych czapek. Przez cały marzec to były dwa najbardziej rzucające się w oczy akcenty ulicy: czapki studenckie i zielone hełmy żandarmerii. Żandarmi spacerowali na ogół w kombinacji z milicjantami. W chwili, gdy to wysyłam, jest ich bez porównania mniej, pacyfikacja mniej więcej się udała. Mówiono, że w najgroźniejszych dniach w kinach położonych blisko Uniwersytetu i Politechniki były wywieszki, że miejsca są wyprzedane, ale naprawdę w środku siedzieli milicjanci. Zresztą wciąż się widziało stojące w różnych kątach śródmieścia autobusy i autokary normalnie używane do przewożenia wycieczek, załadowane siedzącymi w pogotowiu milicjantami. Te dwa czy półtora miesiąca musiały dużo kosztować. Same strajki okupacyjne na Politechnice musiały pochłonąć wielkie sumy pieniędzy — nie pierwszy raz marnotrawionych przez rząd. Istniała

przez pewien czas teza, lansowana zdaje się także przez Radio Wolna Europa, że manifestacje przeciw zdjęciu przedstawienia „Dziadów” zostały umyślnie przez jakieś koła w rządzie sprowokowane, żeby stworzyć odpowiednie tło do rozgrywek wewnętrznych. Rozgrywki są, to nie ulega wątpliwości, jest konsekwentna akcja antysemicka, wyrzucono i osmarowano kilku byłych dygnitarzy. Ale w stosunku do młodzieży, do inteligencji, do społeczeństwa byłaby to prowokacja całkowicie nieopłacalna. Od przeszło miesiąca aparat ma pełne ręce roboty, gdy powinien być gotów do obrony w związku ze zmianami w Czechosłowacji. To, co działo się u nas, w jakiś sposób merytorycznie łączy się z wypadkami czechosłowackimi, ale rząd powinien był uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby takiemu zbiegowi zdarzeń zapobiec.



O zebraniu nadzwyczajnym literatów 29 lutego nie było potem w prasie żadnej relacji, naturalnie wbrew temu, czego właśnie żądali literaci. Owszem, była nazajutrz kilkuwierszowa wzmianka, z której wynikało, że przedstawiciel ministerstwa kultury i sztuki, dyr. S. Balicki zapoznał zebranych z powodami zdjęcia „Dziadów”. Chodziło o wywołanie wrażenia, że to wystąpienie Balickiego było całkowicie zadawalające. Dopiero potem, gdy trzeba było zmontować wielką kampanię prasową, nie można było uniknąć aluzji do zebrania w dniu 29 lutego. Nikt się naturalnie nie przejmował tym, że brak tu jakiegokolwiek logiki, dosłownie nikt: ani ci, co dyrygowali kampanią, ani społeczeństwo, do którego to było adresowane. To jest kwestia długotrwałego przyzwyczajenia do różnych form i faz kłamstwa. Jego widoczność nie jest w tej technice uważana za przeszkodę.

Byłoby nieźle to choć z grubsza wyjaśnić, jeżeli to się w ogóle da wyjaśnić. Sprawa sięga gruntownie w tradycje techniki agitacyjnej bolszewików, którzy już od samego początku uczynili wygodne dla siebie założenie, że liczy się nie prawda o przedmiocie, tylko pozycje z jakich o nim się mówi. W praktyce stalinowskiej uległo to dalszej korupcji, zostało też przejęte do techniki aparatu rządzącego we wszystkich krajach obozu. Ostatnio mieliśmy pokaz tego w całym niewiarygodnym wachlarzu. Kłamstwo gra tu niemal rolę przestrzeni, w której wszystko się porusza. Jest czwartym wymiarem tej oryginalnej szkoły politycznej, która rzeczywiście potrafiła w końcu stworzyć swój własny świat. Dlatego nie warto o tym mówić w kategoriach etycznych, to jest raczej część używanej tu dialektyki.

Ale znam przecież wielu spośród tych ludzi, jeżeli nie na samej górze, to gdzieś w ścianie nośnej budowli. Tym ludziom, znacznie bliższym ziemi, nie można przypisać jakiegś całkiem odrębnej psychologii, bo wtedy całe zagadnienie uległoby udziwnieniu, mitologizacji, z czego już rozum nie potrafiłby się wygrzebać. Więc wciąż pasjonuje pytanie, w jakim stopniu jest to kwestia rutyny umysłowej, w jakim stopniu autosugestia pod

wpływem różnych interesownych kalkulacji, których nigdy w tego rodzaju karierach nie brak? W jakim stopniu dobra wiara i wreszcie fanatyzm, który w procesie myślowym nie waha się iść po trupach.

Są tam ludzie osobiście uczciwi i ludzie inteligentni. Oni też kłamią, albo podpisują się pod kłamstwem. Widocznie ciągle w nich się odbywa jakiś automatyczny i piekielnie trudny do określenia proces samoobrony moralnej sprzężonej z odwrotnym działaniem krytycyzmu. Były na ten temat dwie książki Miłosza, ale od tego czasu minęło kilkanaście lat i pilnie są potrzebne nowe tego rodzaju książki. To trzeba wciąż naświetlać i nagrzewać, coś tak, jak obumierający organizm. Po pewnym czasie w nas samych zaczyna się wapnienie czułek, które mają zdolność normalnego reagowania na kłamstwo. Wzajemny kontakt aparatu i społeczeństwa nie obywa się bez obustronnych zmian wewnętrznych, zdaje się, że była już o tym mowa. W Polsce wciąż jeszcze nie bardzo widać zmian, jakie na tej zasadzie zaszyły w ludziach aparatu, choć nie wątpię, że one są. Ale na każdym kroku widzi się zmiany w nas samych i dlatego trzeba zazdrośnie pilnować normalności swoich reakcji. Patologia obcowania narodu z reżymem jest właściwie nieobliczalna w skutkach. Miłosz już nie może napisać książki na ten temat, ani Mieroszewski, bo tego nie pisze się na odległość. Ale w Polsce jest przynajmniej kilku ludzi, którzy mogliby ją napisać. Przede wszystkim Kołowski, gdyby się tym zainteresował.



Stosunkowo łatwo akceptuje się różne formy względności, między innymi względną i nawet widocznie ograniczoną prawdziwość informacji. Jeszcze do niedawna ludzie z dozą zaciekawienia i przyjemności sięgali po tutejszą gazetę. Czytało się ją do porannej kawy, z rozluźnionymi mięśniami, w nastroju szlafrokowym, czyli w całej tej atmosferze akceptacji, z jaką czytali swego kurierka trochę już legendarni galicyjscy radcowie. Bo bez gazety, byle było w niej dużo nadrukowane, nie można się na codzień obejść. To między innymi wchodziło w zakres pojęcia tzw. Małej Stabilizacji, które przed paru laty wzięło na warsztat satyryczny teatrzyk studencki na Świerczewskiego. Jednak dla większości nawet nie brzmiało to jak satyra, raczej oznaczało taką szlafrokową ulgę: niechby minimalna, byle stabilizacja. Ludzie w Polsce są niewiarygodnie zmęczeni (i dlatego już czas, żeby zastąpili ich młodzi). Z drugiej strony przez tyle lat przyzwyczajano nas do życia minimum. Do całkowicie absurdałnego założenia, że mimo ogólnego *boom'u* w większej części świata zachodniego i właśnie na tle tego dotąd niespotykanego *boom'u* — w Polsce z jakichś pryncypialnych (bo przecież nie ekonomicznych) przyczyn musi trwać i nie ruszać się z miejsca to życie minimum. Na horyzoncie pralka i telewizor. Już nie samochód, bo to poza rejonami Małej Stabilizacji. Kaszanka

sprzedawana w sklepach delikatesowych. I „Express Wieczorny”, który rytmicznie co jakiś czas donosi, że „cały naród w czynie przedzjazdowym” itd. Ale jest tam także jakiś kryminał w odcinkach i głosowanie na najlepszego aktora w TV. To są dla przykładu sieci Małej Stabilizacji, jednej z największych afer w dziedzinie rządzenia państwem i społeczeństwem.

Gdzieś w początkach marca tłumy ludzi oglądały na stadionie w Chorzowie i w telewizji mecz futbolowy o puchar Europy między Górnikiem-Zabrze a Manchester United. Speaker telewizyjny wrzeszczał w stanie niemożliwej do opisanía ekscytacji: „To jest, proszę państwa, dramat, któremu przygląda się cała Polska!” W tym samym czasie naoliwieni alkoholem ormowcy rozbijali wiece studenckie na terenie Uniwersytetu, w tym samym czasie kolegia orzekające nakładały na zatrzymanych studentów kary za chuligaństwo w wysokości kilku i kilkunastu tysięcy złotych i równocześnie odbywała się niezwykle sprawna zbiórka na pokrycie tych grzywien; w tym samym czasie kilkadziesiąt gazet (nie jest ich w ogóle dużo) donosiło identycznymi słowami o spontanicznym proteście całego społeczeństwa wobec działalności bankrutów politycznych, agentów imperializmu i syjonistów; w tym samym czasie sprawcy, których nie udało się zatrzymać, wyłamali palce i żebra Stefanowi Kisielewskiemu a szef partii i państwa insynuował publicznie, że jeden z literatów, niedawno odznaczony orderem i niewątpliwie najpopularniejszy w tej chwili autor książek, był bandytą, mordował chłopów białoruskich i został wypuszczony przez bezpiekę za cenę wiadomych zobowiązań.

Gdzie był rzeczywisty dramat? Tego nie potrzeba dowodzić. Ale faktem jest i to wstrząsająco ciekawym, że dla wielu ludzi mecz w Chorzowie był rzeczywistym dramatycznym przeżyciem, tak, że na inne przeżycia nie stało nerwów. Mecz zmieścił się w skali Małej Stabilizacji.

Dziś już nie jesteśmy w stanie wrócić do ludowego kurierka i do innych konwencji Małej Stabilizacji. Nie mówię tego o wszystkich; o pewnej części społeczeństwa, przede wszystkim inteligentkiej. Dla tej części narodu Mała Stabilizacja wreszcie strzeliła, jak opona, powiem trywialnie: pękła jak nadużyty kondon! To jest pierwszy widoczny skutek obecnej prawierewolucji intelektualistów i studentów, na razie spacyfikowanej.



Słowa pacyfikacja użyto w jednym z przemówień na nadzwyczajnym zebraniu literatów, nie pamiętam już w którym przemówieniu. Dopiero w następnych dniach i tygodniach w całej rozciągłości potwierdziła się jego słuszność. Zebranie odbyło się w sali konferencyjnej ZAKSu, w tzw. Domu pod Królami, który ZAKS sobie wybudował przed kilku laty na ulicy Hipotecznej. Przewidywano z góry, że mała salka domu ZLP na Krakowskim nie mogłaby pomieścić zebranych. Było ich około czterystu

osób, o ile można było na oko ocenić. W jakieś 10 dni potem okazało się w prasie oświadczenie, że ZAIKS nie może sobie darować faktu wypożyczenia swojego lokalu poduszczonym przez syjonistów literatom. To oświadczenie na pewno wysłała komórka partyjna władz ZAIKSu, zresztą w wielu wypadkach w imieniu gremium różnych instytucji zabierały głos komórki partyjne i nie wszyscy czytelnicy umieli to w czas rozróżnić. Był nawet jeden precedensowy fakt: w Gdańsku kilka szuj z zarządu tamtejszego oddziału ZLP pośpieszyło się z ogłoszeniem tego rodzaju oświadczenia, ale niedługo potem gazety zamieściły sprostowanie, że nie chodzi o opinię całego oddziału.

Tego wieczoru i w nocy z 29 lutego na 1 marca przemawiało około 30 osób, potem za zgodą sali zapisy do głosu zamknięto. Było mniej więcej wiadome, co kto może powiedzieć i po kilku godzinach garnitur interesujących mówców został wyczerpany: naturalnie nigdy już nie będzie wiadome, co by mieli do powiedzenia ci, którzy zdecydowali się milczeć, klaskać i głosować. Atmosfera w sali była jednoznaczna, to już było samo w sobie satysfakcją — brać udział w tym po raz pierwszy do tego stopnia swobodnie sejmikującym zebraniu. Gwarancją skuteczności zebrania było przeprowadzenie zaraz na początku zasady tajnego głosowania. Zrobiono to szybko, z inicjatywy Jasienicy, przez podniesienie rąk. Czuło się, że ci, którzy kilka dni przedtem zebrali w ustawowej ilości podpisy pod wnioskiem o zwołanie zebrania, będą trzymać ręce na jego pulsie. Zebrani od razu poczuli się silni, rodzaj samopoczucia bardzo rzadki na publicznych naradach. Zresztą po zachowaniu się paru członków, przede wszystkim Putramenta, można było z miejsca się zorientować, co w istocie znaczy przegłosowanie zasady o tajnym składaniu wotów.

Od razu zaczął krzyczeć, to zwyczaj Putramenta, stojąc gdzieś z tyłu, od strony drzwi. Drugi człowiek, który zwykle na zebraniach literatów daje znać o sobie okrzykami, to Pasternak. Ale Pasternak tylko awanturuje się, Putrament przeprowadza swoją politykę. Przesuwał się wśród krzeseł i pod ścianami z twarzą dość napiętą, ale nie bez wyrazu powstrzymywanej ironii, można było myśleć że chodzi wśród stolików z szachami. W tym wypadku ironia musiała mieć charakter obronny, bo musiał z góry przewidywać, że większość partii na stolikach przegra. To zresztą jeden z najciekawszych ludzi reżymu, skojarzenie człowieka aparatu z literatem i to zdolnym literatem, choć piszącym za dużo i niechlujnie. Takie połączenie było dość częste w stosunkach radzieckich. W Polsce od dziesięciu lat jest to już bodaj ostatni przykład tego rodzaju. Putrament zadbał o wyrobienie sobie pewnej popularności, jako fanatyk wędkarstwa, odkrywca Mazur prawie w tym stopniu, co odkrywca Zakopanego był Witkiewicz — i jako weredyk. Pisuje rzeczywiście bardzo twarde felietony o jakimś zapaskudzaniu Kazimierza i o stanie szos w stronę Mikołajek. Najdziwniejsze, że zbiera oklaski. To też zjawisko całkowicie w skali Małej Stabilizacji.

Najpierw było długie i podobne do filologicznego wypracowania oświadczenie ministerstwa kultury i sztuki, które odczytał z kartek tłusty olbrzym Balicki. To wystąpienie też trzeba zaliczyć do interesujących, choć w innym sensie. Charakterystyczne, że nie zjawił się na zebraniu nikt z góry partyjnej, ani Kraśko, ani Starewicz, ani Kliszko, który w sprawie z „Dziadami” miał, zdaje się, osobisty udział. Zorientowano się zawczasu, że to będzie poważna rozprawa, na której nie ma co ryzykować z kartką z instrukcjami. W takich wypadkach aparat rezerwuje sobie czas, musi mieć trochę czasu na wysmażenie odpowiedniej publicystyki, która zresztą — i to najbardziej dziwi — nawet po takim przygotowaniu nigdy nie odstępował od schematycznego żargonu. Wydaje się, że to jest jak magiczne zaklęcie trzymające cały system przy życiu, że od tych prefabrykowanych pustaków partia mogłaby odstąpić tylko za cenę życia. Prawdopodobieństwa przyjazdu samego Gomułki nigdy nie brano pod uwagę. Panuje przekonanie, że ten nie umie i nie lubi rozmawiać z intelektualistami. Co prawda, pojęcie rozmowy zostało w ogóle wykluczone ze sposobów kontaktowania się partii ze społeczeństwem. Z całego tego jakże żywego pojęcia, które jest jednym z podstaw kultury łacińskiej i w ogóle zachodniej — w hermetycznym świecie aparatu została tylko nazwa. Tak, jak po wielu innych pojęciach i środkach porozumienia. Można by metaforycznie rzec, że partia urzęduje na jakimś kolosalnym składzie łusek po nabojach — ale metafora jest niefortunna, bo skąd inąd wiadomo, że tu się od dawna strzela i od dawna pada tu gęsty trup.



Balicki przez długi czas wyjaśniał, że w świecie teatru są możliwe bardzo różne interpretacje tekstu autorskiego i ta interpretacja, której zakazano była niestosowna. Potem pytano Balickiego w różnych słowach, w stosunku do czego taka interpretacja była zła, kto jest tym autorytetem o niestosowności decydującym i kto ma monopol na kryteria. Naturalnie Balicki ani myślał na to odpowiadać, nie miał do tego żadnych instrumentów myślowych. Wstał jednak pod koniec przemówień, żeby odpowiedzieć Słonimskiemu. To był zabawny incydent. Słonimski nie czekał swojej kolejki głosu i wszedł na mównicę zaraz po Balickim, przygarbiony chytry człowiek o zwiędłej szyi minął się ze zwalistym i zażenowanym Balickim i wszyscy od razu wiedzieli, że będzie tak zwany szpas. Wesołość na tego rodzaju najpoważniejszych w świecie zebraniach wcale nie jest intruzem. Jest ona może bardziej potrzebna, niż kiedykolwiek, produkuje ją napięcie nerwów. Balicki powiedział między innymi dwie rzeczy: zgodnie ze swoją linią wyводу zauważył, że w wypadku zdjęcia „Dziadów” nie wiadomo właściwie kto jest pokrzywdzony, czy Mickiewicz, czy Dejmek i Stopka; powołał się także na przedwojenną recenzję Słonimskiego, w której ten pisał, że poezja Mickiewicza jest w istocie niewygodnym dziedzictwem dla rzą-

dów. Już wtedy na sali wybuchł śmiech i każdy zadawał sobie pytanie, po co ten Balicki tak się „podkłada”? Ale prawdziwy śmiech wybuchł dopiero wtedy, gdy natychmiast potem ukazał się Słonimski i oświadczył, że chce tylko podać drobne uzupełnienie do przytoczonego przez dyr. Balickiego tekstu: „Napisałem wtedy, że dziedzictwo Mickiewicza jest niewygodne dla rządów totalitarnych” — i schodząc z mównicy dodał: „naturalnie miałem na myśli sanację”.

Pod koniec przemówień Balicki powiedział: „Pan Słonimski dał słowo, że na tym zebraniu nie będzie stosował dowcipów. Ale nie mogę za nic innego uznać jego rzekomego uzupełnienia przytoczonego przeze mnie cytatu. Każdy może sprawdzić, że w artykule Słonimskiego w „Wiadomościach Literackich” z dnia takiego a takiego, z 1935 roku, odpowiednie zdanie kończyło się właśnie tak, jak je zacytowałem”. Kawał Słonimskiego nie udał się, ale nie był to już moment, żeby ktokolwiek był lojalnie to w stanie ocenić: do tego czasu podniecony i zmęczony tłum wysłuchał zbyt wielu śmiałych i wyzywających, rozpaczliwych przemówień. Obok nich szereg przemówień, które należy zapamiętać z innych powodów. Zamierzam tu scharakteryzować najważniejsze przemówienia i może zacznę od wystąpień tej innej kategorii, dla której nie trudno znaleźć nazwę.



Było to już pod koniec. Wyszedł na mównicę Ignacy Krasicki, nosiciel niezwykłego nazwiska, poza tym typowy dorobkiewicz dziennikarski, który z ramienia PAP długo siedział w Rzymie. Tonem dość lekceważącym oświadczył, że miał okazję w czasie jednego z ostatnich przedstawień „Dziadów” przyjrzeć się grupce młodzieży przed teatrem, która nie mogła zdecydować się, czy zacząć awanturę, czy nie. Dodał, że kazano mu teraz głosować na jedną z dwóch zaproponowanych rezolucji, których on nie redagował i z których żadna mu nie odpowiada. Było to właściwie sprytne postawienie sprawy, bo istotnie sprawę podanych na początku dwóch tekstów rezolucji (Dobrowolski i Kijowski) można było uważać za dość anonimową i zaskakującą. W rzeczywistości wszyscy się orientowali, że rezolucja, którą odczytał Dobrowolski była, jak się później wyraził Putrament, „wysmażona” na zebraniu komórki partyjnej ZLP i to w celu riposty na rezolucję, którą przygotowali inicjatorzy nadzwyczajnego zebrania, przede wszystkim Jasienica, Słonimski, Kisielewski, Kijowski i inni. W połowie marca odbył się w Warszawie krajowy zjazd delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy, które zamieniło się w dobrze zorganizowany wiec przeciwko manifestującej młodzieży i zebraniu literatów. Środowisko dziennikarskie jest skompromowane i o tym było z góry wiadomo, więc nie wahali się tam przybyć *leader'zy* aparatu, było moc fotografowania, uścisków, apelów i potem odpowiedniego relacjonowania w prasie. Była to swego rodzaju zemsta aparatu za sejm literatów, bo też

w strefie pióra. Jest w istocie między obiema naradami jakaś żałosna symetria i jakieś podobieństwo *à rebours*. Na tym zjeździe dziennikarskim otworzyło dopiero serca kilku ludzi, którzy milczeli parę tygodni przedtem w sali ZAIKSu, np. wspomniany na początku akapitu Krasicki, który tym razem nie bawił się w owijanie w bawełnę. Świadczy to wymownie o atmosferze panującej na zebraniu literatów, gdzie oczywiście działało określone ciśnienie moralne, które przeciwnikom kazało siedzieć cicho, albo szukać wybiegu.

Poza paroma wyjątkami. Wyszedłem wtedy na papierosa; była zdaje się tylko jedna przerwa, w czasie której ludzie starali się dobić w niezmierzonej kolejce do bufetu z kawą, poza tym wychodziło się na papierosa z własnej inicjatywy, kiedy można było przypuszczać, że nic rewelacyjnego nie nastąpi. Sala była przepchana, gdy przyszedłem parę minut po 16-tej już nie było ani jednego krzesła i mnóstwo osób uganiało się po wszystkich piętrach doskonale zresztą znanego sobie ZAIKSu, żeby gdzieś z jakiejś ubikacji wydobyć coś podobnego do krzesła. Gdy się wychodziło na korytarz prosiło się sąsiada o dopilnowania, że miejsce nie zostanie zajęte. Otóż torując sobie z trudem drogę z powrotem na swoje miejsce pod oknem zobaczyłem, że na trybunie stoi mały, młody i widocznie nerwowy osobnik, którego nazwiska nigdy przedtem nie mogłem zapamiętać, bo to jest facet pisujący jakieś teksty piosenek do radia, czy coś w tym rodzaju. Ale koleżanka, z którą wzajemnie pilnowaliśmy sobie na zmianę miejsc, poinformowała: — To Gaworski. Otóż to nazwisko trzeba też ocalić, jak pisał Gałczyński, od zapomnienia. Już przedtem, gdy na czarnej tablicy stojącej za mównicą i stołem przedialnym spisywano kolejno nazwiska tych, którzy prosili o głos, Gaworski podniósł rękę, wstał i powiedział, że ponieważ za nim na liście jest Leszek Kołakowski, więc on swoje miejsce ustępuje Kołakowskiemu. Byliśmy dość zdziwieni tą kurtuazją, bo nie takie rzeczy były wtedy w głowie, ale ostatecznie wszyscy byli gotowi uznać to za miły gest. Przewodnicząca Żółkiewska zapytała głośno, czy Kołakowski zgadza się na propozycję i wtedy, dobrze pamiętam, siedzący niedaleko mnie Kołakowski odezwał się głosem pogardliwym, przeciągając sylaby, tak że wszyscy się zaśmieli: — Dobrze, dobrze! Kołakowski wiedział z góry, czym pachnie od małego tekściarza Gaworskiego i zaraz potem elegancja tego ostatniego nabrała innego wyrazu.

Gaworski przez przeszło kwadrans bił się w piersi, jękał się i jak najgorzej artykułując swoje długie okresy zapewniał zebranych, że choć go tutaj namawiają do wystąpień przeciw władzy ludowej, to on tej władzy nie będzie bił (dosłownie), bo najpierw trzeba wiedzieć kto do tego namawia, w jakim interesie i tak dalej, a on swojej władzy ludowej tyle zawdzięcza i nie ma mowy, żeby go skaperować. Słuchano tego z całą cierpliwością. Trzeba przyznać, że nikt się tutaj takiego wystąpienia, na tym poziomie, nie spodziewał. Pod koniec, przy głosowaniu, ktoś zbli-

żył się do mnie i powiedział: — No, trzeba przyznać, że niektórzy okazali niezwykłą odwagę. — Tak, odrzekłem, taki Kisiel, no i Grzędziński... — Ależ skąd, odparł mój rozmówca, mam na myśli tego kundelka, Gaworskiego. Żeby w tym kontekście innych przemówień, przy tej powadze i doniosłości większości wystąpień zdobyć się na ten szwargot o władzy ludowej, to trzeba mieć pewien rodzaj odwagi. Potem zaproponowano Gaworskiemu, żeby powtórzył to na piśmie i orędzie ukazało się w „Życiu Warszawy”, zresztą w znacznie poprawniejszej formie.

Najciekawszymi przemówieniami były, z różnych względów, oświadczenia Jasienicy, Kisielewskiego, Jastruna, Andrzejewskiego, Kołakowskiego, Międzyrzeckiego, Zagórskiego — i wreszcie, ze względów całkiem odwrotnych, Putramenta i Bratnego. Jasienica, wyłysiały człowiek w okularach o twarzy okrągłej, z niezdrowymi rumieńcami — aparycja typowego belfra — występował dwa razy: raz, gdy zaapelował o tajne głosowanie i potem na początku ustalonej kolejki przemawiających. Nie jest mówcą; najciekawszym punktem jego wystąpienia było odczytanie paskudnego antysemitckiego wierszyka, który krążył — nie jeden taki — po Warszawie. Jasienica wskazał na fakt montowania antysemityzmu, co dla większości obecnych było jeszcze wtedy, 29 lutego, zupełną nowiną. Z sali odezwało się kilka głosów: — Hańba, hańba! — Tak jest, to hańba! — powtórzył znacząco Jasienica. Przypuszczam, że wielu słuchaczy było zdezorientowanych: kto kogo itd.? Ale zaraz się wyjaśniło: z tyłu odezwał się po swojemu, wielkim głosem, ale wyraźnie zirytowany Putrament: — „Niech kolega Jasienica nie pozwala sobie na żadne tego rodzaju insynuacje (kolega Jasienica ograniczył się tylko do odczytania wierszyka i stwierdzenia faktu wzbierającego antysemityzmu), my dobrze wiemy o antysemityzmie i partia już zaczęła z tym walczyć”. Wtedy wszyscy od razu zorientowali się, kogo miał na myśli Jasienica mówiąc „hańba”. Jasienica odpowiedział Putramentowi: — „Najwyższy czas, żeby partia do tego się zabrała”. Swoją drogą interwencja Putramenta była tym razem tylko śmieszna i skazana na śmieszość. Wiadomo było, co działo się latem 1967 roku, kiedy przeprowadzano wśród partyjnych Żydów weryfikacje o charakterze typowych czystek, kiedy spotykało się na ulicy ludzi ze łzami w oczach, najgłębiej dotkniętych w swojej godności. (Spotkałem takich — głęboko dotkniętych, a mimo to wiernych, wiernych do końca metodom, żargonowi, w którym kazano im pisać, schematowi deklaracji: i to było zadziwiające!). Wtedy to przecież wyjechał do Izraela człowiek cichy, uczciwy, pochłonięty tylko jedną sprawą — wspomnieniami eksterminacji Żydów w czasie wojny: Stanisław Wygodzki, na którego skierowano obecnie, tytułem przykładu na zdradę typu syjonistycznego, część ataków prasowych. Gotów jestem myśleć, że Putrament polemizując wtedy z Jasienicą, osobiście wierzył w szczerą antysemitickich deklaracji aparatu. W Putramencie zostało dużo z komunisty w pierwotnym, teoretycznym znaczeniu tego słowa: jeżeli moja interpretacja nie jest

kompletnym pudłem, to nie chciałbym być w skórze tego człowieka, gdy w jakiś tydzień potem okazało się z całą oczywistością, że partia świadomie, z rozważą i tupetem jedną ręką nacisnęła klawisz antysemityzmu, a drugą, jednocześnie, uruchomiła wszystkie maszynki z frazesami o walce z przejawami rasizmu itd. Ale to tak się tylko mówi: nie chciałbym być w skórze Putramenta; Putrament ściśle związał swoją karierę z kadencją obecnego aparatu, to raz. Po drugie, w każdym z nich natychmiast działa, jak już pisałem, automatyczny system samobrony moralnej, który natychmiast kasuje niewygodną różnicę między nominalizmem a faktami. Jak to się dzieje — nie wiadomo, ale wiemy, że *to* się dzieje i skutecznie.

Postawienie na starą kartę antysemityzmu w tym narodzie nie jest taktycznym niewypałem, odwrotnie. To jest jedyna w ciągu tych wydarzeń udana próba — częściowo udana — zhańbienia tego narodu. Pod tym względem aparat może sobie pozwolić na umiarkowanego sukcesu. Minęły już, być może, czasy pogromów, ale puszczony wśród prostaków jad zaczął dość szybko i widocznie działać. W ciągu lutego i marca wiele rozmów politycznych można było przeprowadzać na ulicy, w poczekalniach itd., na pewniaka, z całkiem nieznanymi osobami. Porozumiewano się przy pomocy nieznaczących aluzji, wybuchano rozgoryczonym śmiechem, wzruszano ramionami. To osobny rys całego tego cyklu wydarzeń. Ale zdarzało się stosunkowo często, że porozumienie przestawało nagle grać, gdy padło słowo Żydzi.

Jedną z milszych instytucji powojennych jest dzielnicowa biblioteka i wypożyczalnia. Takich bibliotek jest stosunkowo dużo, dobrze wyposażonych, przestronnych. Panuje tam, wśród personelu, nieco inna atmosfera — nie ma tej tłumionej (w lepszych wypadkach) zgryźliwości i zniechęcenia, które tak fatalnie odbijają się we wszystkich resortach służb publicznych, w sklepach czy w urzędach, a które są spowodowane ogólnym poczuciem beznadziejności ekonomicznej i nie tylko ekonomicznej: temu jednak Mała Stabilizacja nie zaradziła. W bibliotekach urzędnicy są ludźmi — widać otoczenie książek działa kojąco, w co zresztą zawsze wierzyłem. W jednej z takich dzielnicowych bibliotek, gdzie czuję się dość zadowolony, spotkałem się z bardzo przykrym faktem. Wydająca książki pani, osoba powściągliwa, kulturalna, kiedyś bardzo przystojna dziewczyna, zapytała mnie szeptem, co sądzę o którymś z ostatnich seryjnych przemówień. Zdziwiłem się, że tutaj ktoś mówi szeptem. — Bo widzi pan — powiedziała raczej poruszając ustami, niż wymawiając słowa — ja jestem Żydówka. Już tu na mnie patrzą w specjalny sposób.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. Tu? Znałem na ogół cały personel. Kierowniczką była bardzo taktowna pani o mądrej twarzy, z którą lubiłem poplotkować o książkach. Jej właśnie najbardziej bała się bibliotekarka Żydówka. To fakt, którego żaden dodatkowy opis nie zmieni. Obala on sąd, że antysemityzm dotarł tylko do ludzi na pewnym poziomie. W każdym

razie trzeba ten sąd skorygować: antysemityzm dotarł, i zadziałał, przede wszystkim do ludzi bez wykształcenia, ale nie tylko. Jakbym słyszał starego oportunistę a świetnego poetę, Gałczyńskiego, jak deklamuje zza grobu: — Chcieliście Polski, no to ją macie. Skumbria w tomacie, skumbria w tomacie, pstrąg!



Przemówienie Kisielewskiego zostało potem dostatecznie rozreklamowane przez Gomulkę i w ogóle prasę. Rzeczywiście odmienił w ciągu swojego, szybkiego i nerwowego dyskursu, aż kilkanaście razy epitet „ciemniaki”. Tego jednak w gmachu na rogu Nowego Świata i Alej nie potrafili znieść. Kisiela pobito, krąży uporczywa wiadomość, że ma połamane palce i że leży w szpitalu. Nie ręczyłbym, że wszystko tu jest prawdziwe, ale i odwrotnie: to bardzo prawdopodobne. Innego rodzaju faktem jest to, że nie poszedłem i nie pójść odwiedzić Kisielewskiego w szpitalu, bo się boję. Znowu skumbria w tomacie.

Bardzo pięknie mówił Jacek Bocheński. To pisarz średniej dziś generacji, który nie tak dawno, z samego wnętrza środowiska Pryszczatych piszących głównie (ale często w dobrej wierze) o traktorach itd. — po cichu wyrósł na jedną z ładniejszych postaci literackich Polski, widać u niego nie tylko talent, ale i uczciwość i tę ostrożność etyczną, z którą dziś trzeba chodzić po redakcjach, po wydawnictwach i w ogóle po całym kraju. Bocheński mówił z przerwami, niezdarne, zatrzymując się i w końcu nawet wyciągał portfel, żeby zapłacić do jakiejś notatki — a mimo to panowała cały czas napięta cisza rytmicznie kwitująca każde jego słowo. To Bocheński odpowiedział na kwestię Balickiego, że „nie wiadomo kogo tym zakazem grania skrzywdzono, Mickiewicza czy Dejmka”. Autor „Boskiego Juliusza” zwrócił Balickiemu uwagę: „Tu nie Dejmek został pokrzywdzony i nawet nie Mickiewicz, tu został pokrzywdzony ktoś trzeci — naród”. Prostota tego spostrzeżenia była tak duża, że wydawało się nam wszystkim, że Jacek każdemu z nas wyjął to z ust.

Do przemówień podobnego typu, to znaczy takich, gdzie dominowała nie tyle polemika z aparatem, co analiza moralna bezsensownej hecy ze zdjęciem „Dziadów” — należały wystąpienia Andrzejewskiego, Międzyrzeckiego, który siedział za stołem prezydialnym i był wyraźnie wzruszony, oraz Jastruna. Kijowski wystąpił na początku, żeby w krótkim i dobitnym tonie odczytać rezolucję przegłosowaną ostatecznie olbrzymią większością zaraz po północy, już 1 marca 1968 roku. Zaraz po Kijowskim wystąpił Zagórski, zapowiedział, że powie tylko parę zdań i, wbrew zwyczajowi mówców składających tego rodzaju obietnice, wypowiedział rzeczywiście tylko kilka zdań, które sprowadzały się do dwóch szczegółowych propozycji zaostrzenia tonu rezolucji Kijowskiego. Osobne miejsce w tym sprawozdaniu należy się Leszkowi Kołakowskiemu. Mówił bardzo prędko, a jednocześnie z zachowaniem absolutnej płynności okresów, a także jakby

z niechęcią, że jest tu zmuszony wypowiedzieć taką masę truizmów. Bo istotnie, z punktu widzenia umysłu wdrożonego w myślenie logiczne dyskusja z całkowicie bzdurnymi przesłankami wysuwanymi za pośrednictwem Balickiego przez aparat była nie tylko łatwa merytorycznie, była w tej łatwości aż poniżająca. Mimo tej odrazy do powtarzania rzeczy oczywistych wyjaśnienie raczej, niż przemówienie Kołakowskiego zachowało subtelność i lotność, a przy tym strukturę filozoficzną, którą nie wiem jakim cudem (nie dysponuję tekstem) i w tym, z konieczności zwulgaryzowanym kontekście, potrafił zademonstrować.



Przeciwnicy wyszli na trybunę pod koniec, to znaczy myślę o dwóch, których stanowiska miały wagę. Najpierw Putrament, który przestał krążyć między swoimi stolikami z przegranymi partiami szachowymi i dopadłszy mikrofonu (który był mu zresztą, ze względu na krzykliwy sposób mówienia, prawie niepotrzebny) wypowiedział kilkanaście myśli, które chyba wszystkie nadawały się do powtórzenia. Dlatego, że większość z nich była absolutnie nieprawdziwa, co specjalnie kontrastowało z widoczną pewnością siebie i aroganckimi tonami, jakie ten człowiek przybierał. Inne myśli miały wagę sensacji. Zaczął przede wszystkim od tego, że to on, Putrament, a nie wszyscy ci śmiałkowie, którzy tu pozwalają sobie na różne ekscesy, dostaną w końcu za to zebranie po głowie. Bo to on, Putrament, będzie za nie odpowiadał. Gdybyście wiedzieli, ile się trzeba było namęczyć, żeby wysmażyć rezolucję, którą odczytał Dobrowolski. Putrament dał do zrozumienia, że tę rezolucję trzeba uważać za jedyny ratunek w tej dość zakałapuścanej sytuacji, w jaką koledzy literaci wbrew zdaniu Putramenta, siebie i jego wpakowali. Chcecie rozmawiać z Gomułką, chcecie z nim dyskutować na platformie tej drugiej rezolucji: proszę bardzo — niech idzie do niego Kijowski, taki zdolny polonista i spróbuje rozmawiać! Gomułka to człowiek o wielkich zaletach (głos z sali: Nie ma ludzi niezastąpionych!), ale on nie lubi intelektualistów. Zebrani powinni dać jemu, Putramentowi, kredyt: jeżeli przegłosują rezolucję Dobrowolskiego, to on podejmuje się dyskutować z pierwszym sekretarzem i zrobić co się da, jest ogromna szansa przywrócenia „Dziadów”. To kwestia zaufania: niedługo będzie walne zebranie i wtedy Putrament zda sprawozdanie ze swoich starań.

Już parę godzin przedtem, nie znając tego, co ma powiedzieć Putrament, odpowiedział mu Kisielewski. Literaci byli dostatecznie długo grzeczni i z tego nigdy absolutnie nic nie wychodziło. Na zjeździe w Koszalinie podjęto pewne uchwały, między innymi co do cenzury i nie było na nie ani pozoru odpowiedzi. Uchwały zjazdu koszalińskiego nawet nie zostały opublikowane w wewnętrznym biuletynie ZLP, w czym chyba tkwiła najdobitniejsza odpowiedź i niedwuznaczny komentarz co do ówczesnych żądań ograniczenia cenzury. Za długo byliśmy grzeczni i nic na tym

nie zyskaliśmy — powiedział wtedy Kisiel jakby odgadując kierunek argumentów Putramenta.

Bratny mówił starannie i dobitnie w tym samym duchu, co Putrament. Radził spojrzeć na sprawę utylitarnie. Rezolucja Kijowskiego nie była do przyjęcia dla władz, nie była nawet do dyskusji. Jeżeli nie zebraliśmy się tutaj — dowodził — dla demonstracji, jeżeli nie chodzi jedynie o skorzystania z okazji, żeby odpowiednim przemówieniem zrobić sobie biografię, to powinniśmy głosować na rezolucję Dobrowolskiego, która może nie wszystkich zadawała, ale przy jej pomocy można będzie zacząć jakieś działania. Być może, że Bratny przekonał tych kilkudziesięciu (nie mówiąc o zwykłych tchórzach) którzy potem głosowali na rezolucję Dobrowolskiego. Z pewnego punktu widzenia mówił przekonująco.

Tylko, że ich punkt widzenia, Putramenta i Bratnego, nie miał w tych okolicznościach sensu. To oczywiste, że już od dawna zebraniem w ZAIKSie, studentom w uniwersytetach i tej części społeczeństwa, którą oni reprezentowali — nie chodziło o przywrócenie Dejmkowskiej inscenizacji „Dziadów”. „Dziady” były pretekstem do wszczęcia procesu o znacznie bardziej istotne i szersze sprawy: krótko mówiąc o wolność wyrażania swoich myśli, bez której nie może być chleba, tak jak bez chleba nie ma wolności. Raz po raz w przemówieniach padało słowo eskalacja: eskalacja ingerencji władz w sprawy kultury, absurdałne skrępowanie warunków wszelkiej twórczości, pogłębiająca się dezinformacja w prasie, radio i telewizji i inne rzeczy. Słowo eskalacja, zapożyczone ze słownika wojny wietnamskiej jest brzydkie i głupie, bo zupełnie nieprzydatne w duchu naszego języka, jest słowem snobizmu dziennikarskiego, które bardziej by pasowało do Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy, niż do zebrania w ZAIKSie. Ale wszystko jedno: myśl była słuszną, znana, była jednym z tych truizmów, którymi brzydził się Leszek Kołakowski.

Wśród tych wielu świetnych przemówień zabrakło następującego argumentu: głosujemy nie dla napisania pośpiesznej biografii, nie pod wpływem oburzenia (choć ten motyw mógłby ująć w tych warunkach za wystarczający), ale zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. To znaczy nie za podlizującą się rezolucją Dobrowolskiego, która Gomułkę i towarzyszy mogła tylko utwierdzić w ich samowoli, ale za rezolucją Kijowskiego. Ta ostatnia rzeczywiście nie stanowiła żadnej platformy do rozmów z Gomułką i towarzyszami, bo rozmowa — jak już próbowałem udowodnić — od dawna została wymazana z listy środków komunikowania się ze społeczeństwem. W takich warunkach nie chodzi o odzyskanie „Dziadów”, których ostatecznie żadna siła narodowi nie potrafi odebrać, nie chodzi o rozmowę, która nic dać nie może, chodzi w samej rzeczy o demonstrację i protest, o ujawnienie całkowitej sprzeczności interesów między aparatem a narodem. Od demonstracji zaczyna się każda rewolucja. Literaci w Domu pod Królami wzywali właściwie do rewolucji.

Po północy poszliśmy do dwóch urn, według podziału alfabetycznego — z podniecającym i upokarzającym jednocześnie uczuciem, że po raz pierwszy po wojnie idzie się głosować z zupełną swobodą. Podobno Waldorff powiedział przy okazji dowcip: — Przynajmniej wiem, że do tej urny nie noszę swoich prochów. Ale to był dowcip optymistyczny. Potem wypadki pokazały, że reżym nie daruje literatom i nie tylko literatom.



Pierwszym skutkiem tej prawie-rewolucji było przerwanie dla wielu tysięcy ludzi myślących wątpliwego czaru Małej Stabilizacji. Drugim skutkiem była konsolidacja tej właśnie, ostatecznie bardzo rozległej i bardzo czynnej warstwy obywateli. Ale do całkowitej rewolucji nie mogło dojść, bo sprawami wolności myśli i kultury nie były dostatecznie zainteresowane masy robotnicze. Robotnicy instynktownie sprzyjali studentom i intelektualistom, nawet w Pafawagu, w Stoczni Gdańskiej i podobno w Nowej Hucie doszło do starć z milicją; w Stoczni Gdańskiej robotnicy wystąpili dość tłumnie, z zawczasu przygotowanymi narzędziami walki, które działały na zasadzie sprężyny i wśród milicjantów było wielu rannych. Ale to wszystko były tylko oznaki sympatii, a nie woła walki, o której np. nie można było wątpić w październiku 1956. Dialektyka literatów i studentów nie dość mocno podkreśliła momenty ekonomiczne, a tylko te są dostatecznym argumentem do sprowokowania robotników do wyjścia na ulicę.

Aparat na to liczył. Aparat całą swoją drętwą, prefabrykowaną propagandę, której arcydziełem jest podjudzanie do antysemityzmu, obliczył i adresował do robotników i drobnomieszczan, a nie do intelektualistów, bo z tymi nie ma żadnych w ogóle środków porozumienia. Wypadki lutowe i marcowe łączą się niewątpliwie z wypadkami w Czechosłowacji i w ogóle z rozprężeniem w obozie. Ale mają swoją własną jakość. Nie skończyły się i nie zaczęły się bez przyczyny. Są dalszym ciągiem Października i będą miały swój dalszy ciąg, choć nie wiadomo jak prędko i w jakiej postaci.



Pozostaje przede mną kwestia wybrania pseudonimu. W ostatnim półroczu, zwłaszcza po wizycie de Gaulle'a zaczęła krążyć w Polsce cała masa złośliwych kawałów o Ochabie. Wszystkie ilustrują niedokszałcenie i głupotę Ochaba. Niektórzy twierdzą, że to są kawały inspirowane, bo Ochab stoi u końca swojej kariery w aparacie. Osobiście jest mi to obojętne, za to bardzo mi się podobała jedna z tych anegdot, której mikrofabała dzieje się w zoo. Oboje państwo Ochabowie przyglądają się strusiowi, czy nawet rodzinie strusiów za ogrodzeniem. — Widzisz, Edziu — mówi pani Ochabowa do męża — jaka gęś! Wkrótce Boże Narodzenie. Mógłbyś pogadać z dyrektorem i on by ci dał taką

gęś. — Ty, durna — odpowiada Ochab — to wcale nie gęś, to pelikan. Z tego robi się atrament.

Ponieważ mój zawód i moje dzisiejsze przedsięwzięcie ma coś wspólnego z atramentem, przynajmniej w przenośni, więc niech będzie Pelikan. Tak się podpiszę z braku innego pomysłu.



Jeszcze jedna sprawa całkiem osobista. Przeznaczając te notatki dla paryskiej „Kultury” nie mogę się obronić przed przykrym uczuciem, że coś, że kogoś w tej chwili zdradzam. Co i kogo? To niejasne. Może mam na myśli długi szereg osobiście znanych mi osób, które są przyzwoitymi ludźmi i dobrymi Polakami — mimo, że pracują w instytucjach bezpośrednio kontrolowanych przez partię, a często noszą w kieszeni partyjne legitymacje. Sam miałem taką legitymację. Tłumaczę sobie, że tego rodzaju list zagranicę nie jest aktem zdrady, tylko aktem myślenia opozycyjnego, które w warunkach demokratycznych byłoby dozwolone i całkiem normalne — a jest niedozwolone i ścigane w warunkach rządów aparatu. Tak rozumię i zgadzam się całkowicie z tego rodzaju rozumowaniem, bo inaczej bym tego nie wysłał. Ale niejasne uczucie, o którym mówię, nie ustępuje niezależnie od tej argumentacji. Wiem, że w przytłaczającej większości wypadków będzie ono zupełnie niezrozumiałe dla polskiego czytelnika zagranicą. Tym niemniej proszę go o szacunek do takiej a nie innej psychologii powstawania niniejszej korespondencji. Mogę do tego jeszcze dodać, że piszę nie tylko dla emigrantów, ale także, a może przede wszystkim dla Polaków w kraju. „Kultura” jest czytana w kraju i jeszcze szerzej komentowana, choć w sumie ogranicza się to do dość wąskiego środowiska. Moja konspiracyjna publicystyka jest tylko substytutem opozycji, której w kraju nie ma w formach legalnych i która przede wszystkim nie ma żadnej możliwości wypowiedzenia się.

PELIKAN

Kopanie i mówienie

1.

No i wreszcie doszło do tego, co, wyobrażam sobie, że było tak:

W samym śródeczku Warszawy, gdzieś na Starym Mieście, kilku krępych, takich bardziej w sobie i ubranych z przesadą

dbałością o wygląd członków klasy pracującej z komunistycznych plakatów, podchodzi do szczupłego, niewysokiego człowieka i pyta o nazwisko. Jest chłodny, marcowy wieczór 1968, i jeden z nich, nie czekając na odpowiedź, woła: „To ten!”, zaś reszta zaczyna bić i kopać zagadniętego pod komendę mundurowego milicjanta.

2.

Kim jest ów człowiek, w stosunku do którego reżym komunistycznej Polski zadaje sobie aż tyle trudu, zamiast go po prostu załatwić według starych wypróbowanych metod? Nazywa się Stefan Kisielewski. Ma lat 57. Pochodzi z rodziny o tradycjach lewicowych, która dała kulturze polskiej wybitnych pisarzy i intelektualistów, jego ojciec był współredaktorem „Robotnika”. Jest kompozytorem i krytykiem muzycznym, znanym i cenionym w Europie. Jest także pisarzem, opublikował powieści i zbiory esejów. Jest znakomitym publicystą, krytykiem społecznym i badaczem kultury współczesnej. Od ponad 20 lat ogłasza co tydzień felietony w „Tygodniku Powszechnym”, cenzura konfiskuje mu je bez przerwy, niemniej, w ciągu tychże 20 lat, niezależna inteligencja polska uważa to co z nich zostaje niemal za dekalog swych postaw ideowych i poznawczych. W okresie liberalizacji stosunków politycznych, po Październiku 1956, Kisielewski został, z ramienia katolików, którym jakoby przyznano prawo politycznej reprezentacji, posłem do sztucznie spreparowanego przez komunistów pseudo-parlamentu, czyli owej oszukańczej, niby-demokratycznej legitymacji, jaka potrzebna była Gomułce na początek dla Zachodu i własnego społeczeństwa i którą nazwał Sejmem. Po paru latach komuniści nie zgodzili się na obecność Kisielewskiego nawet w tym „parlamencie”, nie pytając się więcej o zgodę jego wyborców; jego przemówienia, mimo, że nigdy nie publikowane w prasie na skutek zakazu cenzury, stanowiły najbardziej nieodpartą i najlogiczniejszą krytykę błędów reżymu. Kisielewski, zwolennik katolickiego liberalizmu w stylu Lorda Actona i uczeń szwajcarskiego neo-liberała Wilhelma Röpke, głosi prostą i trudną do pokonania filozofię polityczną. Polska — mówi — jest małym krajem w sowieckiej sferze wpływów, co sprawia, że muszą nią rządzić komuniści; ale ten stan rzeczy nie oznacza, że komuniści winni rządzić bez żadnej społecznej odpowiedzialności, popełniając bezkarnie błędy i nadużycia w imię bezsensownego dogmatyzmu i doktrynerstwa; trzeba i można wymóc na nich, aby rządzili dla dobra Polaków nie odstępując od własnych celów ideowych, trzeba ich przekonać do dialogu ze społeczeństwem, do dobrych stosunków z rządzonymi, które są możliwe, o ile wśród komunistów zatriumfuje postawa pragmatyczna i elastyczna, ujmująca szeroko koncepcję władzy pod kątem współczesnych interesów człowieka, świata, Europy, Polski. Talenty Kisielewskiego, jego błyskotliwość umysłowa,

ostrość sądów, wykształcenie, dowcip i maestria pisarska zapewniły mu wysokie miejsce w polskim świecie intelektualnym, ale uznanie grupy pisarzy i artystów nie stanowi jeszcze o jego pozycji w polskiej świadomości społecznej, ta bowiem zdeterminowana jest przez jego postawę moralną — konsekwentną, nieugiętą postawę duchowej niezawisłości i odmowy kompromisów z konformizmem, przez nieskazitelną uczciwość osobistą, przez twarde, uporczywe głoszenie własnych przekonań przy każdej okazji, bez względu na groźby, prześladowania, nieustanną inwigilację, wieloletnią odmowę paszportu zagranicznego, aparaty podsłuchowe w mieszkaniu, atmosferę wiecznej niepewności i strachu. Kisielewski był pierwszym człowiekiem w Polsce, który w dobie stalinizmu ośmielił się wystąpić przeciw realizmowi socjalistycznemu w sztuce, czego następstwem było pozbawienie go środków do życia. O tym pamięta w Polsce społeczeństwo, pamięta i reżym — pastwienie się nad nim milicjantów przebranych za robotników nie jest aktem ani przypadkowym, ani nieprzewidzianym.

Jest jednak jaskrawym odejściem od dotąd stosowanych metod. Prześladowanie inaczej myślących, sprzeciwiających się, opornych, niezależnych, w każdym totalitaryzmie ma taką samą funkcję społeczną i wartość moralną. Ale istniały dotąd zasadnicze różnice. Faszyzm i hitleryzm używały metody brutalnej eksterminacji, komór gazowych, tępego, prymitywnego mordowania, a w łagodniejszych wypadkach tzw. łamania kości politycznych przeciwników. Komunizm dbał o pozory, o przewrotne, fałszywe uzasadnienia. Podporządkował eksterminację dialektyce, lubował się w eufemizmach, mord nazywał eliminacją błędnych poglądów, kalectwo z rąk oprawców — prostowaniem wypaczeń. Oficjalnie, tortury i morderstwa nie istniały w obrazie komunistycznego świata, izolowane były od dziennego światła, odbywały się w lochach zakamuflowanych przez biura, lub w obozach koncentracyjnych odległych o tysiące kilometrów od centrów mieszkalnych. Łatwo je było nazwać we własnej prasie wymysłem wrogiej, burżuazyjnej propagandy. Zrodziła się cała ponura mistyka komunistycznego gwałtu, zmitologizowana przez licznych pisarzy z Arturem Koestlerem na czele, gwałtu, który w literackiej interpretacji przeobraził się ze zwykłych tortur fizycznych w zagadkowe i tajemnicze praktyki intelektualnej magii, dobywające z niewinnych ludzi obłądne, przeczące najprostsze empiryzmowi samooskarżenia, nieodzownej komunistycznej, spoistej wizji świata, w której bezbłędna doktryna stanowi najbłędniejsze, a zarazem nienaruszalne wyjaśnienie wszelkich zjawisk. Toteż otwarta masakra Stefana Kisielewskiego na warszawskiej ulicy za to, że myśli inaczej niż Gomułka i ośmiela się dawać wyraz swym przekonaniom, stanowi fakt o niezwyklej doniosłości. Po raz pierwszy reżym komunistyczny w Europie odszedł od tradycji, zerwał z pozorami i odślonił swą identyczność z faszyzmem i hitleryzmem. Coś ze specyfiki bojówek Horsta Wessela i Himmlera, pustoszących ulice Berlina

w 1932 roku i pozostawiających krwawe plamy na brukach niemieckich miast, powiało z warszawskiego incydentu. Jak dotąd, terror komunistyczny wyznawał świętą zasadę maksymalnej skuteczności: mordowany, lub katowany musiał jeszcze oddać Wierze ostatnią przysługę, potwierdzającą nieprawdziwym przyznaniem się do nieistniejącej winy wilczą, antykomunistyczną nikczemność Intelligence Service'u, Ameryki, kapitalistycznego otoczenia. Hitleryzm nie wymagał niczego innego od swych ofiar jak tylko zaświadczenia swoim losem i męczeństwem żywiołowej potęgi hitleryzmu. Znęcanie się nad Kisielewskim dowodzi tego, że Gomułka porzucił wskazania Stalina, Jeżowa i Berii i uczy się od Goeringa, Roehma, Heidricha. Krew katowanych na warszawskich i krakowskich ulicach ma świadczyć o nienaruszalności jego władzy.

Są jeszcze inne dowody na to, że polski komunizm można już dziś śmiało nazwać komuno-hitleryzmem. Gangsteryzm i mafijność średnich szczebli aparatu administracyjnego, prymitywny nacjonalizm, wreszcie dziki, bezsensowny antysemityzm, odwołujący się do najmniej sensownych argumentów i do najniższych instynktów motłochu, wyzbyty racjonalizacji i przesłanek społecznych — wszystko to wskazuje, że „Mein Kampf” zastępuje „Kapitał”, na razie tylko w szufladach nocnych szafek Gomułki i jego sztabu. Nacjonalizm komunistyczny w Polsce coraz bardziej przypomina podejrzaną populizm, właściwy drobnomieszczkańskim ideologiom, w którym gloryfikacja przymiotów i uroków regionalno-plemiennych, uwielbienie ciasnych i płytkich sentymentalizmów, potraw, zwycięstw w sporcie, krzepy, chamskiej swojakowości i „naszości”, połączone z programową wrogością wobec otwartości horyzontów umysłowych, inteligencji, kultury, tolerancji wypiera dawną rozległość perspektyw klasycznego marksizmu.

Stefan Kisielewski pasjonował się w młodości lekką atletyką i biegami na długich dystansach. Później, w życiu, zwykł żartować, że trening z młodości zawsze pozwoli mu uciec przed każdym napastnikiem. Ta symbolika zawiodła wobec komunistycznego neo-hitleryzmu. Raz jeszcze okazało się że człowiek myślący, żyjąc w obrębie władzy rozbuchanych swym obskurantwem ćwierć-inteligentów, płacić musi za myślenie własną krwią.



Po czym Gomułka wygłosił przemówienie.

Jest ono arcywzorem Metody, budzącej niegdyś trwożliwy szacunek i obezwładniającej swą monumentalną bezkarnością. Metoda zasadza się na trafnym rozeznaniu zjawiska, że totalne przeinaczenie zniechęca do prostowania nawet najoczywistszych kłamstw; nikt nie będzie się sprzeczał z kimś, kto nazywa dom polem. Zbirów w hełmach szturmowych, bijących studentów faszerowaną ołowiec, gumową pałką, Gomułka nazywa *aktywem robotniczym, zmobilizowanym przez KW PZPR*. Kopanie powa-

lonych studentek podkutymi butami, kwitowane przez tłum rozpaczliwymi okrzykami „Gestapo!”, Gomułka określa jako *nieudaną próbę przekonywania* o niesłuszności studenckich postulatów. Studenckim niepokojom nie jest winna gomułkowszczyzna, jej zbrodnie i jej idiotyzmy, nie są za nie nawet winni opozycyjni, neo-marksistowscy profesorowie, lecz *cała kadra naukowo-dydaktyczna*, która, jak należy się domyśleć, niedość skutecznie denuncjowała, krępowała, dusiła w zarodku. Ale jej i nowy ton w przemówieniu, ton nie samego Gomułki, ale kogoś innego, kto mu pewne ustępy mowy napisał. Po raz pierwszy chyba w swej karierze Gomułka kłamie krygując się, udając kogoś innego, niż jest w istocie. Mówiąc o *Dziadach*, teatrze, reżyserii, literaturze, kulturze, Gomułka stwierdza: „Dziedzina ta jest mi daleka. Nie wiem po prostu co wolno, a czego nie wolno robić reżyserowi...” To nie są słowa ograniczonego belfra, jakim jest prawdziwy Gomułka, to jest KONCESJA — nawet jeśli w swym zamierzeniu ma brzmieć jako zabójcza ironia, jako szyderstwo z Dejmka i wszystkich mądrzejszych, umysłowo delikatniejszych, wrażliwszych i bardziej wykształconych. Trzeba było jakiegoś wstrząsu, ażeby rutyniarz i dzierzymorda, który — zbrojny w Diamat z popularnych broszurek — święcie wierzy, że wie wszystko, zna wszystko i na wszystko ma właściwą odpowiedź, przyznał, choćby szyderczo, że coś może być poza nim i jego władzą wyrokowania. I jeśli nie warto jest rozmawiać z Gomułką jako takim, Gomułką otulonym w podszewki cudzych zdań, nieswoich sformułowań, fałszywie skonstruowanych statystyk, Gomułką odzianym w płaszczyk zręcznie wypoconych elukubracji komunistyczno-politbiurowych *speech-writer*ów, to przecież odślonięcie łaty, czy domacanie się dziury w owym prastarym systemie, znanym powszechnie jako „cel uświęca środki” daje nowe, nieoczekiwane emocje.

Jest jednak w mowie tej jedno zdanie, które wprawiło mnie w prawdziwe zdumienie. Mówiąc o Pawle Jasienicy, oskarżając go o niebywałe zbrodnie nikczemności, topiąc go w kadzi tego co dla komunisty najohydniejsze, Gomułka powiedział *verbatim et literatim*: W dniu 3 maja 1949 roku śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone z powodów, które są mu znane”.

Co to znaczy? Cóż za akcent zdumiewającej intymności, prywatności, dyskrekcji w mowie, której słucha cała Polska, którą sowiecka prasa przedrukowuje *in extenso*, zaś cały świat kwituje zainteresowaniem? Cóż wiedzą razem Jasienica i Gomułka co nie może być odkryte, ujawnione, przekazane do ogólnej wiadomości? Czyja wstydlivość nakazuje powściągliwość i rezerwę w wynurzeniach? Dlaczego umarza się śledztwo przeciwko komuś, kto w oczach komunistów popełnił czyny i wykazał się osobowością, wobec których Lucyfer i Antychryst to mydło? Rzecz jasna, w zdaniu tym ukryta jest zarówno przygana, jak i łaska, a ponadto wskazanie na coś niezwykle brzydkiego i hańbiącego, o czym komuniści wiedzą i na co tylko mówią: „No... no!..”. Ja z kolei wiem, kim jest Paweł Jasienica. Znam

młodzieńczą surowość jego moralnych katechizmów, jego umiłowania etyczne wprost z „Lorda Jima”, jego prosty, zgrzebny i schludny światopogląd Polaka opętanego Polską i polskością, zbudowany na żeromsko-sienkiewiczowskiej estetyce i psychologii. Nie istnieje doskonalsza ambiwalencja koncepcji nacjonalizmu, niż to co uważa za wartość narodową Paweł Jasienica, historyk, pisarz, intelektualista, i to co pod mianem nacjonalizmu widzą Moczarowie, Gierkowie, Strzeleccy. Toteż jeśli w wyżej wzmiankowanym zdanku kryje się ze strony Gomułki jakaś próba deprecjacji *czegoś*, to w moich oczach obciąża to tylko komunistów, *ich* kierownictwo, *ich* UB, *ich* „środki specjalne”, *ich* wydziały polityczne, *ich* Gomułków każdego kalibru i rzędu.

Wreszcie — akcent melancholijny, jakże rzadki w tych czasach schamiałej potworności. Pisarze PZPR i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego wnieśli do ZG ZLP „uchwałę” domagającą się usunięcia ze Związku Kisielewskiego, Jasienicę i Januarego Grzędzińskiego. Określenie „Pisarze Stronnictwa Ludowego” wywołać musi w każdym człowieku pomiędzy Krupówkami a Jastarnią identyczną reakcję: kto to jest? Długo zastanawiałem się zanim dogrzebałem się jednego. Antoni Olcha. Ludowiec znany ze serwilistycznych aż do śmiechu wystąpień, odwieczne źródło humoru na zebraniach ZLP. Zjednoczone Stronnictwo Ludowe jest firmą zgasłą i smutną: dużo w niej chłopskich cwaniaków, ale też i mnóstwo w jego agendach ludzi uczciwych i mądrych, którzy po 23 latach już sił nie mają do walki, ale ciągle różnią się jeszcze dodatnio od cynicznych wydrwigroszów z konkurencyjnego przedsiębiorstwa, zwanego Stronnictwem Demokratycznym, aktualnych redaktorów popołudniowego wydania *Völkischer Beobachter*, ukazującego się w Warszawie pod nazwą *Kurier Polski*. Ale są w ZSL i Olchy: słuźalczość tych ostatnich przechodzi w Warszawie dość niezauważona, bowiem na kogo tu patrzeć? Niemniej, od czasu do czasu manifestują się karykaturalnie, coś zgłaszają, coś wnoszą, udają, że są.

Kisielewski wyrzucony zostanie za to, że został skatowany i dał się zmasakrować. Jasienica za to, co to on już wie i *oni* też. Ale za co Grzędziński?

Płk. Grzędziński całe życie bił się o wolność przekonań. Jest człowiekiem niedużego wzrostu, lecz wielkiego ducha. Przed wojną zasłaniał tym duchem komunistów, po wojnie zasłania tych, którzy komunistami nie są. Dzieci demonstrujących przeciw dyktaturze nie ma, Żyden nie jest, tym mniej syjonistą, był długo w Maroku i podobno lubi się z Arabami. Tym niemniej ma on na sumieniu grzech otwartej i odważnej współpracy z naszym pismem. Czyli, że usunięty zostanie ze Związku za tę współpracę. Przyznać trzeba, że jest to powód wystarczający. Wpływy *Kultury* są w Polsce znaczne. Przyznał to Gomułka, życie potwierdza to na każdym kroku. *Kultura* jest już dziś synonimem pewnej filozofii politycznej, a zatem rodzi postawy ideowe i moralne, zaś następnie wzory zachowania i postępowania. Tutaj już felietony tzw. dziennikarzy, zrzeszonych w spółdzielni kłamstw przy ulicy

Foksal, przestają wystarczać, kontr-propagitki to za mało, tym bardziej, że głupawe i tępe z natury. Konieczne są środki administracyjne. Czego nie można zwalczyć myślą i słowem trzeba spróbować piłą i siekierą. Rzecz w tym, że są to narzędzia przydatne przy olchach, lecz nigdy nie dały rady ideom. No, ale tego liczni członkowie Związku Literatów Polskich nie wiedzą, mimo, iż twierdzą, że się o tym uczyli w szkołach.

Leopold TYRMAND

Kronika wypadków

LIST Z KRAJU

Tak więc wybuchły demonstracje we wszystkich większych ośrodkach uniwersyteckich w kraju. Właściwie manifestowali wszyscy — mileżał jedynie Olsztyn (W S R), Rzeszów i Opole. Olsztyn skupia stosunkowo małe środowisko i to niezbyt prężne intelektualnie, Rzeszów jest chyba najmłodszym ośrodkiem studenckim w Polsce, i jest trzymany „za mordę” przez K.W., w którym *nota-bene* ulokowani są najwięksi parweniusze z pośród parweniuszy partyjnych, a co do Opola — to nie taka prosta sprawa — podobna sytuacja jak w Rzeszowie (dzięki nam, KW, powstałicie, nam wszystko zawdzięczacie), ale prasa za wcześniej się podnieciła i podała, że środowisko studenckie Opola nie wzięło udziału w wichrzycielskich poczynaniach Warszawy — wówczas studenci Opola zorganizowali wiec, zawieszono wykłady oraz zorganizowano przemarsz ulicami miasta z portretami Gomułki otoczonymi aureolą pałek policyjnych, oraz transparentami: „Znużone miny robotników na zdjęciach w prasie, świadczą kogo ludzie popierają”, itp. Pewien czas trwała okupacja uczelni (WSP) i był wypadek, że władze umówiły się z delegatem studentów niedaleko ogrodzenia uczelni (na uczelni nikogo nie wpuszczano). Kiedy student zjawił się na umówionym miejscu podjechała „Wołga” i dwóch osobników usiłowało wciągnąć go siłą do środka. Gdyby nie interwencja przezornych i będących w pobliżu kolegów, „poseł” skończyłby na kolegium z doraźnym wyrokiem albo jeszcze gorzej.

Niech nikt za granicą nie ma złudzeń, że ze studentami MO i ORMO się patyczkowało. Wszyscy oburzeni są dogłębnie przeciwko takiemu biciu. Odbite wątroby, nerki, zmasakrowane głowy itp. W Szczecinie widziałem z okna jak trzy dni po rozruchach jeszcze milicjanci bili ludzi. Wystarczyło, że dwie osoby podeszły do siebie (starzy czy młodzi) bez pytania dostawali pałkami. ORMO pobiło dotkliwie kobietę i mężczyznę, który usiłował ją bronić, rozpędzono pałkami i biciem grupkę ludzi czekających na przystanku tramwajowym w Al. Wojska Polskiego. Aparat partyjny postawiony był w stan pogotowia w domu przy telefonie. Sekretarz

KW Antoni Walaszek wydał instrukcje Ormowcom, że gdyby ktoś został zabity pałkami nie będzie konsekwencji — byle tylko nie używać broni palnej. W zakładach pracy, m.in. w Stoczni Warszawskiej siłą ściągnięto ludzi na wiec pod groźbą zwolnienia z pracy i oczywiście w godzinach pracy. Rozmawiałem z dokerem: „Kazali mi trzymać transparent — mówił — z napisem 'syjoniści do Dajana' — kurwa wasza mać, pomyślałem sobie, ale rzucę go — też mnie zwolnią”.

O D E Z W A

DO OBYWATELI POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

My studenci Politechniki Warszawskiej, zebrani podczas dwudniowego strajku okupacyjnego, w niniejszym dokumencie określamy swoje stanowisko wobec wydarzeń marcowych. Jesteśmy dumni, że młodzież naszej Uczelni okazała w swych wystąpieniach bezkompromisową wolę walki z fałszem, z obłudą i zakłamaniem, przeciwstawiła się brutalności i panowaniu wilczych praw w naszym społeczeństwie, okazała wrażliwość na sprawy społeczne równocześnie deklarując uczucia patriotyczne i wierność socjalistycznej idei. Mimo iż ostatnie wydarzenia rozpętały namietności nikt i nigdy nie szermował reakcyjnymi hasłami antyustrojowymi, antyradzieckimi czy antypaństwowymi. Jednomyślna manifestacja młodzieży posiada ściśle określone treści postępowe i bez znaczenia jest fakt kiedy i z jakiej przyczyny została zapoczątkowana. Oficjalna wersja o rzekomych inspiratorach zaś rekrutujących się spośród niezidentyfikowanych tzw. „bankrutów politycznych” i ich wpływie na umysły młodzieży jest w stosunku do nas prymitywnym demagogicznym kłamstwem.

Stwierdzamy, że poszukiwania winnych w społeczeństwie polskim zamiast poddania krytyce polityki wewnętrznej naszego państwa stwarzającej atmosferę bez której nie mogłoby dojść do ostatnich wydarzeń — nie prowadzi do celu. Bolejemy nad faktem, że nieustępliwe stanowisko Władz nie pozwala nam powrócić do normalnych zajęć, nie stwarza możliwości zażegnania najbardziej z możliwych dramatycznych rozdzwieńków — rozdzwieńku między władzą państwa a jego młodzieżą.

Jednocześnie w głębokim przeświadczeniu o odpowiedzialności wobec najszczytniejszych tradycji walk studentów o sprawiedliwość i prawdę, wobec ideałów cywilizacji, o odpowiedzialności za uratowanie honoru studenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wobec społeczeństwa i historii — w tych dramatycznych chwilach nasza postawa jest zdecydowana. Mimo represji i stosowania metod zastraszających z tą samą co poprzednio mocą podtrzymujemy nasze żądania. Żądamy zamieszczenia w środkach masowego przekazu prawdziwej wersji wydarzeń, obalenie oszczerstw i kłamstw jakimi karmi się do tej pory społeczeństwo, żądamy zwrócenia należnego nam dobrego imienia, żądamy kary dla winnych brutalnego gwałtu dokonanego przez organa ORMO i MO w dniach 8-9 marca i później w stosunku do aktywnych podczas ostatnich zajęć. Ostro protestujemy przeciw aktom gwałcenia prawa z Konstytucji PRL. Żądamy rzetelnej informacji w środkach masowego przekazu, nie chcemy czerpać wiadomości z takich źródeł jak np. rozgłośnia „Wolna Europa”, która mimo iż obecnie podaje prawdziwą relację zajęć w Polsce, w samej zasadzie jest antysocjalistyczna i antyradziecka. Między innymi żądamy naszej krajowej informacji publicznej, która nie kłamałaby. Protestujemy przeciw gwałceniu prawa, a to:

zatrzymywaniu i cenzurowaniu listów wysyłanych przez studentów z Warszawy, takim aktem jak powoływanie do służby wojskowej studentów „niebezpiecznych”, rewizjom na Uczelni itp.

Wobec naszej postawy nie jesteśmy sami. Spośród tych, którzy znają nasze hasła i zadania, większość przytłaczającą stanowią ludzie dobrej woli — oni są za nami.

NIECH ŻYJE POLSKA!
NIECH ŻYJE SOCJALIZM!

HISTORIA BĘDZIE ZA NAMI

STUDENCI POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

O D E Z W A

1. Ostatnie wystąpienia kierownictwa Partii z uporem próbują odciąć nasz ruch od społecznych korzeni, koncentrując się na atakowaniu jakoby nielicznych grup inspiratorów pomijają społeczne tło wydarzeń.

2. Zdradzanie ideałów Polskiego Października, odcięcie się od ówczesnych postulatów społecznych, powrót skompromitowanych w minionym okresie działaczy na naczelne stanowiska w kraju, doprowadziły do rewolucyjnego wrzenia narodu.

3. Jesteśmy tylko „barometrem” nastrojów społecznych i nie damy sprowadzić naszych dążeń do problemów syjonizmu, frakcyjnej walki o władzę.

4. Sojusz i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim jest gwarantem niepodległego bytu naszego państwa, używanie więc argumentów jakoby obecny ruch społeczny godził w ten sojusz jest sprzeczne z treścią naszego ruchu.

5. Świadoma dezinformacja społeczeństwa, nasza nieobecność na robotniczych wiecach, zignorowanie naszych postępowych rezolucji oraz wieców wykluczają możliwość rzetelnej dyskusji i wskazują gdzie jest prawda.

6. Żądamy konsekwentnego realizowania zasad socjalizmu, a nie szafowania jego ideami dla osłony zdobytych pozycji w kierownictwie.

7. Skłócenie społeczeństwa ma na celu odwrócenie uwagi opinii społecznej od nabrzmiałych problemów ekonomicznych, których nie potrafi rozwiązać i powstrzymać obecne kierownictwo.

8. Bierna postawa większości uczestników wieców partyjnych organizowanych metodą administracyjną dobitnie świadczy o rozłamie w łonie partii. Postępowa część organizacji partyjnej popiera nasz ruch.

9. Przykład Czechosłowacji dobitnie świadczy, że reformy przeprowadzone w duchu demokratyzacji życia wewnątrz kraju są zgodne z zasadami socjalizmu.

10. Taka jest prawda i tu dokonaliśmy wyboru.

nieustępliwą walkę o nasze ideały

STUDENCI WROCŁAWIA

Wrocław, dn. 20. 3. 1968 r.

ROBOTNICY.

MY STUDENCI POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ INFORMUJEMY WAS O TYM ŻE NA NASZEJ UCZELNI ODBYWA SIĘ STRAJK OKUPACYJNY. JEST ON KOLEJNYM WYRAZEM NASZEGO PROTESTU PRZECIWKU NIEPRZESTRZEGANIU 71 ART. KONSTYTUCJI PRL, KTÓRĄ WY SAMI UCHWALILIŚCIE. PROTESTUJEMY DLATEGO, ŻE TYLKO W WARUNKACH PEŁNEJ DEMOKRACJI MOŻNA ZNALEŻĆ ROZWIĄZANIA KTÓRE UZDROWIĄ NASZĄ SOCJALISTYCZNĄ GOSPODARKE. W ATMOSFERZE NIEUFNOŚCI, PODEJRZEŃ I DONOSICIELSTWA ROZPATRYWANIE PROBLEMÓW GOSPODARCZYCH JEST NIEMOŻLIWE. KŁAMLIWA KAMPANIA PRASOWA MA NA CELU WMÓWIENIE MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ, ŻE JESTEŚCIE PRZECIWKÓ NIEJ. WIEMY, ŻE TAK NIE JEST. CHCEMY SPOTKAĆ PRAWDZIWYCH STUDENTÓW Z PRAWDZIWYMI ROBOTNIKAMI.

NIECH ŻYJE KLASA ROBOTNICZA !!!

NIECH ŻYJE SOCJALIZM !.

NIECH ŻYJE DEMOKRACJA !

STUDENCI POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

WARSZAWA DN. 21.03.1968 R.

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

Warszawa, dnia 21 marca 1968 r.

Do

Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
na ręce Pana Premiera
Józefa CYRANKIEWICZA
w Warszawie

Episkopat Polski, zaniepokojony ostatnimi drastycznymi zajściami na ulicach miast akademickich, uważa za swój obywatelski obowiązek, przedłożyć Panu Premierowi — kierując się jedynie względami zachowania porządku społecznego i moralnego, dla pokoju we wspólnej Ojczyźnie — co następuje.

1. Ostatnie wystąpienia młodzieży akademickiej można lepiej odczytać raczej na tle społecznych, kulturalnych niż politycznych ruchów młodzieżowych, w tylu innych narodach. Zwrócenie się naszej młodzieży do Władz akademickich jest wyrazem jej zaufania do organów, powołanych przez Władze państwowe do działania, w granicach słuszných uprawnień wspólnot akademickich. Nie można się doczytać w tych wystąpieniach „buntu mło-

dych" przeciwko ustrojowi Państwa lub też przeciwko Władzom państwowym. Owszem, raczej można zauważyć, że młodzież ta widzi w Konstytucji PRL zagwarantowane prawo do wypowiadania swych postulatów publicznie.

2. Z tego względu, że nie można w manifestacjach młodzieży dopatrywać się celów politycznych, nie można też ich łączyć z anonimowymi siłami, ani z emocjonalnością małych grupiek „nastolatków”, czy z nieodpowiedzialnością tzw. chuliganów.

3. Zarówno władze akademickie, jak i państwowe mogły bardzo łatwo porozumieć się po ojcowsku z tą młodzieżą, bez interwencji MO i ORMO. Toteż ubolewać należy, że te czynniki wmieszały się w manifestacje młodzieży akademickiej na terenie uczelni. Poważne zastrzeżenie budzić musi zastosowanie gwałtownych środków represji policyjnych, jakie można było oglądać zwłaszcza na ulicach Warszawy, Poznania, Katowic, Gliwic, Krakowa, Gdańska i in. Takie metody muszą niestety wyjść na szkodę autorytetu Władzy publicznej.

4. Od dawna już poważne zastrzeżenia budzą w społeczeństwie metody stosowane przez Władze bezpieczeństwa, zarówno w zajęciach akademickich jak — uprzednio — w okresie uroczystości millenijnych (Poznań, Warszawa, Sosnowiec), czy w akcjach przeciwko Kościołowi (Warszawa ul. Dickensa, Wołkowyja i in.). Pałka gumowa nigdy nie jest argumentem dla wolnego społeczeństwa, budzi najgorsze skojarzenia i mobilizuje opinię przeciwko ustalonemu porządkowi. Władza państwowa nie może zastąpić rozsądku i sprawiedliwości — pałką gumową.

5. Zagadnienie wolności opinii, o którą upomina się społeczeństwo, pisarze i Episkopat, wystąpiło na tle manifestacji akademickich z nową jaskrawością. Gwarantowane obywatelom przez Konstytucję PRL i Deklarację ONZ prawa do rzetelnej informacji domagają się wolności prasy, ograniczenia interwencji cenzury i obiektywizmu w informowaniu. Władza państwowa, która dopuszcza się do ograniczenia wolności informacji dostaje się nieustannie pod krytyczny osąd opinii społeczeństwa, które widzi rozbieżność między prasą zależną a codzienną rzeczywistością.

To, co młodzież akademicką najbardziej oburzało i podniecało, to oczywiście nieprawda w informacjach prasowych w zestawieniu z jej intencjami, przeżyciami i dążeniami. Oburzenie młodzieży na nieuczciwość informacji prasowej dobrze rozumie Episkopat Polski, bo sam na sobie od tylu lat doświadcza gorzkich owoców niesumiennej prasy.

6. W trosce o spokój, jedność i braterstwo Narodu, aby uniknąć pogłębiającego się rozdarcia między władzami państwowymi a społeczeństwem, oraz by nie dopuścić do urażenia tak wyostrzonego dziś wśród młodzieży poczucia sprawiedliwości, postulujemy:

- 1) Uwolnić młodzież zatrzymaną w więzieniach i aresztach;
- 2) Powściągnąć drastyczność stosowanych metod karania i śledztwa, o czym przenikają wiadomości do społeczeństwa;
- 3) Wpłynąć na prasę, by informowała opinię publiczną zgodnie z rzeczywistością lub przynajmniej by tendencyjnymi naświetlaniami nie drażniła młodzieży i społeczeństwa;
- 4) Wpłynąć skutecznie na władze bezpieczeństwa, by nie stosowały anachronicznych środków represji, tak bardzo skompromitowanych we wspomnieniach naszego Narodu.

Te przedłożenia składamy na ręce Pana Premiera, w oparciu o art. 5 ust. 2 i art. 73 Konstytucji PRL, jako obywatele wspólnej Ojczyzny, którym zależy na pokoju społecznym i dobrej opinii Polski w świecie.

Podpisali: Obecni na 107 Konferencji Episkopatu Polski
Kardynał Prymas, Kardynał Karol Wojtyła, Arcybiskupi
i Biskupi Polscy.

STANOWISKO KSIĘŻY — KAPELANÓW WOJSKOWYCH

Do głosów potępiających inspiratorów i organizatorów niedawnych ekscesów studenckich przyłączają się również kapelani wojskowi. W piśmie skierowanym na ręce Szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, a podpisanym przez Generalnego Dziekana WP płk. ks. *Juliana Humeńskiego* i jego zastępcę płk. ks. *Jana Mrugacza*, czytamy: „Generalny Dziekanat WP przesyła w imieniu Duszpasterstwa Wojskowego oświadczenie pełnej solidarności z postawą Sił Zbrojnych PRL i całego zdrowo i patriotycznie myślącego naszego społeczeństwa, odnośnie szkodliwych dla polskiej racji stanu niedawnych wystąpień części młodzieży akademickiej.

Wystąpienia te są tym bardziej szkodliwe, że usiłują podważyć jedność naszego Narodu oraz fundamentalne podwaliny naszego bytu narodowego, do których zalicza się przede wszystkim nasza przyjaźń ze Związkiem Radzieckim.

W pełnym zrozumieniu powyższych faktów Księża Kapelani Ludowego Wojska Polskiego będą w granicach sobie dostępnych i w poczuciu pełnej solidarności z Kierownictwem naszego Państwa tym usilniej zabiegali o jedność rzesz katolickich z całym naszym Narodem w tych doniosłych dla naszej Ojczyzny chwilach”.

ZARZĄD GŁÓWNY ZLP DOMAGA SIĘ REPRESJI

... Biorąc pod uwagę powszechną opinię społeczną, głosy środowisk literackich i uwzględniając żądanie organizacji partyjnych PZPR i ZSL przy Warszawskim Oddziale ZLP, Zarząd Główny postanawia — w myśl paragr. 30 i 32 statutu ZLP — skierować do Głównego Sądu koleżeńkiego wniosek o usunięcie z szeregów naszego związku: *Pawła Jasienicy* i *Stefana Kisielewskiego* oraz ponowić wnioski o usunięcie z ZLP *Januarego Grzędzińskiego*. Wnioski te dyktuje nam głęboka troska o to, by ZLP nie stawało się w przyszłości forum dla działalności politycznej skierowanej przeciw podstawowym zasadom ustrojowym i założeniom polityki Polski Ludowej.

Trybuna Ludu, środa, 10 kwietnia 1968.

C Z A R N A L I S T A

Prasa krajowa w ogóle oraz szereg dziennikarzy — z bardzo, niestety, nielicznymi wyjątkami — dają przygnębiający obraz służalstwa i zakłamania. Wydaje nam się, że jest celowe odnotowywanie jaskrawszych wypadków — dla pamięci i wyciągnięcia odpowiednich wniosków. (Redakcja).

Ryszard Gontarz: „Inspiratorzy”, *Kurier Polski*, 12 marca 1968.

Henryk Gołębiowski: „Co robił wczoraj a co robi dziś Stefan Staszewski”, *Trybuna Ludu* z 17 marca 1968.

Br: „Negacja i awanturnictwo”, *Trybuna Ludu* z 23 marca 1968.

A. Reutt i Z. Andruszkiewicz: „Apostołowie — moralni sprawcy wystąpień młodzieży studiującej”. *Walka Młodych*, 24 marca 1968.

K. Kunicki: „Niedoszli bohaterowie”, *Żołnierz Wolności*, 19 marca 1968.
Tadeusz Kur: „Encyklopedyści”, *Prawo i Życie*, 24 marca 1968.

Prof. Dr J. Chałasiński: „Niepokojące zjawisko”, *Trybuna Ludu*, 24 marca 1968 i „Czy socjologia musi być niezrozumiała”, *Głos Pracy*, 4 kwietnia 1968.

Kazimierz Kąkol: „Sprawy i ludzie”, *Prawo i Życie* nr 6, 24 marca 1968.

Wiesław Mysłək: „Koryfeusze nauki czy protektorzy wichrzycieli”, *Trybuna Ludu* z 26 marca 1968.

Bolesław Kowalski, (polski żurnalist): „My s Partiej”, *Literaturnaja Gazeta* Nr 13 z 27 marca 1968.

Klaudiusz Hrabek: „Zatrzaśnięta szansa Pawła Jasienicy”, *Głos Pracy*, 27 marca 1968 i bez wyjątku wszystkie dalsze jego artykuły.

Anna Pawłowska: „Drogi i bezdroża — próba analizy”, *Sztandar Młodych*, 28 marca 1968.

Adam Kobylński: „Głosowałbym za Nowosilcowem...”, *Głos Pracy*, 19 marca 1968.

Henryk Gaworski: „Mity i fakty”, *Życie Warszawy*, 6 kwietnia 1968.

Roman Bratny: „Historia jednej nadziei”, *Kultura*, Warszawa, 7 kwietnia 1968.

A. Majkowski: — Referat wygłoszony na zebraniu aktywu studenckiego ZMS w dniu 9 kwietnia 1968.

Podstawowa Organizacja Partyjna oddziału Związku Literatów w Katowicach uchwaliła rezolucję potępiającą A. Słonimskiego, St. Kisielewskiego, P. Jasienicę, J. Grzędzińskiego i A. Kijowskiego.

Analogiczną uchwałę powzięło nadzwyczajne zebranie oddziału Rzeszowskiego ZLP wraz z kołem młodych pisarzy i redakcją kwartalnika *Profile*. Nazwisk nie podano.

Ignacy Krasicki: „W czym interesie”, *Trybuna Ludu* z 13/14/15 kwietnia 1968.

Jarosław Ładosz: „Marksizm a filozoficzne poglądy Kołakowskiego”, *Trybuna Ludu* z 13/14/15 kwietnia 1968.

Aloizy Sroga: „Po której stronie barykady”, *Radio Warszawa* 1 z 13 kwietnia 1968.

Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP i Lubelskiego Klubu Literackiego uchwalili poparcie dla Zarządu Głównego ZLP w związku z jego decyzją usunięcia ze Związku P. Jasienicy, St. Kisielewskiego i J. Grzędzińskiego. Prasa nie podaje nazwisk pisarzy popierających tę rezolucję.

CZECHOSŁOWACJA

W *Literarnich Listach* z 6 kwietnia ukazał się list otwarty Jiriho Ledera do Ryszarda Gontarza, autora artykułu „Inspiratorzy” zamieszczonego w warszawskim *Kurjerze Polskim* z dnia 12 marca 1968.

„Szanowny Panie,

Z dużym zainteresowaniem zabrałem się do czytania Pana artykułu, który miał poinformować czytelników o podłożu demonstracji studenckich. Przed 20 laty studiowałem w Polsce na wyższej uczelni. Od tego czasu interesuję się gorąco wszystkim co dotyczy sąsiadującego z nami kraju, który stał się moją drugą ojczyzną. Nie tylko zresztą interesuję się Polską, ale również o niej piszę. Dla informacji — w ubiegłym roku jako pierwszy dziennikarz czeski otrzymałem nagrodę Związku Polskich Dziennikarzy, którą przekazał mi w Pradze przewodniczący Mojkowski, obecnie naczelny redaktor organu Partii *Trybuny Ludu*.

Zwracam się do Pana tą drogą, ponieważ sprawy o których Pan pisze w swoim artykule interesują licznych czytelników. Z Pana artykułu dowiaduję się, że intelektualnymi sprawcami demonstracji studenckich byli polscy pisarze: Jasienica, Kijowski, Słonimski, Kisielewski, Grzędziński, Andrzejewski i Kołakowski. Następnie dodaje Pan jeszcze nazwiska naukowców: Schaffa, Bauman, Brusa.

Większość tych nazwisk jest u nas dobrze znana i szanowana. Wielu z nas czytało ich dzieła. Zawsze wierzyłem, że te nazwiska są chlubą polskiej kultury i w ogóle chlubą Polski Ludowej.

Osoby te nazwał Pan „wrogami Polski Ludowej”. Dodał Pan ponadto: „używam tego określenia świadomie i z pełną odpowiedzialnością”.

Wielka to dla mnie przykreść, że ci, którzy są nie tylko reprezentantami ale twórcami polskiej kultury, nazwani zostali „wrogami”. Byłoby jeszcze bardziej przykre gdyby to była prawda. Ale jest niemniej przykre, jeżeli fakt że Pan ich tak nazwał, jest wyłącznie posunięciem propagandowym. Byłoby tragedią gdyby twórcy kultury narodowej byli wrogami narodu. Ale byłoby również tragedią gdyby ktokolwiek mógł publicznie, w sposób samowolny, określać ich jako wrogów ludu.

Pisze Pan o Słonimskim, jednym z najwybitniejszych polskich poetów, że w 1924 roku napisał antyżydowski artykuł. Przypomina więc Pan histo-

rię, która miała miejsce 44 lata temu. Ale co stało się dziś? Pisze Pan, że wymienieni należeli do najaktywniejszych uczestników nie dawno odbytego nadzwyczajnego Zjazdu Warszawskich Pisarzy. O samym zjeździe pisze Pan: „Doszło na nim do skandalicznych ataków na władze ludowe. Wypowiadano hasła demagogiczne, przemawiano w sposób wrogi w stosunku do Polski Ludowej i socjalizmu. Szereg przemówień było skierowanych do młodzieży, a cel wystąpień był oczywisty: szło o sprowokowanie młodzieży do manifestacji”. To jest wszystko czego dowiedziałem się z Pana artykułu o nadzwyczajnym zjeździe pisarzy.

Aby obraz był pełniejszy dodaję, że pisze Pan w swoim artykule o działalności kółek młodzieży żydowskiej, które Pan charakteryzuje. Moje doświadczenie każe mi wątpić czy Pana charakterystyka jest precyzyjna, a więc właściwa, ponieważ nie opiera się na faktach.

Chciałbym znać te fakty. Pozwoli więc Pan, że zadam kilka pytań:

1. Gdzie i kiedy były opublikowane materiały dotyczące wspomnianego Zjazdu Pisarzy Warszawskich? Zakładam, że polemizuje Pan z czymś, co jest dostępne i szeroko znane w społeczeństwie — w wypadku odwrotnym Pana polemika byłaby etycznie wątpliwa.

2. Dlaczego wyciąga się Jasienicy i Słonimskiemu stare sprawy, które zarówno moralnie jak i z punktu widzenia prawnego zostały raz na zawsze zamknięte? Jeżeli jednak przez cały okres ostatnich dwudziestu lat prowadzicie przeciwko nim na łamach prasy walkę polityczną w sensie moralnym, to w takim razie przepraszam za moją nieznajomość właściwego stanu rzeczy.

3. Czy wzmiankę Pana o kółkach młodzieży żydowskiej mam rozumieć, że cała warszawska młodzież studencka, która demonstrowała przez tyle dni była ofiarą kilku młodych ludzi pochodzenia żydowskiego?

4. Wspomniał Pan o „inspiratorach” warszawskich demonstracji studenckich. Jak mam w związku z tym rozumieć demonstracje, które miały miejsce w innych miastach uniwersyteckich?

5. Jeżeli rozumiuję właściwie to studenci, którzy demonstrowali urodzili się w Polsce Ludowej. O ile wiem, większość studentów pochodzi z rodzin robotniczych i chłopskich. I właśnie to pokolenie znalazło się obecnie w konflikcie z władzą Polski Ludowej. Demonstruje za swobodą, przeciw cenzurze, przeciwko brutalności milicji. Czy te dzieci Polski Ludowej tak bardzo zbłądziły, czy są aż tak reakcyjne?

Pytam Pana o to, ponieważ cieszyłbym się bardzo gdybym mógł znać odpowiedź na postawione pytania.

Cieszyłbym się również gdyby zechciał Pan odpowiedzi na powyższe pytania opublikować wraz z moim listem. Sądzę, że te sprawy interesują społeczeństwo. Nie muszę dodawać, że odpowiedź Pana przedrukujemy w naszej prasie.

JIRI LEDERER”.



Sprawa wojującego antysemityzmu PZPR i w ogóle prześladowań wszelkiej wolności w PRL wypływa często na rewolucyjnej fali w Czechosłowacji. Szczególnie znamienne było oświadczenie Józefa Smrkovsky'iego. Należy on dziś do najbardziej popularnych przywódców komunistycznych w Pradze. W czasie drugiej wojny światowej był organizatorem walki nielegalnej, w 1945 roku stał na czele powstania praskiego, a potem był więźniem systemu stalinowsko-policyjnego. Obecnie, desygnowany na prezydenta parlamentu, Smrkovsky odgrywa wielką rolę w dziele odnowy Czechosłowacji. Często spotyka się na wiecach z młodzieżą uniwersytecką i zajmuje śmiało, bezkompromisowe stanowisko. Na jednym z takich wieców młodzieżowych

w dn. 13 marca rb., zapytano go, co myśli o tak zwanej kampanii antysyjonistycznej w Polsce. Smrkovsky powiedział:

„Jestem rad, że mogę zająć stanowisko w sprawie, której poświęcono wiele pytań, a mianowicie, że jakoby w Warszawie wszystko organizowali jacyś syjoniści. Pozwólcie że na to tak odpowiem: Towarzysze ja się wstydzę, że i u nas jest jeszcze tak wiele antysemityzmu. (Oklaski) Tak, ja się wstydzę (oklaski). To, co się mówi powszechnie, że antysemityzmu nie ma, to nieprawda. Że się tak mówi, nie na to poradzić nie mogę. Ale, że tyle jeszcze u nas pozostało świństwa po Goebbelsie, to mnie głęboko smuci i za to naprawdę się wstydzę. Już prawie sto lat minęło od tych czasów kiedy Tomasz Masaryk szedł do walki przeciwko temu podłemu ruchowi maołemieszczańskiemu, który nawoływał do antyżydowskich pogromów. Tak, Masaryk usiłował wybić z głów czeskiego narodu te haniebne poglądy. A prawda była po stronie Masaryka. (Oklaski). Pomyślcie jednak proszę, co ma powiedzieć starszy człowiek, kiedy słyszy słowa, że „ten żydek Goldstuecker”... To hańba, hańba i jeszcze raz hańba (burzliwe oklaski). I dlatego błagam was młodych, ja starszy już człowiek, traktujcie walkę z antysemityzmem jako integralną część kulturalnej dojrzałości naszego narodu”.

◆

Praski dziennik *Prace* — organ Związków Zawodowych, w nrze z dnia 28 marca 1968 zamieścił tekst listu pracowników Instytutu Filozoficznego Czechosłowackiej Akademii Nauk w Pradze, złożony w Ambasadzie P.R.L. w Pradze:

Szanowni Towarzysze,

Dowiadujemy się, że niżej wymienieni profesorowie i docenci zostali zwolnieni z Uniwersytetu Warszawskiego a mianowicie: B. Baczek, Z. Bauman, W. Brus, M. Hirszowicz-Bielińska i S. Morawski. Ta wiadomość wstrząsnęła nami głęboko. Widzimy bowiem w tym akcie poważne niebezpieczeństwo, zagrażające wolności nauki, która ma decydujące znaczenie dla socjalizmu. Wymienionych naukowców znamy z osobistej z nimi współpracy jako wybitnych przedstawicieli filozofii marksistowskiej, socjologii, ekonomii i estetyki, jako autorów prac, które zdobyły sobie wielkie uznanie międzynarodowe.

W imię podstawowych zasad socjalizmu zwracamy się do Was z apelem o zaprzestanie kampanii antysemickiej, którą się podnieca w związku z wymienionymi osobami. Nie dopuście do tego, aby w socjalistycznym kraju były naruszane podstawowe prawa ludzkie.

◆

Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Praskiego zaprosił profesorów Kołakowskiego i Baczek do Pragi, aby „mogli rozwijać i propagować swobodnie swoje idee humanistyczne i socjalistyczne”.

Two Filozoficzne Słowackiej Akademii Nauk zażądało wyjaśnień od Rektora Uniwersytetu Warszawskiego w sprawie represji w stosunku do profesorów.

◆

Praski dziennikarz, inż. Miroslav Pavel z pisma *Mlada Fronta* opowiedział *Expressowi* jak został przyjęty w Polsce:

„Polecono mi pojechać do Warszawy i zrobić reportaż o rozruchach stu-

denckich. Dokładnie w godzinę po moim przybyciu powiadomił mnie polski minister Spraw Zagranicznych, że muszę Warszawę natychmiast opuścić, gdyż nie można mi zagwarantować bezpieczeństwa osobistego. To samo spotkało mojego kolegę Erwina Kiriceka z organu związków zawodowych *Práce*. Po przekazaniu swojego artykułu do Pragi został wydalony z Polski”.

JUGOSŁAWIA

W deklaracji opublikowanej w Zagrzebiu, redakcja znanego pisma filozoficznego *Praxis* występuje w obronie sześciu profesorów, usuniętych z Uniwersytetu Warszawskiego.

Równocześnie podobną deklarację ogłosiło Stow. Filozofów Serbskich.

Belgradzki periodyk *Knjižvne Noviny* ogłosił na kilkunastu stronach protesty skierowane do władz PRL, podpisane przez filozofów, socjologów, ekonomistów i pisarzy oraz przez 1500 studentów Uniw. Belgradzkiego. Protestujący stwierdzili m.in.: „W tym historycznym momencie, kiedy poprzez czyny usiłuje się zrealizować socjalizm demokratyczny — represje w stosunku do profesorów i studentów w Polsce są tragicznym anachronizmem, z którego skorzystać mogą jedynie elementy skrajnej prawicy”.

FRANCJA

APEL INTELEKTUALISTÓW

„Władze polskie usunęły z katedr i odwołały sześciu profesorów Uniwersytetu Warszawskiego: R. Baczeko, Z. Baumana, W. Brusa, M. Hirszowicz, L. Kołakowskiego i S. Morawskiego.

Ci ludzie powszechnie znani jeśli idzie o ich kwalifikacje i nieskazitelną przynoszą zaszczyt kulturze polskiej i światowej, i są wkładem do tradycyjnych więzów jakie łączą uniwersytety naszych dwóch krajów.

Profesorzy — ofiary obecnej czystki — znani są jako ludzie lewicy; świadczy o tym ich dzieło. Sankcje, które w nich uderzyły są aktem nietolerancji.

Tego rodzaju decyzje sprzeczne z autonomią uniwersytecką zastrzeżoną przez prawa Polskiej Republiki Ludowej, wzbudzają nasz niepokój, grożą one samej przyszłości stosunków uniwersyteckich i kulturalnych francusko-polskich”.

Powyższy apel został podpisany przez François Jacob, profesora Collège de France, laureata nagrody Nobla; Alfreda Kastlera, profesora na Faculté des Sciences, laureata nagrody Nobla; André Lwoff'a, profesora na Faculté des Sciences, laureata nagrody Nobla; Jacques Monod, profesora Collège de France, laureata nagrody Nobla; Jean Sartre'a, Laurent'a Schwartz'a, profesora na Faculté des Sciences.



Le Canard Enchaîné z 17 kwietnia 1968 w artykule pt. „Świat ma dosyć dyktatury młodych!”, pisze:

„Starsze pokolenia zaczynają ujawniać pewne zniecierpliwienie wobec

niesforności młodych. W Berlinie zachodnim zmęczeni ojcowie rodzin nie krępując się mówią: „Hitler doprowadziłby już ich od dawna do rozumu”. Ale czyż do tego potrzebny jest Hitler? Spójrzcie np. na Polskę towarzysza Gomułki, jak to ona potrafiła wyprowadzić swoich studentów na właściwą drogę...”

STANY ZJEDNOCZONE

DO AMBASADORA P.R.L. W WASZYNGTONIE I DO NACZELNEGO REDAKTORA „NEW YORK TIMES'A”

Wiadomości napływające ostatnio z Warszawy są coraz bardziej niepokojące: usuwanie studentów z wyższych uczelni, za pokojowe żądania wolności słowa i wypowiedzi w sprawach kultury, usiłowania prasy i organów partyjnych uczynienia z Żydów kozłów ofiarnych, rozszerzanie odpowiedzialności na członków rodziny, brutalne ataki na wybitnych pisarzy, a ostatnio usunięcie Leszka Kołakowskiego oraz wielu innych profesorów o nazwiskach znanych w środowiskach międzynarodowych pod zarzutem nakłaniania studentów do buntu.

We wszystkich częściach świata obserwujemy stale wzrastającą jedność pomiędzy studentami, profesorami i intelektualistami przeciwko politycznym naporom. Jako członkowie akademickiej społeczności broniliśmy prawa amerykańskich studentów i profesorów do protestu i mamy pełną świadomość, że intelektualna wolność i prawo do posiadania odmiennego zdania są potężnymi czynnikami prowadzącymi do międzynarodowego porozumienia i stwarzającymi wszędzie wspólny cel.

W latach 1955-1956 Polska zwróciła na siebie uwagę całego świata dążeniem do powiększania marginesów wolności i demokracji. Mamy nadzieję, że ostatnio stosowane represje okażą się w końcu nie do pogodzenia z silną tendencją do politycznego odprężenia, tak obecnie wyraźną w krajach sąsiedzkich, jak np. w Czechosłowacji.

Żądamy natychmiastowego powrotu na uczelnię usuniętych studentów i profesorów oraz położenia kresu fali anty-intelektualnych prześladowań. Wszystkich tych, którzy podzielają nasze stanowisko prosimy o składanie protestów w Ambasadzie Polskiej w Waszyngtonie.

Podpisali: Charles Sellers, Charles Muscatine, Frederick C. Crews, Czesław Miłosz, Peter Scott, Reginald E. Zelnik, Leon A. Henkin, Alfred Tarski, Phillip Selznick, Jonas C. Greenfield, Robert Alter, Robert T. Moore, Robert L. Vaught, David T. Ebin, Joe Goguen, Benson Mates, Michael Scriven, David Rynin, R. Sherman Lehman, Richard Herr, Paul J. Alpers, Jack Feldman, Art DuPre, Marc A. Rieffel, H. Wu, Benjamin Halpern, Roger A. Simons, Jan Kott, Norman S. Grabo, Steve Smale, Ernest Tuveson, Robert W. Robinson, Vladimir Zborilek, Martin B. Halpern, Stephen A. Werner, Douglas Wallace, Haskell Rosenthal, Alan Kostinsky, Morris W. Hirsch, Edward W. Barankin, Charles B. Morrey, Jr., Peter J. Bickel, Gregory Grossmen, Donald Sarason, Donald Monk, David S. Kinderlehrer, Karl E. Zimmer, N. Joseph Calarco, Morton D. Paley, Michael N. Nagler, Anne Middleton, Raphael M. Robinson, Wm. J. Welch, Frederick C. Tubach, Ariel A. Bloch, J. R. Levenson, Rodham E. Tulloss, Natalie Z. Davis, Y. R. Chao, Bill Craig, Abraham Seidenberg, William G. Bade, Stephen

P. Diliberto, John L. Kelley, Charles Fenimore, B. W. Müller, Pat Suppes, Ralph Seifert, Jr.



DEPESZA WYŚLANA 16 MARCA 1968 DO AMBASADORA PRL W WASZYNGTONIE

Partia Pokoju i Wolności z Kalifornii pragnie wyrazić solidarność z wyśiłkiem polskich studentów dążących do przywrócenia wolności słowa i zrzeszania się. Braliśmy udział i popieraliśmy podobne walki studentów w Berkeley przeciwko władzom uniwersyteckim; żądamy natychmiastowego uwolnienia Kuronia, Modzelewskiego i innych, którzy w tej walce zostali aresztowani. Szczególnie potępiamy godne pogardy odrodzenie się oficjalnego antysemityzmu, użytego jako broń przeciwko ruchowi studenckiemu, równoznacznego z chwytem używanym przez amerykańskich reakcjonistów przy oskarżaniu o komunizm.

NIEMCY

Prześladowania młodzieży akademickiej i nagonka antyżydowska odbiły się szerokim echem w kołach lewicy zachodniobерlińskiej. Już 13 marca lewicowi studenci urządzili pochód protestacyjny. Około pięciuset studentów udało się ulicami śródmieścia do eleganckiej dzielnicy Grunewald, gdzie ma siedzibę Misja Wojskowa Polski Ludowej. W pierwszym rzędzie kroczył syn ministra Spraw Zagranicznych Willy Brandta, osiemnastoletni Peter Brandt. Niósł on portret Trockiego. Inni nieśli transparent z napisem „Przeciwko stalinizmowi w Polsce i antysemickiej hecy Cyrankiewicza”. Dlaczego sobie akurat upatrzone wówczas jeszcze zupełnie cicho siedzącego premiera PRL — Bóg raczy wiedzieć. Bardziej rzeczowo brzmiało skandowane hasło pochodu: *Alle Macht den Raeten — brecht Gomułkas Graeten*”, co można by przetłumaczyć sloganowo: „Wszystka władza dla Rad — Połamać Gomułce gnat”.

Przed willą Misji, zamkniętą na cztery spusty, urządzono wiec. Studenci-socjaliści żądali zaprzestania akcji represyjnej w stosunku do ich socjalistycznych kolegów w Warszawie. Wyrzucony niedawno z Polski, student Uniwersytetu Warszawskiego, Hindus Raina, przekazał zebranyim pozdrowienia od akademików warszawskich. Wiec zakończono odśpiewaniem Międzynarodówki. W Polsce prasa nazajutrz pisała, że faszyci i syjoniści urządzili antypolską imprezę rewizjonistyczną.

Na początku kwietnia przywódca lewicy wśród socjal-demokratów w Zachodnim Berlinie, Harry Ristock, oświadczył dziennikarzom zagranicznym, w tym również i polskim z PRL, iż potępia jak najostrejsze akcje antysyjonistyczną, zaś usunięcie Kołakowskiego z uniwersytetu traktuje jako „nawrót do barbarzyństwa”. Nikt z warszawskich kolegów nie pisał ani słowa, a sowieccy dziennikarze siedzieli z opuszczonymi głowami.

W tym samym czasie dyrektor Instytutu im. Otto Suhra, czyli dawnej Szkoły Nauk Politycznych przy uniwersytecie, prof. Schwan, młody postępowy specjalista w dziedzinie filozofii i prądów społecznych, ogłosił list otwarty, w którym protestuje przeciwko pozbawieniu Kołakowskiego, Baczki oraz

innych profesorów ich stanowisk uniwersyteckich. „Jest rzeczą straszną patrzeć jak rząd polski urządza nagonkę na czołowe postacie życia duchowego aby sobie w ten sposób zaoszczędzić merytorycznej dyskusji na temat nierozwiązanych problemów społecznych”. Schwan, który w zeszłym roku odwiedził Warszawę i nawiązał kontakty celem systematycznej współpracy, oświadcza, że dopóki zwolnieni bezpodstawnie profesorowie nie powrócą na swe stanowiska, dopóty nie będzie kontynuował żadnych kontaktów z władzami polskimi.

W Niemczech Wschodnich młodzież uniwersytecka i profesorowie śledzą bardzo pilnie wypadki w Polsce. Ciekawe, że oficjalna prasa Ulbrichtowska ocenzurowuje systematycznie wszystkie doniesienia z Polski, usuwając skrupulatnie oskarżenia antysyjonistyczne. Ulbricht i towarzysze boją się wszelkiej analogii z hitlerowcami, którzy również operowali bronią antysyjonistyczną.

BERLIŃCZYK

SZWAJCARIA

W artykule z 31 marca 1968, pt. „Europa Wschodnia w poszukiwaniu wolności”, red. nac. „Neue Zürcher Zeitung”, Fred Luchsinger, tak ocenił sytuację w Polsce:

„Podczas gdy w Pradze kierownictwo niszczy to, co do wczoraj musiało być uznawane za najwyższy autorytet, przyznając jednocześnie koncesjami i kierowanymi reformami, że państwo komunistyczne w zastygłej stalinowskiej formie niezdatne jest przyciągać dusze i umysły, reżym warszawski — stosując represje, którymi odpowiada na przejawy opozycji — potwierdza swoje wyobcowanie. Czyż nie świadczy o głębokim kryzysie, demoralizacji i bezdennym cynizmie fakt, że rząd Polski komunistycznej aby rozprawić się z żądaniami większej wolności na uniwersytetach (i to nie w sensie „zachodniej demokracji”) przywołuje na pomoc straszliwe widmo antysemityzmu — a więc ucieka się dokładnie do tego samego środka, dzięki któremu narodowi-socjaliści mobilizowali „lud” dla swej sprawy? Jeżeli tylko takim sposobem może powstać pewna więź pomiędzy rządem a poddanymi, to czy — mówiąc słowami komunisty Berta Brechta w jego jubileuszowym roku, z jego posłowie do 17 czerwca 1953 roku, zatytułowanego „Rozwiązanie” — nie byłoby lepiej aby „rząd po prostu rozwiązał naród i wybrał sobie inny”.

Studenci i policja

W tygodniku *Reporter* (nr 11 z 13-20 marca 1968) organie Związku Dziennikarzy Czechosłowackich, ukazał się interesujący artykuł redaktora Jiri Rumla o zeszłorocznych manifestacjach studentów czechosłowackich w Pradze i o sposobie ich stłumienia przez policję. Artykuł ten drukujemy w dosłownym tłumaczeniu.

motto: „Należy stanowczo odrzucić wszelkie próby wykorzystywania tych wydarzeń przeciwko interesom społeczeństwa socjalistycznego” (Z komunikatu rzecznika rządu dla prasy).

Komunikat oficjalny na temat wydarzeń na Strahowie ukazał się w prasie 15 grudnia 1967. W międzyczasie starano się ostatecznie ustalić przebieg tych wydarzeń — mogłoby się więc wydawać, że jest to sprawa zamknięta. Niemniej jednak pewne okoliczności starć między policją a studentami nie zostały dotychczas ujawnione i dlatego powracamy do tej sprawy. Zresztą chwila jest odpowiednia aby to poruszyć.

Cztery miesiące dzielące nas od tych wypadków złagodziły wiele napiętości i zbliżyły wiele ran, co ułatwia obiektywność spojrzenia...

Komunikat oficjalny... „gdy ostrzeżenia nie poskutkowały, milicja zaczęła wpędzać studentów do domów akademickich osiedla (na Strahowie) przy pomocy pałek i kieszonkowych rozpylaczy gazu łzawiącego. W czasie tej akcji obrzucano milicjantów ordynarnymi wyzwiskami jak również czynnie ich znieważano; to było powodem, że wkroczyli do domów akademickich”.

Wyjątki z autentycznych oświadczeń studentów (redakcja dysponuje wszystkimi nazwiskami, które w razie potrzeby może ujawnić).

J. — „Jeden z milicjantów wywalił drzwi i z odległości jednego metra strzelił mi gazem łzawiącym prosto w oczy, drugi zaś walił mnie pałką po plecach...”

H. — „Nagle poczułem gwałtowne uderzenie w plecy; zaskoczony odwróciłem się. W pierwszym odruchu podniosłem prawą rękę i wtedy otrzymałem drugi cios, tym razem w twarz...”

K. — „Usiadłem na ziemi... podbiegło do mnie dwóch milicjantów i zaczęli mnie bić. Nazajutrz liczyłem uderzenia: dostałem osiem pał”.

C. — „Jeden z milicjantów podbiegł do mnie krzycząc: ‘Uciekaj, ty intelektualisto, bo cię spiorę jak psa’...”

H. (studentka) — „Milicjanci z rozmachem bili na odlew i ja też raz dostałam. Ponieważ to bardzo bolało, zaczęłam płakać...”

Komunikat oficjalny: „Interwencja organów bezpieczeństwa była konieczna; zresztą była ona zgodna z prawem...”

T. — „Gdy chciałem powrócić do domu akademickiego Nr 5, jeden z milicjantów zaczął mnie mówić: 'ten także krzyczał, zabieramy go'. Od razu dwóch innych rzuciło się na mnie: jeden wykręcił mi rękę a drugi bił pałką mówiąc: 'Zauważyłem Cię od początku, ty łobuzie'. Następnie zawieźli mnie do komisariatu”.

V. — „Jeden z milicjantów bijących nas na schodach przed domem akademickim, Słowak, powiedział do drugiego: 'Gdybym dorwał się do tego tam studenta, załutkowałbym go na miejscu'”.

S. — „Zawieźli nas autem na Strahow; w czasie drogi jeden z milicjantów zażądał ode mnie dowodu tożsamości. Odpowiedziałem, że nie mam go przy sobie; wtedy uderzył mnie w głowę. Jeszcze raz zażądał tego samego i na moją identyczną odpowiedź uderzył mnie w oko. Prosiłem go aby przestał bo naprawdę nie mam dowodu tożsamości przy sobie. Wtedy ryknął: zamknij mordę — i raz jeszcze mnie uderzył. Nagle przypomniałem sobie, że mam imienny bilet tramwajowy i to mnie uratowało... ale od tego czasu źle widzę na prawe oko”.

N. (student zagraniczny) — „Milicjant krzyknął do mnie: 'kładź się ty Murzynie!' Gdy chciałem zapytać go o co chodzi, rzucił się na mnie i wyrzucił mnie pałką w głowę...”

H. (student zagraniczny) — „Nagle jakiś milicjant potrącił mnie z tyłu. Powiedziałem, żeby zostawił mnie w spokoju bo nic złego nie zrobiłem. Odpowiedział: 'Milcz, z tobą też się policzymy' i zaczął mnie walić straszliwie w zęby; widocznie to nie wystarczyło, bo nadszedł drugi i bili mnie jeszcze mocniej...”

Komunikat oficjalny: „W ogromnym zamieszaniu panującym na Strahowie można było odnotować także akty przesadnej brutalności w stosunku do poszczególnych studentów...”

T. (student zagraniczny) — „Gdy się zbliżyłem, złapali mnie i zaczęli walić pałkami mówiąc: 'Złapaliśmy cię dzisiaj, ty mordo murzyńska, to się teraz policzymy'. A właśnie wracałem z kina...”

Diagnoza lekarska: „Zaatakowany i zraniony w lewe ramię i prawą rękę przez osobnika w mundurze”.

J. — „Zostałem pochwycony przez wiele rąk i zaczęto mnie bić. Dostałem jedno uderzenie w ramię i dwa następne w twarz. Zacząłem krwawić. Prosiłem ich, aby przestali mnie bić, bo przecież poszedłem z nimi (milicjantami) dobrowolnie; na próżno; wciąż mnie bijąc wyprowadzili mnie z osiedla uniwersyteckiego. Tam przejęli mnie dwaj inni i bijąc bez przerwy ciągnęli mnie dalej. Otrzymałem uderzenie w głowę i prawie straciłem przytomność, upadłem na ziemię i jeszcze wtedy mnie kopali. Prowadząc mnie do auta grozili mi, mówiąc, że to już koniec moich studiów, że zostanę osądzony i zesłany do przymusowych robót budowlanych...”

Diagnoza lekarska: „Liczne urazy na skórze pod włosami i na plecach. Łącznie dwanaście urazów, ślady odpowiadające kształtom pałki. Cztery zadarcia skóry w rejonie kręgosłupa. Łącznie 16 uderzeń. Rany sklasyfikowane jako poważnie zagrażające zdrowiu pacjenta”.

K. — „Jeden z milicjantów najpierw mnie potrącił a następnie dwa razy uderzył pałką w głowę. Pierwsze uderzenie naruszyło mi łuk brwiowy, drugie otworzyło szeroką ranę pod włosami na głowie”.

Diagnoza lekarska: „Przecięcie na lewej szczęce długości 3 cm. Przecięcie na lewym ramieniu długości 4 cm nie głębokie; zadrapania skóry na twarzy.”

D. — „Odwróciłem się od milicjantów i wszedłem do domu. Już za okien-

kiem portiera dostałem dwa razy pałką w głowę. Przypominam sobie tylko, że upadłem; nie wiem nic więcej bo straciłem przytomność”.

Diagnoza lekarska: „Wstrząs mózgu pierwszego stopnia, rana po lewej stronie czaszki spowodowana przez narzędzie, którym uderzono pacjenta, uraz wewnętrzny ucha. Po odzyskaniu przytomności, pacjent skarżył się na zawroty głowy, częściową utratę słuchu i szum w uchu. Rany ocenione jako poważne, zagrożenie zdrowia pacjenta”.

S. — „Zostałem potrącony od tyłu i upadłem; gdy odwróciłem się podnosząc się z ziemi, dostałem pałką w twarz”.

Diagnoza lekarska: „Krwotok z nosa, zadrapania nasady nosa. Zdjęcie rentgenowskie wykazuje złamanie kilku chrząstek nosowych”.

B. — „Starałem się przede wszystkim chronić głowę. Nie wiem ile razy uderzono mnie pałką, bo straciłem przytomność”.

Diagnoza lekarska: „Silny wstrząs mózgu, stan agonii mogący trwać nie wiadomo jak długo. Leczenie: utrzymać chorego w spokoju”.

S. — „Nie udało mi się od razu uciec i dlatego dostałem kilka ciosów które powaliły mnie na ziemię. Było ich (milicjantów) czterech; znęcali się nade mną”.

Diagnoza lekarska: „Okolo dziesięciu rozmaitych ran na lewym ramieniu, lewej łopacie, na plecach, na karku, na lewym udzie i lewej ręce; spuchnięcie prawej ręki niewiadomego pochodzenia: albo upadek albo od uderzenia”.

C. — „Wracałem właśnie od rodziców nocnym pociągim pośpiesznym; na dworcu przy przejściu północnym milicjanci gnali mnie bijąc pałkami i krzycząc: 'zbieraj się ty łobuzie, i to szybko'. Zostałem zraniony w prawe ramię, którym zasłoniłem twarz. Dostałem chyba ze sześć uderzeń”.

Diagnoza lekarska: „Ślady uderzeń w okolicy karku, bolesne opuchnięcie nabiegłe krwią”.

R. — „Dostałem jeden cios w głowę, drugi w plecy i porcję gazu łzawiącego. Jeden z milicjantów silnie uderzył mnie w nogę”.

Diagnoza lekarska: „Kontuzja pośladka 12 cm na 4 cm. Zadrapania i urazy skóry na głowie pod włosami, siniaki na plecach i na lewej ręce”.

R. — „Nadbiegło dwóch milicjantów i zaczęli mnie walić pałkami. Starałem się osłonić głowę rękami”.

Diagnoza lekarska: „Siniaki i zadrapania na plecach i na prawej ręce”.

K. — „Wracałem z odwiedzin... w zaułku, przy ogrodzeniu z drutu, milicjanci rzucili mnie na ziemię i bili po głowie i po plecach. Osłaniałem rękami głowę i okulary”.

Diagnoza lekarska: „Ślady uderzeń za lewym uchem i po prawej stronie pleców”.

S. — „...Nagle usłyszałem wycie syreny, widziałem studentów śpiesznie schodzących z jezdni, którą nadjeżdżała „Wołga” błyskając niebieskimi światłami reflektorów...”

Na moje zapytanie (redaktora Rumla — przyp. tłum.) czy zachodziła konieczność tak brutalnego postępowania, usłyszałem odpowiedź: „O co w końcu chodzi? Czy zabito kogoś?”

— Nie, nikt nie został zabity.

Komunikat oficjalny: „W wyniku demonstracji, dwunastu studentów i trzech milicjantów otrzymało pomoc lekarską”.

Niektórzy ranni studenci zostali przyjęci w szpitalu „Pod Petrinem” przez dyżurnego lekarza dr. Eugeniusza Pribana. Mówi on: „Zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie. Studenci byli pokryci krwią i do tego stopnia przerażeni, że odmawiali nawet ambulansu który miał ich przewieźć po opatrunku do domu. Zapytywali jakie będą konsekwencje i czy będą mogli kontynuować studia”.

Inny lekarz pracujący w tym samym szpitalu, dr Zdenek Slezak, potwierdził treść orzeczeń lekarskich dodając: „Najpierw przyjęliśmy trzech studentów z których jeden znajdował się prawie w stanie agonii; na drugi dzień przybyło jeszcze dwóch studentów. Najciężej ranni byli student J. (wstrząs mózgu drugiego stopnia) i student D. (który wrócił ze szpitala do domu tuż przed Bożym Narodzeniem i wciąż jeszcze jest na zwolnieniu chorobowym)”.

Dyrektor oddziału chirurgicznego tegoż szpitala, dr Zdenek Vahala, dowiedział się o stanie pobitych przy rannym obchodzie. Powiedział: „Analizowaliśmy całą tę sprawę wspólnie, przy rannym raporcie. Patrzyłem na pobitych oczami rodziców, a także jako obywatel i jako lekarz. Jest dla mnie oczywiste, że milicja popełniła błąd”.

Komunikat oficjalny: „Prezydium Rady Ministrów zapoznało się z wnioskami prokuratury, zdaniem której odpowiedzialność karna zarówno jeśli chodzi o studentów (uczestniczących indywidualnie w demonstracjach) jak i służby porządkowej nie wchodzi w rachubę”.

Gdy analizowałem po raz pierwszy wydarzenia na Strahowie (mowa o artykule Rumla „Więcej światła... i to nie tylko jeśli chodzi o Strahow”, opublikowanym w Nrze 25/26 *Reportera*, grudzień 1967) nie mogłem się dostać do urzędników prowadzących dochodzenie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, bo dochodzenie nie zostało jeszcze ukończzone. Z tym większym więc zainteresowaniem i niecierpliwością czekałem na spotkanie z pułkownikiem dr. Jaroslavem Rybarem z Centralnej Komendy Służby Bezpieczeństwa. Spotkanie to miało miejsce 21 lutego 1968; oto krótkie sprawozdanie z prawie trzygodzinnej rozmowy.

Pułkownik Rybar: „Interwencja przeciw pochodowi studentów była początkowo przeprowadzona przez 7 aut z jednostki interwencyjnej, która patroluje ulice Pragi.auta te skierowano przez radio w rejon placu Malostranské z zadaniem zablokowania przejść z tego placu w kierunku śródmieścia. Następnie jednostka ta została wzmocniona przez 5 dalszych aut, wezwanych z peryferii.

Interwencja na ulicy Pablo Nerudy była przeprowadzona przez 22 milicjantów a w rejonie Strahowa przez 39 milicjantów z czego 4 należało do komisariatu PRAHA 6 (byli w cywilu) a 17 do jednostki szkolnej (na 15-todniowym stażu szkoleniowym) — przybyli oni w dwóch autach.

Interwencja władz bezpieczeństwa (zaalarmowanych telefonicznie przez administratora domów na Strahowie) była kierowana z ośrodka operacyjnego przez majora, na miejscu oficerów. Zastępca kierownika miejskich władz bezpieczeństwa udał się na miejsce zająć.

W czasie akcji jedynym wyposażeniem którego używały patrole były pałki i ręczne rozpylacze do gazu łzawiącego (doświadczyliśmy na sobie efektów tego gazu łzawiącego: pułkownik trochę więcej aniżeli ja; oczy łzawiły bez przerwy a mnie piekły jeszcze wieczorem). Zgodnie z prawem broni palnej można użyć tylko w wypadku koniecznej obrony ale do tego nie doszło.

Ośrodek operacyjny nie wydał rozkazu wejścia do budynków mieszkalnych osiedla uniwersyteckiego. Jeśli chodzi o używanie aut, uważa się to za metodę bardziej ludzką dla rozpędzania tłumy, aniżeli pałki”.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych Nr 30 wyjaśniające Prawo Nr 70 precyzuje (w związku z kodeksem-art. 46-a) sprawę użycia pałek, zalecając „aby rezultat był osiągnięty bez niepotrzebnego ranienia osób wykraczających przeciw przepisom, a zwłaszcza rozporządzenie to zabrania uderzania w głowę, żołądek lub w nerki”.

„W ciągu interwencji organów porządkowych, 6 studentów zostało aresz-

townych i tej samej nocy po przesłuchaniu i sprawdzeniu tożsamości zwolnionych, jeszcze przed konfrontacją ich zeznań z zeznaniami milicjantów. Zwierzchnik milicji, który zwolnił osobiście dwóch aresztowanych studentów na Strahowie, działał pod naciskiem tłumu i w zasadzie wbrew otrzymanym wskazówkom.

W trakcie utarczek ze studentami, kilku milicjantów zostało rannych. Trzech spośród nich otrzymało pomoc lekarską: jeden miał lekki wstrząs mózgu, który spowodował 15 dni niezdolności do służby; dwaj pozostali (obrażenia lewego łokcia i karku) nie prosili o zwolnienie ze służby”.

Na pytanie czy interwencja organów milicji była proporcjonalna do wykroczeń, których się dopuścili studenci, towarzyszący Pułkownik odpowiedział: „Tak, z wyjątkiem ostatniej fazy, gdy studentów ścigano w domach, we wnętrzu tych domów. Wtedy właśnie rozpetwały się namiętności i niektórzy podjęli osobiste inicjatywy wykazując nadmierną gorliwość, podczas gdy trzeba było okazać więcej zrzeczności”.

Komunikat oficjalny: „Interwencja organów porządkowych w celu przywrócenia i utrzymania porządku była nie tylko konieczna ale i zgodna z prawem”.

Aspekty prawne wydarzeń na Strahowie zostały zanalizowane na żądanie ministra Oświaty przez specjalistów a ich ekspertyza okazała się bardzo cenna przy redagowaniu końcowego komunikatu.

Złożyłem zatem wizytę jednemu z ekspertów, profesorowi dr. Bedrichovi Rattingerovi, kierownikowi katedry prawa konstytucyjnego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Karola w Pradze. Oto w skrócie treść naszej rozmowy:

Manifestacje i pochody mogą przybierać rozmaity charakter w zależności od celów, jakim służą; mogą być spontaniczne i wyrażać radość; mogą mieć na celu słuszne żądania poprawy bytu; mogą być spowodowane wybrykami chuliganów, lub być wyrazem opinii anty-rządowych. O ile manifestacja ma na celu słuszne domaganie się poprawy bytu demonstrantów (np. domaganie się światła, opału, itp.) i jeśli nie powoduje poważnych zaburzeń porządku publicznego — nie stanowi przestępstwa. Fakt nie zgłoszenia na czas daty manifestacji i nie zarejestrowanie jej w terminie określonym przez prawo, stanowi jedynie wykroczenie administracyjne.

W związku z tym interwencja organów porządkowych (organów bezpieczeństwa) powinna być proporcjonalna do znaczenia manifestacji. Środki represji winny być skuteczne ale zarazem umiarkowane, aby nie narażać obywateli. Do umiarkowanych trudno zaliczać wyłącznie pałki, kajdanki, czy środki chemiczne; należą do nich przede wszystkim: rozpraszanie tłumu przy pomocy siłówek oraz przekonywanie manifestantów przez przedstawicieli partii i rządu. Interwencja władz nie powinna zaostrzać sytuacji i tak już napiętej, a w żadnym wypadku nie powinna wyrażać uczuć zemsty, nienawiści czy jakiegoś „odgrywania” się. Odpowiedzialność za zbyt ostrą interwencję ponosi organ kierujący. Prawo wyraźnie określa, że przedstawiciele władzy w czasie interwencji winni uszanować godność ludzką współobywateli i swoją własną godność.

Komunikat oficjalny: „Prezydium Rady Ministrów przyjęło do wiadomości wnioski prokuratury, zgodnie z którymi nie ma podstaw do zastosowania odpowiedzialności karnej ani w stosunku do studentów uczestniczących indywidualnie w demonstracjach, ani do służby porządkowej”.

Specjalna Komisja Kontroli przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zanotowała, w listopadzie i w grudniu 1967, 65 skarg studentów, 63 skargi członków służby bezpieczeństwa a także 30 zeznań świadków. W 35 wypadkach dochodzenie, wszczęte na skutek skarg studenckich, jest już zakończone; w 15 wypadkach zarządzono dochodzenie dodatkowe a inne sprawy są

praktycznie rzecz biorąc załatwione obecnie, z wyjątkiem dwóch spraw studentów najczęściej dotkniętych: J. i D., którzy mają zamiar domagać się odszkodowania za doznane obrażenia cielesne i szkody, związane z koniecznością przerwania studiów uniwersyteckich.

Według przewidywań lekarskich student D. będzie musiał prawdopodobnie zrezygnować w ogóle ze studiów. Kierownictwo władz bezpieczeństwa sprezytuje swój punkt widzenia w momencie zamknięcia dochodzeń. Prawdopodobnie wysokość odszkodowań zostanie ustalona w trybie obustronnej ugody, tak aby uniknąć konieczności odwołania się do nowej procedury prawnej.

Komunikat oficjalny: „Minister Spraw Wewnętrznych został zobowiązany do wyciągnięcia wniosków z poważnych niedociągnięć, stwierdzonych w czasie akcji organów porządkowych jak również zostało nakazane aby w przyszłości oddziały bezpieczeństwa były wyposażone w środki techniczne bardziej przystosowane do ich zadań i aby przeszły odpowiednie szkolenie zawodowe”.

W tej sprawie otrzymałem również dodatkowe informacje od Pułkownika Rybara.

„Zarząd miejski organów bezpieczeństwa przeprowadził szczegółową analizę wszystkich interwencji. Wypadki na Strahowie były omawiane 17 i 23 listopada, w czasie zebrań kierowników oddziałów miejskich i powiatowych przy udziale sekretarzy podstawowych organizacji partyjnych tych oddziałów. Zdecydowano że przed 30 czerwca 1968 trzeba przeanalizować rozporządzenie VB - Por. 1-2 dotyczące „Interwencji i patrolowania oddziałów jednostek bezpieczeństwa publicznego” i zmienić pewne przepisy, biorąc pod uwagę konieczność podniesienia poziomu wyszkolenia zawodowego jednostek interwencyjnych.

Zarząd miejski wprowadził dyżury interwencyjne trwające bez przerwy całą dobę, w czasie których oficer odpowiedzialny będzie kierował wszelkimi akcjami, jakie mogą mieć miejsce. Wszystkie auta zostały zaopatrzone w przenośne megafony; dwa auta patrolowe otrzymały specjalnie silne głośniki. Wszystkie pojazdy mechaniczne zostały wyposażone w aparaturę fotograficzną i w udoskonalony system łączności.

„W Pradze i w Morawskiej Ostrawie już od 2 stycznia weszły w życie zarządzenia dotyczące systematycznego szkolenia członków służby bezpieczeństwa a przede wszystkim młodych pracowników. Jeśli chodzi jeszcze o wydarzenia na Strahowie, to jeden z kierowników tej akcji został karnie przeniesiony na niższe stanowisko z dniem 1 lutego; stwierdzono poważne niedociągnięcia w wykonaniu jego funkcji.

Równocześnie prowadzone są rozmowy z Radą studencką osiedla akademickiego na Strahowie, celem zalegalizowania „studenckiej straży porządkowej” i ustalenia jej współpracy z władzami bezpieczeństwa. W ciągu pierwszego kwartału bieżącego roku wszyscy członkowie służby bezpieczeństwa będą nosić porządkowy numer na mundurach; numery te są w trakcie przygotowania.

Komunikat oficjalny: „Trzeba stanowczo odrzucić wszelkie próby eksploataowania tych wydarzeń przeciwko interesom społeczeństwa socjalistycznego.



Dotąd wstrzymywałem się od komentarzy na temat faktów czy opinii, które zebrałem. Zrobiłem to celowo gdyż, moim zdaniem, komentarz był niepotrzebny. Niemniej jednak, zamiast końcowych wniosków — konieczne jest wrócenie uwagi czytelnika na pewne okoliczności tej sprawy. Robię to przede wszystkim dlatego, że zdaniem przedstawiciela komendy miejskiej władz bezpieczeństwa „moja relacja dotycząca faktów była stronicza”. Po-

święciłem dwa artykuły w *Reporterze* wydarzeniom strahowskim, już opisanym i skomentowanym zresztą w innych dziennikach i czasopismach, które także cytowały komunikat oficjalny. Jednak nikt dotychczas nie pisał o rzeczywistych rozmiarach interwencji władz bezpieczeństwa. Jeżeli więc nie chciałem wybielać tych, którzy od samego początku byli powodem wypadków na Strahowie (podłoże zajęć było ekonomiczne) nie mogłem również bagatelizować odpowiedzialności członków służby bezpieczeństwa w czasie interwencji. Otóż niektórzy członkowie tej służby przekroczyli rozkazy ministra jeśli idzie o bicie pałkami. Ponadto używane przez nich obelgi i wyzwiska nie świadczą korzystnie o poziomie ich wykształcenia i wykształcenia politycznego. Mówią, że byli sprowokowani przez obelgi (równie ordynarne) ze strony studentów. Możliwe, ale to wcale nie jest wytłumaczeniem. Chciałbym zatrzymać się przy tym aspekcie zajęć.

Od lat jesteśmy świadkami głuchego antagonizmu między studentami a przedstawicielami porządku publicznego, antagonizmu ożywianego od czasu do czasu głośnymi procesami w wyniku tradycyjnych obchodów majowych i związanych z nimi ekscesów (z obydwu stron). Jesteśmy świadkami tego antagonizmu podsycanego także przez niektóre, nie zawsze szczęśliwe, oświadczenia przywódców naszego życia politycznego.

Trudno jest ustalić kto — studenci czy przedstawiciele porządku publicznego — ponoszą odpowiedzialność za rozpoczęcie czynnej akcji tegoż dnia 31 października 1967 na Strahowie, gdzie, w tym samym czasie, odbywała się sesja plenarna Komitetu Centralnego Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, w związku z czym można było mieć wrażenie, że manifestacja studentów była spowodowana innymi przesłankami niż przerwanie prądu elektrycznego dla osiedla uniwersyteckiego. Co więcej, w tym dniu rozpoczynały się uroczystości z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.

Niewątpliwie pewne uproszczone skojarzenie musiało powstać w umysłach odpowiedzialnych urzędników: sądzili oni, że istnieje związek przyczynowy między tymi dwoma faktami a manifestacjami studenckimi; ale tak nie było. W tym zresztą momencie ciemności ogarnęły nie tylko Strahow ale i inne części miasta gdyż, jak wiadomo, krótkie spięcie powoduje automatycznie przerwanie dostawy prądu.

To co nastąpiło nazajutrz — a więc niestworzone wieści, że studenci chwycili za broń i że ich rozruchy były inspirowane a nawet finansowane przez wrogów z zagranicy — ilustruje jedynie stan kryzysowy, jaki panował wówczas na stanowiskach kierowniczych, na najwyższym szczeblu. Ponadto groźby, że robotnicy i ich milicja „policzą się” bezpośrednio ze zbuntowanymi studentami, wymownie świadczą o kompletnym bankructwie ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach. Komu bowiem może służyć ten sztucznie kultywowany antagonizm?

Chociażby więc dlatego trzeba gorąco powitać ozdrowienie postępujące w naszym życiu publicznym.

Od zdecydowania każdego z nas (a przede wszystkim od zdecydowania naszego kierownictwa) będzie zależało aby „lux aeterna” zabłyśło* wszędzie i dla wszystkich, a nie tylko na ołtarzach wybrańców, lub na cmentarzach dobrych chęci.

Jiri RUML

(Przetłóżył Jerzy MOND)

* Aluzja do faktu, że demonstracje studenckie na Strahowie były spowodowane wyłączeniem światła (zjawisko częste) w osiedlu uniwersyteckim na Strahowie.

« Wizy znikną wraz z drutami kolczastymi »

(Wywiad udzielony telefonicznie redaktorowi wiedeńskiego *Express'u*, Sepp Gasserowi, przez współredaktora *Literarnich Listov*, Ludwika Vesely)

„Gdyby Rosjanie mieli dziś wkroczyć do Czechosłowacji, Czesi i Słowacy mogliby może odpowiedzieć zbrojnie... Potem Czechosłowacja mogłaby na pewno przyjąć od Stanów Zjednoczonych pomoc gospodarczą lub jakiś nowy typ Planu Marshall'a... Nie jestem też dziś pewien czy nasza partia komunistyczna wygrałaby w wolnych wyborach. Mówię to pomimo, że sam jestem komunistą”.

„To, co my tutaj przeprowadzamy, będzie prawdziwym eksperymentem. I dla Zachodu, i dla Wschodu. Ten eksperyment ma zasadnicze znaczenie. Jeśli się powiedzie, może zmienić całą Europę. Proszę pomyśleć o Włoszech lub Francji. W obydwóch tych państwach najliczniejszymi stronnictwami są znajdujące się pod ostrym ostrzałem partie komunistyczne, które uważa się za niezdolne do przejęcia kierownictwa światowego”.

Express zapytał Vesely'ego: „Czy myśli Pan, że tak zwana Demokracja Socjalistyczna — taka, jaką usiłuje się obecnie wprowadzić w CSRL — została dokładnie omówiona z sowieckim przywódcą partii Breżniewem podczas jego grudniowej wizyty w Pradze?”

Vesely: „To nie jest wykluczone. Ale, o ile mi wiadomo, Dubczek oparł się jak dotąd każdej sowieckiej interwencji i każdej radzie z zewnątrz. Podstawą naszej Demokracji Socjalistycznej jest oczywiście nacjonalizacja wszystkich środków produkcji. O wszelkich innych sprawach można by jeszcze podyskutować. Zasadniczo jedynym ograniczeniem naszej demokracji jest to, że nikt nie może posiadać fabryki. Dotychczas przejęliśmy, niestety, model rosyjski. Model ten wymaga jednej centralnej władzy nad gospodarką, a tym samym jednej centralnej władzy nad każdym człowiekiem. To właśnie musi się skończyć. Każdy powinien mówić i robić to co chce. Godność i poszanowanie każdej jednostki są najważniejsze. Każdy komunista, pomimo dyscypliny partyjnej, musi sam dziś rozsądzić w jakich sprawach powinien być bardziej człowiekiem niż komunistą”.

Express: „A jak przedstawia się sprawa pisarza Mnaczk, który został pozbawiony obywatelstwa?”

Vesely: „Tylko od niego zależy, kiedy wróci. Jeśli o nas chodzi — o tym pisaliśmy już w naszym czasopiśmie — może to zrobić w każdej chwili. Fakt, że mu się odebrało obywatelstwo, zupełnie nic nie znaczy. Gdy tylko wróci do kraju odzyska je automatycznie. Chciałbym dodać, że bardzo wielu ludzi — szczególnie wśród intelektualistów — jest tego samego zdania co ja o wypowiedziach Mnaczk o Izraelu i w Izraelu”.

Express: „To znaczy, że jest Pan zupełnie odmiennego zdania niż Pana polscy towarzysze partyjni, którzy przypisują niedawne zamieszki studenckie syjonistycznym podżegaczom”.

Vesely: „Te stare oskarżycielskie argumenty są nam dostatecznie znane; nikt im już nie wierzy”.

Express: „Jak powinna wyglądać Demokracja Socjalistyczna?”

Vesely: „Każdy, kto ma na to ochotę, powinien założyć własną partię. Mamy już przecież dziś 'cztery stronnictwa' wewnątrz naszej Partii Komunistycznej. Niestety nie prędko potrafimy w coś uwierzyć. Zbyt wiele razy wpadaliśmy. Prawdziwy dylemat stanie przed nami dopiero wtedy, kiedy przestanie się gadać. Dopiero wtedy, kiedy ludzie powiedzą: No, dobrze, podyskutowaliśmy, ale gdzie są czyny? Wówczas nic nie zostanie oszczędzone naszym najwyższym dygnitarzom; będą musieli wyznaczyć z ekranów telewizyjnych, że nasze położenie ekonomiczne jest katastrofalne, że nasza gospodarka znajduje się w takim stanie, że Rosja nie może nam nic pomóc — po prostu nie ma na to dość pieniędzy.

Express: „Kiedy ma ustąpić prezydent Novotny?”

Vesely: „A kiedy ustąpi zachodnoniemiecki prezydent Lübke? Żadne z wymienionych państw nie chce swojego prezydenta. Ale niesposób ich przecież dlatego zastrzelić”.

Express: „Czy zmieniają się stosunki z Austrią?”

Vesely: „Z całą pewnością. Jeszcze w tym roku może upaść żelazna kurtyna. Już dziś każdy obywatel CSRL otrzymuje paszport. Problemem jest tylko waluta. Nasze korony muszą jak najszybciej zdobyć wartość wymienną. Wizy są także bez znaczenia. Upadną jak druty kolczaste. Nasi ludzie powinni móc pracować tam gdzie sądzą iż mogliby więcej zarobić. Jasne, że wolimy zatrzymać naszych fachowców u siebie, ale należy im dać lepsze warunki pracy i podnieść ich stopę życiową.

Czytałem w jakiejś francuskiej gazecie, że Rosjanie nie mieliby prawdopodobnie nic przeciwko temu, żeby CSRL stała się, na wzór Austrii, neutralna. Być może, że jako neutralne państwa, znów się między sobą zbliżymy. Monarchia wcale nie byłaby zła, gdyby nie popełniono tylu błędów. Miał na pewno rację poeta, kiedy powiedział: „Gdyby Austria nie istniała, trzeba by było ją wymyślić”. To było państwo, w którym wszystko stało otworem”.

Z prasy czeskiej

LIST KATOLIKÓW DO PIERWSZEGO SEKRETARZA KC PKCz., DUBCZEKA

Szanowny Panie, Pierwszy Sekretarzu,

My niżej podpisani katolicy, więzieni w mimionym okresie za naszą działalność religijną odpowiadamy na Wasze wezwanie do wszystkich warstw i grup społecznych nawołujące do zaufania i obywatelskiej współpracy.

Nie chcemy uskarżać się na nasze krzywdy osobiste. Myślimy, o sprawie o wiele ważniejszej, o położeniu życia religijnego u nas i o konieczności jego uzdrowienia. Program normalizacji stosunków i demokratyzacji życia publicznego od samego początku dowiodłby swej nieszczerości i skazałby się na niepowodzenie, gdyby nie zmienił swojego stanowiska w stosunku do wierzącej części społeczeństwa, pozwalając jej przypuszczać, że nadal będzie dyskryminowana.

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że to my przede wszystkim winniśmy myśleć o naszych prawach. Do zabrania głosu w interesie naszej wiary —

w chwili kiedy nie istnieje episkopat ani inny rzecznik reprezentujący Kościół — upoważniają nas, katolików, nasze prawa ludzkie i obywatelskie. Wierzmy, że wysłuchacie nas jako reprezentantów postawy katolickiej.

W atmosferze kiedy prawda nie obowiązywała ani w wymiarze sprawiedliwości ani w polityce, sądy, prasa czy radio mogły mówić o nas tylko kłamliwie. Cięża na nas stare oszczerstwa, przeciwko którym nie mogliśmy się bronić. Niech więc dzisiaj zabrzmi jasno nasz głos.

Walka z reżymem nigdy nie była naszym zadaniem; nasza działalność nie miała nic wspólnego z polityką. Nie dlatego abyśmy nie mieli wówczas własnego poglądu na życie publiczne ale dlatego, że nasze głosy krytyczne nie mogły być podane do wiadomości publicznej, a nasze opinie pozytywne brzmiałyby niewiarygodnie zarówno w kraju jak i zagranicą.

Byliśmy i jesteśmy chrześcijanami z przekonania; naszym celem jest dobro — wierzymy we wszystkie najwyższe wartości ludzkie, pragniemy postępu zarówno własnej wiary jak i postępu w ogóle, jesteśmy otwarci na ból i szczęście ludzkości, jesteśmy gotowi cierpieć za swoje ideały i odpuszczać krzywdy i pracować z każdym — jeżeli celem będzie dobro.

Byliśmy sądzeni za obronę duchowych wartości chrześcijańskich, za obronę zasad moralnych naszego narodu. Nasze dzieło kontynuowaliśmy w więzieniu i kontynuujemy je stale. Uważamy, że przyczyniać się do ludzkiego szczęścia można tylko w myśl ideałów chrześcijańskich. Nie twierdzimy jednak, że jesteśmy nieomylni i że nasza reakcja w okresie skrajnego zagrożenia była zawsze właściwa. W okresie kiedy ogłoszono i przeprowadzono program likwidacji wiary uważaliśmy pasywność za milczącą aprobatę. Bez względu na ryzyko osobiste kontynuowaliśmy aktywne życie chrześcijańskie. W ubiegłych latach działo się tyle okrutnych rzeczy, że rozumiemy nawet tych, którzy stracili nadzieję, i obecną ideologię uważają za wrogą i złą bez reszty i na zawsze. To co się działo mogło zmienić nas w pesymistów. Nie chcemy nimi jednak być, ale mur nieufności i zamknięcia się w sobie można usunąć jedynie mówiąc głośno o tym co było i w praktyce zmieniając stosunek do religii, który jest zaprzeczeniem karty praw człowieka i za który wstydzą się prawdziwi i światli marksiści.

Trudno żądać od katolików zaufania i współpracy kiedy struktura kościelna leży w gruzach, kiedy ponad 1500 księży rozproszonych jest po wszystkich zakątkach republiki, kiedy zakony są zamykane i skazane na wymarcie, gdy rodzice boją się zapisywać dzieci na naukę religii, kiedy nie ma żadnej twórczej trybuny myśli katolickiej a ponad 10 naszych braci i siostr czeka w więzieniu na sprawiedliwość. Nie chcemy przywilejów ale chcemy odnaleźć swoje właściwe miejsce obok innych obywateli, bo dopiero wtedy staniami się nimi rzeczywiście.

Gotowi jesteśmy podjąć prawdziwy dialog z marksistami, podobnie jak to ma miejsce zagranicą. Pobudza nas do tego stanowisko Pawła VI, Synod, nowocześni teologowie, marksiści, oraz szereg postępowych teoretyków. Dialog otwartego chrześcijaństwa z otwartym marksizmem i innymi systemami humanistycznymi może być nadzieją dla ludzkości oraz dla przyszłości naszej republiki. Naturalnie możemy występować tylko jako niezależni chrześcijanie. Musimy mieć warunki do szerzenia nowoczesnego po-synodowego katolicyzmu.

To, że zwracamy się do Was, Pierwszy Sekretarzu Partii, jest wyrazem uznania dla Waszego wysiłku zmierzającego do zdobycia zaufania do Was i do nowej linii naszego życia publicznego. Będziemy się cieszyli jeżeli umożliwicie nam aby nasi przedstawiciele mogli spotkać się osobiście z Wami i omówić te wszystkie sprawy.

Odpis tego listu przesyłamy biskupowi dr. Fr. Tomaszowi i innym biskupom, którzy na razie nie mogą wykonywać swoich funkcji — wyrażając w ten sposób nasze więzy z Kościołem.

Jeden odpis posyłamy do redakcji *Literarnich Listów*, uważamy bowiem, że jest naszym obowiązkiem poinformowanie opinii światowej — która wiedziała o naszych procesach — o fakcie naszego wyjścia z więzienia.

Łączymy wyrazy poważania.

Następują 83 podpisy.

Uwaga Redakcji: Przy podpisach z pełnymi adresami, przy każdym nazwisku podano wysokość wyroku i ilość odsiedzionych lat więzienia — ogółem 734 lata więzienia i jedno dożywocie. Aresztowani odsiedzieli ogółem 472,5 lat, nie wliczając aresztu i internowania.

W tym samym numerze *Literarnich Listów* biskup dr Fr. Tomaszek żąda aby zezwolono na powrót do Czechosłowacji praskiemu arcybiskupowi, kardynałowi J. Beranowi.

Literarni Listy Nr 4 z 21 marca 1968.



ZAKOŃCZENIE OBRAD IV PLENUM KC CZECHOSŁOWACKIEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY

Praga. Plenarne posiedzenie KC CSM (Ceskoslovensky Svaz Mladeže) zakończyło się o wpół do trzeciej rano. Ostatnim punktem programu było uchwalenie i omówienie końcowych wniosków, między innymi w rezolucji Komitet Centralny oświadczył, że nie chodzi o to aby uratować Związek Czechosłowackiej Młodzieży w tej formie w jakiej on obecnie istnieje, ale o stwierdzenie, że w przyszłości nie można krępować młodzieży narzucaniem jej jakichś organizacji uniwersalnych. Wszelkie organizacje młodzieżowe powinny być zgodne z potrzebami narodów czechosłowackich, winny uwzględniać różnice socjalne, narodowe i regionalne. W rezolucji przewiduje się, że młodzież będzie się organizować według własnych zainteresowań w samodzielne organizacje, z których żadna nie może posiadać monopolu. Komitet Centralny — w imieniu Czechosłowackiego Związku Młodzieży — z powodów moralnych i zasadniczych zrzuca się tego monopolu. Główne zadanie organów moralnych i zasadniczych zrzuca się tego monopolu. Główne zadanie organów C.S.M. polega wyłącznie na niesieniu pomocy młodzieży.

(Sam Związek Czechosłowackiej Młodzieży już się rozleciał. Powstają nowe samodzielne organizacje jak np. Junacy — Skauci, którzy zostali zlikwidowani po roku 1948, następnie „Miłośnicy Przyrody” i tym podobne zrzeszenia. Ma powstać luźna federacja tych organizacji młodzieżowych, nie posiadająca żadnej mocy wykonawczej. Wszystkie osoby z byłego kierownictwa C.S.M. podały się do dymisji).

Młoda Fronta z 29 marca 1968.



1 kwiecień 1968. Prasa donosi o wznowieniu posiedzenia Komitetu Centralnego KPCz. Tematem posiedzenia są: sytuacja polityczna, zagadnienia kadrowe, program działania, rehabilitacja.

Podano do wiadomości, że na posiedzeniu ponad 2.000 byłych więźniów politycznych z lat 50-tych postanowiło powołać do życia organizację K.231. Przewodniczącym jej został Karel Nigrin, profesor, który w 1949 roku

skazany został na dożywocie za tzw. zdradę. Uwolniono go w 1963 roku. Po prawnym zarejestrowaniu organizacji zostanie zwołany w czerwcu br. ogólnokrajowy zjazd więźniów politycznych.



W tych dniach odbyło się również plenarne zebranie miejskiego stowarzyszenia adwokatów. Dr Dupczak, który szczerze bronił studentów przed sądem w 1966 roku, w tzw. procesie 1-szo majowym, za co otrzymał od Ministra Spraw Wewnętrznych Kudrny'ego list napisany w bardzo ostrym tonie, oświadczył, że naczelnym zadaniem jest to, aby adwokatura uzyskała rzeczywistą niezależność.



2 kwietnia 1968. Dr Brestiański powiesił się. Ciało jego znaleziono w Babicach koło Pragi. Okazało się, że to on „reżyserował” w 1955 roku procesy gospodarcze i polityczne. Doniosła o tym Słowacka Smena, która w odpowiedzi na wcześniejsze oświadczenie Dr. Brestianskiego, że nie można usprawiedliwiać sędziów, którzy brali udział w procesach politycznych, opisała rolę jaką odegrał on sam w tychże procesach. Mianowicie niewinnie oskarżeni skazani zostali na 6, 11, 13, 15 i 17 lat więzienia oraz na przepadek mienia.



Trwa dyskusja na temat Czechosłowackiego Związku Młodzieży. *Młada Fronta* zamieszcza rezolucję studentów S.V.V.Sz. w Pradze 9: „W imieniu absolutnej większości studentów naszej szkoły, nie zgadzamy się z dalszym istnieniem Czechosłowackiego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Mamy następujące zastrzeżenia:

1. C.Z.S.M. nie może być jedyną masową organizacją młodzieży w naszym kraju, ponieważ nie jest w stanie zjednoczyć wszystkich młodych ludzi o różnych poglądach i zainteresowaniach.

2. Istnienie C.Z.S.M. w obecnej formie ogranicza możliwość powstawania innych organizacji młodzieżowych z różnymi programami.

3. Ludzie zorganizowani w C.Z.S.M. są kierowani tendencyjnie przez Komitet Centralny, który nie daje możliwości członkom Związku wypowiadania swoich poglądów ani zmiany samego programu.

4. Rezolucje i oficjalne stanowisko C.Z.S.M. nie pokrywają się z poglądami członków.

5. Szeregowi członkowie Związku nie interesują się wszystkimi akcjami podejmowanymi przez Komitet Centralny. Ponieważ organizacja jest masowa, członkowie nie mogą wyrażać i wprowadzać w życie swoich innych poglądów.

6. Członkami C.Z.S.M. stali się ludzie, którzy niekoniecznie zgadzali się z programem tej organizacji ale przede wszystkim mieli na względzie karierę albo korzyści materialne. (Przynależność do C.Z.S.M. jest warunkiem przyjęcia na wyższą uczelnię, wyjazdu zagranicę, itp.).

7. W minionym okresie C.Z.S.M. wywierał często niedemokratyczny nacisk i stał się nadrzędną organizacją młodzieżową. Działalność Związku nie była wyrazem dążeń jej członków ale ich politycznych kierowników. W decydujących chwilach kierownictwo C.Z.S.M. wystąpiło przeciwko młodzieży czechosłowackiej, np. wydarzenia strahovskie, i zakazanie juvenalii.

Uważamy że, zamiast tej monopolistycznej i jedynej organizacji młodzieżowej, trzeba jak najszybciej stworzyć wiele związków posiadających równe prawa, a których programy odpowiadałyby różnym poglądom i zainteresowaniom ich członków. Zdecydowanie wypowiadamy się za prawnym roz-

wiązaniem C.Z.S.M. gdyż uważamy, że jedynie przez zmianę statutu nie zostanie rozwiązany podstawowy problem, to jest masowość tej organizacji.

Wniosek: Żądamy rozwiązania C.Z.S.M. i stworzenia warunków umożliwiających powstanie równoprawnych organizacji z odmiennymi programami”.



Jiri Steiner w Dzienniku *Mlada Fronta* z 3 kwietnia 1968 w artykule: „Proces jednoczenia młodzieży” pisze między innymi:

„Oczekiwaliśmy z napięciem na przemówienie towarzysza Dubczeka na Plenum KC PKCz. Każdy z nas ze szczególną uwagą śledził tę część referatu, która dotyczyła jego pracy i jego życia. Wielu z nas w *Mlade Fronte* zajmujących się problemami młodego pokolenia przestudiowało ustęp poświęcony młodzieży i jej organizacji. Zgadza się z tym, że organizacja młodzieży powinna uwzględniać różnice zainteresowań młodych ludzi wierząc, że młodzi nie tylko będą mówić o tym co powinno być zrobione, ale że także będą działać w tym kierunku aby swe postulaty wprowadzić w życie. Miałyby być zachowana jedność rozczłonkowanej organizacji młodzieżowej jak również innych organizacji młodzieży. Chodzi nam jednak o to jak należy rozumieć pojęcie *jedności organizacji*. My, w redakcji, którzy znamy sytuację C.Z.S.M. byliśmy zaskoczeni tym ustępem referatu który mówi, że należy zachować jedność Związku Młodzieży Czechosłowackiej. Tyle razy w ostatnich dniach, w artykułach redakcyjnych czy przez publikowanie listów czytelników i rezolucji różnych grup młodzieży, dowodziliśmy że organizacja C.Z.S.M. w obecnym stanie jest zdyskredytowana: chłopcy i dziewczęta nie wierzą aby jej działalność mogła na tyle ulec zmianie, żeby stać się rzeczywiście ich organizacją. Dlatego też młodzież poszukuje innych form jednoczenia się. Najdalej posunęli się studenci, którzy powołują Rady Akademickie i związki wydziałowe. Przedstawiciele wydziałów w Brnie oświadczyli, że ich organizacje będą działać poza C.Z.S.M. Żołnierze myślą o własnej organizacji, młodzież z zakładów pracy pragnie powołać do życia młodzieżowe związki zawodowe, młodzież ze szkół średnich również chce mieć własną organizację. Powstała już samodzielna organizacja „Junak” (dawniejsi skauci). Pionierska organizacja uzyskała autonomię. W tej chwili w Czechach nikt nie liczy się z możliwością istnienia C.Z.S.M. w obecnej formie. Szereg rezolucji mówi o konieczności federacji organizacji młodzieżowych, i o współpracy między różnymi grupami młodzieży. Autorzy różnych projektów zdają sobie sprawę, że są zagadnienia, które młode pokolenie musi rozwiązać wspólnie, że są idee, które łączą młodych, jak np. idee humanizmu i demokracji socjalistycznej. Nie należy zapominać o fakcie, że wszyscy młodzi ludzie mają do rozwiązania wspólne problemy społeczno-ekonomiczne, i że są zainteresowani konsekwentnym rozwiązaniem problemu mieszkaniowego, socjalnej pozycji młodych małżeństw itp. Będą oni wspólnie starać się o uchwalenie praw dla młodzieży. To wszystko może zmierzać do zjednoczenia kilku poszczególnych grup młodzieży. Idzie jednak o *proces jednoczenia...*”.

Dlatego — pisze dalej autor — nie można mówić o zachowaniu jedności C.Z.S.M., ale o procesie zróżniczkowania a następnie stopniowego łączenia się poszczególnych grup młodzieży. Proces ten musi być powolny, musi powstać od dołu, z woli i zainteresowań młodych ludzi, musi starać się o zachowanie jedności młodzieży czechosłowackiej. W minionym okresie polemika ze słowami Pierwszego Sekretarza KC Partii była niemożliwa. Ale w tym wypadku idzie o idee, które mają stać się częścią programu działania. Nad tym programem obraduje obecnie KC KPCz. Od precyzji poszczególnych członów tego programu będzie zależało jak będzie przyjęty przez tych, dla których jest przeznaczony.

Rehabilitacja osób skazanych niewinnie w procesach politycznych będzie się opierać na podstawach prawnych. Będą ją prowadzić i w pełni za nią odpowiadać organy sądu i prokuratury. Plenum poleciło uchwalenie prawa gwarantującego pełną niezawisłość sądów. Wszyscy rehabilitowani otrzymają moralne osobiste i społeczne zadośćuczynienie oraz odszkodowanie materialne.



Do redakcji *Lidove Demokracie* nadchodzi stale mnóstwo listów i rezolucji. Pismo to z dnia 7 kwietnia cytuje dwie rezolucje:

Kapituła katedralna kościoła św. Ducha w Hradci Kralove wnosi żądanie aby biskupom i księżom usuniętym w ubiegłych latach drogą administracyjnych postanowień umożliwiono powrót na stanowiska, z których zostali usunięci. W tejże rezolucji żąda się opracowania dokładnej wykładni praw z 1949 roku aby uniknąć ich dowolnej interpretacji.

Kapituła Katedralna kościoła św. Mikołaja w Czeskich Budziejowicach oświadcza, iż będzie popierać wszelkie wysiłki zmierzające do właściwego wyjaśnienia wszelkich spraw dotyczących zarówno Kościoła jak i Państwa, przy czym podkreśla konieczność:

1. Załatwienia politycznej sytuacji Kościoła w C.S.R.S. poprzez nawiazanie stosunków z Watykanem,
2. Najszybszego obsadzenia diecezji poprzez umożliwienie powrotu biskupowi dr. J. Hlouchovi.
3. Konsekwentnej i jak najszybszej rehabilitacji wszystkich duchownych i osób wierzących, które zostały bezprawnie skazane.



PROCESY NIE BYŁY PRZYPADKIEM

Głos tych, którzy w roku 1961 uznani byli za grupę rewizjonistyczną i antypaństwową.

Niepokoi nas sposób omawiania na ostatnim kwietniowym Plenum KC PKCz. tak zasadniczego zagadnienia, jakim jest rehabilitacja osób niewinnie skazanych w procesach politycznych.

Uważamy, że mamy nie tylko moralne prawo ale i obowiązek, aby wyrazić to zaniepokojenie, ponieważ w roku 1961 byliśmy wraz z innymi towarzyszami oskarżeni i ukarani jako rzekoma „antypaństwowa, rewizjonistyczna i pro-jugosłowiańska grupa” — tak samo na podstawie twierdzenia, że przez szereg lat usiłowaliśmy „przyspieszyć rehabilitację” niewinnie skazanych w procesach politycznych.

Zabieramy znowu głos w tej sprawie gdyż, podobnie jak dawniej tak i obecnie, problem rehabilitacji uważamy za zasadnicze zagadnienie porachunków z niepraworządnością minionego okresu oraz za jedyne możliwe powstanie rzeczywistej socjalistycznej demokracji. Jesteśmy przekonani, że to właśnie było, i ciągle jest, kryterium postawy w stosunku do całego procesu odrodzenia. Przy rehabilitacji nie idzie jedynie o usunięcie wyrządzonych krzywd i o ich naprawę — o ile to w ogóle jest możliwe — ale o konsekwentną naukową analizę przyczyn, które doprowadziły do niepraworządności. Procesy nie były przypadkiem. Korzenie ich tkwiły w systemie politycznym, w jego modelu i były logicznym następstwem określonej koncepcji politycznej.

... Muszą wywoływać zaniepokojenie te głosy, które dały się słyszeć na ostatnim Plenum KC, a które starają się — tak jak w przeszłości — do-

szukiwać się u ofiar bezpodstawnych procesów nowych win, których te procesy nie obejmowały. Czyż można wiązać rehabilitację nieprawnie skazanych, m.in. i na karę śmierci, z wyszukiwaniem nowych błędów i przewinień tych samych osób? Niepokoi nas też stanowisko Novotnego, zajęte na ostatnim Plenum. Twierdzenie, że w okresie jego rządów, kiedy to zajmował najwyższe stanowiska w Państwie, prześladowania i niepraworządność nie miały miejsca — jest naiwne. Nasze doświadczenia, jedno z wielu, wykazują, że było na odwrót. Nasze stanowisko w stosunku do tych tak ważnych zagadnień nie ma na celu podważania zaufania do komisji rehabilitacyjnej, powołanej na ostatnim Plenum KC. Uważamy jednak za swój obowiązek zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo recydywy dawnego, skrajnie fałszywego i szkodliwego podejścia do tego problemu.

Podpisali: Zdenek Hejzlar, I. Kratochwil, L. Lansky,
L. Lis, K. Lukes, E. Novak, J. Opat, V. Opatova).

Prace z 8 kwietnia 1968.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

**TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI**

WIELKA CZYSTKA

Przekład Adama Ciołkosza

Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.

Str. 576

Cena egz. 30 F (dol. 6,50)



TOM 152 — LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości w socjalizmie

Str. 520

Cena egz. F 26 (dol. 5,50)

O religii bez namaszczenia

Duchowieństwo na emigracji

Problem, który pragnę poruszyć w „Kulturze” istnieje w mniejszym czy większym stopniu na prawie każdym terenie emigracyjnym. Chodzi o zatargi z duchowieństwem w naszej pracy społecznej i o lepsze zrozumienie trudności kleru przez ogół emigracji. Jest to zagadnienie bardzo drażliwe, nie tyle przez sam fakt istnienia — bo każdy problem można przewietrzyć i często znaleźć nań rozwiązanie, jeśli się go uczciwie i szczerze stawia — ile przez nasze tradycyjne podejście, że o naszych księżach nie wypada mówić czy pisać krytycznie.

Od chwili zakończenia drugiej wojny światowej i powstania emigracji polskiej w Australii, nie było jeszcze zjazdu Rady Naczelnej Organizacji Polskich, na którym nie poruszano by sprawy różnych zatargów z duchowieństwem, nieraz bardzo nieprzyjemnych. Na łamy prasy emigracyjnej te sprawy albo się nie przedostają, albo są tam komentowane krótko, w sposób stonowany, tak że przeciętny czytelnik dalej nic o nich nie wie. Prowadzi to do dalszych kwasów i plotek, czego niestety żadna ze stron dotychczas nie rozumiała. Chowanie głowy w piasek na dłuższą metę nie przynosi nic dobrego.

Objężdżając kilka lat temu ośrodki polskie w Australii spotykałem się z tym zagadnieniem niejednokrotnie. Nieraz proszono mnie o pośrednictwo między poważnioną — jak to się szumnie mówi — władzą świecką i duchowną. Oczywiście nie zawsze wi-na była po stronie księży, jak tego chcieli nasi społecznicy, zapierzeni w przekonaniu o słuszności i społecznej nieomyślności, ale też nie zawsze była po stronie tychże społeczników, jak twierdzili uważający się za nieomylnych we wszystkich sprawach księży. Bywały zabawne sytuacje, kiedy obie strony deklarowały sobie uroczystie, że przekreślają wzajemne urazy, ale wyliczanie tego o czym się zapomina, było dokonane tak gruntownie, iż na nowo się pokłócono. Ponieważ dobrotliwy czas, choroby lub śmierć niektórych antagonistów automatycznie złagodziły pro-

porcje sporów, lub też wykazały ich niepoważność — można już o tym spokojniej pisać. Ale nie znaczy to, że tych problemów nie ma. Dochodzą ponadto i nowe.

Dalsze przykłady są niemal humorystyczne. Kiedyś, w recenzji o broszurze pewnego księdza, napisałem, że pisze on po polsku źle i pompacyjnie — ostatecznie sutanna sama przez się nie broni od grafomanii. Dociałem mu również pisząc o jego niegrzeczności, na którą żaliła się inteligencja i o czym sam mógłbym sporo powiedzieć. Ksiądz ten zdziślał tu zresztą wiele dobrego i jego rubaszność, niestety bez humoru Zagłoby, czy ciepła Don Camillo, niejednokrotnie była mu pomocna w pracy wśród prostych ludzi. Natomiast wśród inteligencji, którą na kazaniach nazywał wściekłymi szczurami, mówiąc przy tym do każdego „ty” — metody jego odnosiły skutek wręcz przeciwny.

W sumie bojkoty towarzyskie i pomyje wylewane na mnie za „brutalny atak na kapłana i Religię” jakoś przeżyłem, a ksiądz stał się jednak grzeczniejszy. Najciekawsze jest to, że podczas wspomnianego objazdu sami księża często ubolewali, że takie małe wojny powodują tylko zgorzsenie i podważają autorytet duchowieństwa wśród społeczeństwa itp., a potem po kolacji i kilku kieliszkach mówili: „Ależ mu Pan zasunął!” i w śmiech. Z początku nie zawsze wiedziałem o kogo chodzi, wkrótce jednak wątpliwości były rozwiane. chodziło właśnie o tego księdza, który był zarozumiały i bojkotował zjazdy duszpasterskie, okazując innym księżom swą wyższość.

Przyczyny zatargów z duchowieństwem można podzielić na kilka grup. Sprawa ślubów cywilnych, co jest czasem pretekstem do walki z kimś do którego ma się inne pretensje; sprawy materialne, sprawy prestiżowe oraz inaczej rozumiana praca społeczna. Najważniejszy wszakże wydaje mi się konflikt mentalności, z czego wynika konieczność podniesienia poziomu intelektualnego niektórych księży — szczególnie tych starej daty. Ponadto, wraz z przyjazdem młodych księży z Polski — gdyż powołań na emigracji jest za mało — doszły, niejednokrotnie w sposób groteskowy, akcenty polityczne. Każdą z tych grup należy omówić bodaj w kilku słowach dla lepszego zrozumienia całości zagadnienia.

Zanim to zrobię chciałbym najmocniej podkreślić, że mimo wielu przemian w życiu społecznym i indywidualnym oraz podniesienia się poziomu intelektualnego czy wykształcenia przeciętnego emigranta w porównaniu z falami emigracyjnymi z ubiegłego stulecia, dziś — tak jak i dawniej dobry, społeczny ksiądz może sam zdziałać więcej dla polskości niż wszystkie organizacje razem wzięte. Musi jednak rozumieć swoją odpowiedzialność społeczną, znać przemiany w świecie i przyjąć zalecenia soborowe, które — głupio to pisać świeckiemu i bardzo niedoskonałemu katolikowi — wcale nie obowiązują na odcinku emigracyjnym i głucho o nich w codziennym życiu. Nie na tych łamach i nie tym piórem powinny być roztrząsane sprawy większego udziału świeckich w dzisiejszym życiu Kościoła, trzeba jednak stwierdzić, że przeciętny ksiądz zazwyczaj dalej jest dyktato-

rem we wszystkich niemal sprawach, a wszyscy ludzie świeccy muszą go słuchać. W zmieniającym się świecie nasze duchowieństwo, a przez to i nasza religia, są najczęściej typu zacofanego, prawie feudalnego, a zawsze co najmniej przedwojennego.

Wśród kleru polskiego w Australii mamy wielu wspaniałych księży i znakomitych społeczników nieraz na pograniczu świętości, ale nie wszyscy są tacy. Trzeba dodać, że dla każdego z nas, nawet niedowiarka, ksiądz automatycznie jest autorytetem. Jeżeli zawodzi nas, to tylko dlatego, że niedostało mu charakteru, intelektu i zwykłej umiejętności współżycia z ludźmi. Z drugiej strony o warunkach pracy i o egzystencji księży zazwyczaj mało wiemy, a często są one bardzo trudne. Trzeba więc aby uległa zmianie nie tylko mentalność księży ale i ludzi świeckich.

Co rozumiem przez zmianę mentalności i podniesienia poziomu intelektualnego księży?

Kiedy sto lat temu cała wieś z Podhala czy Rzeszowszczyzny jechała z własnym księdzem do Brazylii czy Ameryki, ksiądz był w tej grupie prawie zawsze jedynym inteligentem, przywódcą duchowym, autorytetem moralnym, intelektualnym, doradcą prawnym, jednym słowem wszystkim. Bo tamci emigranci rzadko kiedy umieli pisać w ogóle, a co dopiero w obcym języku. Bez względu na to jaki był ten ksiądz, miał posłuch, gdyż nawet po prowincjonalnym seminarium duchownym był dla 99 procent parafian szczytem intelektu. Dziś to wszystko się zmieniło i to w stopniu z jakiego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Toteż dziś ksiądz, gdy chce być przywódcą, a ma wśród wiernych wielu ludzi wykształconych musi się podciągnąć. Można być prostaczkiem i żyć w promieniu Łaski, ale to nie jest regułą. Ważność usług religijnych otrzymanych za pośrednictwem księdza ustępującego intelektualnie obsłużowanemu nie ulega zmianie, ale samo współżycie między nimi kształtuje się inaczej.

Duchowieństwo emigracyjne składa się głównie z przedwojennych księży z Polski, kapelanów wojskowych i misjonarzy z innych krajów, czy też kapłanów wyświęconych podczas wojny, lub zaraz po niej, na emigracji. Nie brak wśród nich więźniów obozów koncentracyjnych i łagrów; te przejścia i związane z nimi choroby i zmęczenie musiały się odbić na ich energii i mentalności. Ponadto przedwojenny kler był przyzwyczajony do bezwarunkowego posłuchu, przywilejów, poparcia władzy i nie miał zbyt dużych trosk materialnych. Tamtą, przedwojenną mentalność i styl pracy niestety zachował, choć warunki znacznie się zmieniły.

Jestem pilnym i stałym czytelnikiem „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, czasem czytam także „Więź”. Prasa ta, na pierwszy rzut oka, wydaje się nudna i nijaka, ale trzeba się w nią wczytać. Jasne, że nie porusza ona takich spraw i w ten sposób jak byśmy tego chcieli.

Ale zysmając się nieraz na ową nudę i nijakość, z biegiem czasu sam, i na skutek rozmów z przyjezdnymi z Polski, pojąłem, że w przebudowie typu polskiego katolicyzmu i przeciętnego

inteligenta i księdza oba pisma odegrały dużą rolę, choć więcej jeszcze przyczyniły się do tego i specyficzne warunki walki. W kraju nastąpiło podniesienie poziomu intelektualnego i moralnego. Jeżeli emigracyjni księża, też na ogół czytający „Tygodnik Powszechny”, nie potrafili odnieść z lektury tych samych korzyści, to widocznie dlatego, że miejsce w jakim dane pismo się czyta — czyli nierozumienie warunków i tamtej nieuchwytniej aury — ma też swe znaczenie. Przemiany społeczne, utrata dawnych przywilejów, szykany władzy, większa odpowiedzialność narodowa i społeczna i fakt, że dziś do pójszcia na księdza trzeba większego powołania i zaparcia się niż wtedy, gdy dla chłopskiego syna seminarium duchowne było jedyną niemal drogą do awansu społecznego — wszystko to zmieniło typ kapłana, co w wielu wypadkach widać od razu u nowoprzybytych księży z Polski. Duchowieństwo polskie pogłębiło się duchowo, intelektualnie i moralnie. Nie o to chodzi by było ono opozycją polityczną. Autorytet moralny w tych warunkach jest najważniejszy, albowiem automatycznie ma wydźwięk polityczny, gdy Kościół jest mądry i czysty, a Partia nie. W potocznym rozumieniu religia dziś jest coraz bardziej sprawą moralności, codziennej aury wokół każdego z nas i humanizmu niż sprawą liturgii i formułek. Tego wszystkiego — powiedzmy sobie szczerze — brak na emigracji, szczególnie gdy chodzi o poziom intelektualny. Po upadku londyńskiego „Życia” — zresztą i ono nie było bez niedociągnięć — ton katolicyzmowi polskiemu na emigracji nadają szkolne gazetki, nieraz zupełnie zacofane, opustowe, a co gorzej słabe, nawet dla poziomu swego czytelnika i nietolerancyjne. „Przemiany” X. Biskupa Rubina — na razie dość nijakie — powinny tę lukę wypełnić i dyskusję na ten temat podjąć.

Samo życie, bardziej niż jakieś naciski ze strony władz australijskich, spowodowało, że emigranci polscy nie osiedlali się zwartymi masami na jednym miejscu, jak to było np. z emigracją do Ameryki czy Brazylii w dawniejszych latach. Dlatego też ściśle polskie parafie są raczej umowne. To znaczy, że w jakimś mieście wyznaczono jeden kościół na msze dla Polaków, Włochów, Węgrów itd. i każda narodowość zjeżdża do „swego” kościoła, choćby ludzie mieszkali na terenie innych parafii. Do jednej parafii, gdzie 95 procent parafian to Polacy, zjechał polski ksiądz z Ameryki. Przyjechał i z miejsca zaczął budować kościół, którego nie było. Był człowiekiem inteligentnym ale zrozumiał, że ma do czynienia z ludźmi prostymi i dostosował się do ich mentalności. Mówił dobrze po polsku, choć urodził się już w Ameryce, i był czytany, ale sam słyszałem go w czasie kazania. Mazurzył: gzych to jest zec strasno! Umiał podejść do ludzi, zdobyć sobie ich szacunek, sam zredukował swe potrzeby do minimum, spał latami w pożyczonej przyczepie w warunkach bardzo prymitywnych i choć parafianie nagabywali go dlaczego o sobie nie pomyśli, o jakiejś plebanii, odpowiadał: Napsód kościół, potem skoła, sala parafialna i biblioteka. Ludziom żal

się go zrobiło, więc sypnęli groszem na kościół i szkołę, salę parafialną i bibliotekę, by móc wreszcie ukochanemu pasterzowi wybudować i porządną plebanię. A kiedy plebania stanęła, była niemal luksusowa. „Do Polaków należy umiejętnie podejść — uśmiechał się filuternie, opowiadając mi o tym — gdybym na-przód sobie postawił plebanię, to z salą i biblioteką musiałbym czekać nie wiem jak długo, bo polski zapał szybko słabnie. Zresztą uważałem, że taka kolejność jest właściwa. O auto też się nie przymawiałem, a je dostałem. I nigdy o pieniądzach nie mówię, zostawiam to kościelnemu”.

Ten sam ksiądz opowiadał mi zamięnną historię, zasłyszaną od miejscowego dziekana, Irlandczyka. Otóż w czasie wojny, w pewnej miejscowości był duży obóz wojskowy amerykański i ów dziekan do czasu przyjazdu kapelana wojskowego sprawował nad nim opiekę duchowną. Jakież było jego zdziwienie gdy Amerykanie przychodzący do spowiedzi nie umieli się spowiadać po angielsku, gdyż zawsze w Ameryce spowiadali się po... polsku i tylko w tym języku umieli się modlić. W naszych warunkach australijskich podobne historie nie mogą się zdarzyć z polskimi dziećmi. Z braku polskich parafii, polskich szkół albo z braku nacisku ze strony polskich księży — naukę religii w języku polskim na polskich szkołkach sobotnich prowadzi się bardzo rzadko, pozostawiając ją katolickiej szkole australijskiej, która tu najszybciej wynaradawia. Dziecko jeszcze nieraz mówi po polsku, ale modli się już wyłącznie po angielsku.

Są księża, którzy przy każdym kazaniu proszą o pieniądze i są tacy, którzy sami chodzą w podartych butach i biednemu oddaliby ostatnią koszulę. Znam wypadek, że parafianie kupili księdzu „na oko” gotową sutannę, bo chodził obdarty, a podarowany mu kupon czarnego materiału na ubranie (coraz mniej widzi się tu księży w sutannach) oddał bardziej, jego zdaniem, potrzebującemu, ale sutanny już nie mógł świeckiemu człowiekowi oddać. Są księża, którzy mieszkają wygodnie, są i tacy, którzy wegetują gdzieś kątem na jakiejś werandzie, w zakonie.

Ich status społeczny i hierarchiczno-prawny jest ciągle nieokreślony i niepewny, zależą od miejscowego biskupa, dziekana, przeora — bo wielu z nich to księża zakonni — spotykają się z ksenofobią i małością, z zazdrością o polskie datki na tacę, z niezrozumieniem obcych i swoich. Choć są chlubne wyjątki, to przeciętny ksiądz australijski — z dumą podkreślający, że jest z trzeciego pokolenia „Ajryszem” — każdego emigranta chciałby już w pierwszym pokoleniu zrobić Australijczykiem. W kraju misyjnym, bo takim ciągle jest Australia, religia katolicka — nie tak dawno jeszcze ośmieszana, czy pogardzana — jest stale jeszcze na dorobku i mało kto wie iż większość budynków kościelnych nie jest jeszcze spłacona. Z tego powodu tutejszy katolicyzm jest niemal kompleksem i nakazem, choć dla przeciętnego Europejczyka religia jest nie tyle może sprawą osobistą, co rodzinną, zaplecza kulturalnego i tradycji. Katolicy australijscy są niżej notowani socjalnie i biedniejsi niż prezbiterianie, czy

anglikanie, stąd częste i nachalne dopominanie się kleru australijskiego o pieniądze. Wprawdzie emigranci polscy i włoscy, czy inni, znacznie wzmocnili element katolicki w tym kraju, to jednak kler miejscowy, opanowany głównie przez Irlandczyków, wielkich ksenofobów narodowo-religijnych, nieufnie ich i ich księży przyjmował, gdyż — tak jak całe społeczeństwo i władze australijskie — nie był przygotowany do trudnego eksperymentu, jakim była wielonarodowa emigracja po wojnie do nieskrystalizowanej i często niższej kulturalnie Australii. Mało kto tu rozumiał, że sam dobrobyt nie wystarczy, że jeśli kraj przyjmujący emigrantów nie może zaofiarować im wyższej i bardziej atrakcyjnej kultury niż ta, w której wzrosli — to, nieuniknione zresztą, procesy asymilacyjne przebiegają wolniej i nie bez wstrząsów, a że wszelkie naciski sprawę tylko zaogniają.

Mógłbym cytować wypadki, że np. dzieciom polskim australijski Irlandczyk, czy irlandzki Australijczyk w sutannie zabraniał mówić w szkole pomiędzy sobą po polsku. Na szczęście po latach wszędzie pod tym względem nastąpiła ogromna poprawa. Czasem na najwyższym szczeblu miejscowej hierarchii Polacy i ich sprawy, a także kler, spotykają się ze wzruszającą opieką i zrozumieniem — mógłbym wyliczyć tu nazwiska prawie wszystkich arcybiskupów — ale również jest prawdą, iż bardzo świątły polski ksiądz, który po różnych trudnościach ze swymi władzami opuścił już Australię, w prywatnej korespondencji do mnie nie nazywa miejscowego Prymasa inaczej niż uszczypliwie „Jego Eminencja Kangur”. W kilku miejscowościach odmówiono w katolickiej szkole miejsca na polskie szkółki sobotnie, co w jednym wypadku pewne lokalne pismo polskie potraktowało bardzo historycznie i pisało o... Wrześni. Księdza, który o tym fakcie poinformował redaktora i który nie krył swego oburzenia z tego powodu oraz ogłosił oświadczenie — australijskie władze kościelne zmusiły do niesmacznego odwołania tego co powiedział i wkrótce potem księdza przeniesiono do innego kraju. W jeszcze innej miejscowości pewien biskup — nie pozwolił na urządzenie polskiej kaplicy w zakupionym przez Polaków baraku, barak zabrał, a księdza chcącego odprawiać nabożeństwo majowe dla rodaków po polsku przeniesiono do innej diecezji. W innej diecezji znów miejscowy biskup pozwala księdzu polskiemu na wyjazd do jednej z miejscowości, gdzie znajduje się ponad sto rodzin polskich, tylko raz w roku. Na szczęście dziś jest o wiele lepiej niż dawniej. Wizytacje pasterskie Arcybiskupa Gawliny i ostatnio Biskupa Rubina na pewno pomogły w załagodzeniu wielu drażliwych spraw z hierarchią. Niestety jednak na odcinku wewnątrzno-emigracyjnym poprawy dużej nie ma.

Chciałbym jeszcze poruszyć pewną sprawę, która ostatnio znowu wiele napsuła krwi Polonii Amerykańskiej, a ma pewne analogie i tutaj. Chodzi o parafie narodowe i ich majątek z chwilą ich likwidacji, czy wcielenia. W ubiegłym wieku, kiedy Polacy osiadali w Ameryce (Chicago, Filadelfia, Boston) pokąznymi grupami, a katolicyzm amerykański dopiero się organizował,

powstawały czysto polskie parafie z własnymi kościołami, szkołami. Istniał wtedy wśród kleru amerykańskiego kpiący termin „polski baron” na określenie księdza, który w swej parafii był tak mocny — cała parafia stała zanim murem — że nieraz biskup musiał się z nim liczyć. W miarę konsolidacji Kościoła Katolickiego w Ameryce i w miarę odpływu Polaków z niektórych parafii i dzielnic tradycyjnie przez nich zamieszkałych, sytuacja się zmieniała. Parafie polskie znoszono, a ich majątek przechodził na własność Hierarchii.

W Australii większość obiektów polskich (domy dziecka w każdym stanie, z wyjątkiem Tasmanii, szkoły, kaplice, jeden kościół i budujący się dom starców) należy do dwóch zakonów polskich, przybyłych tu około 15 lat temu z Ameryki: do Sióstr Zmartwychwstańek i Nazaretanek. Zapisały się one naprawdę pięknie w historii Polonii Australijskiej i zyskały miłość i szacunek wszystkich. Ośrodki te powstały z ofiar Polaków, szczególnie w pierwszym okresie ta pomoc była duża, i z ochotniczej pracy polskiej. Jednak gdyby nie ofiarność Australijczyków i pomoc Hierarchii, nigdy by się one tak wspaniale nie rozwinęły. Obiekty te są majątkami polskich zakonów i ich polskość jest zabezpieczona. Gorzej jest z innymi obiektami, na które Polacy sypali groszem, a które należą dziś do kurii biskupich. Prawo prawem, ale w takiej instytucji jak Kościół również i wola ofiarodawców powinna być brana pod uwagę. Na te tematy niestety nic się nie pisze.

Jakkolwiek natężenie zatargów z własnym duchowieństwem zmalało a stosunki z klerem własnym i australijskim układają się znośniej, przecież możliwości konfliktów dalej istnieją. W ostatnich czasach zjechało tu kilkunastu księży z Polski, przeważnie ze Zgromadzenia Chrystusowego i najnieoczekiwanej zarysowały się różnice natury politycznej. Zgromadzenie Chrystusowe zostało założone w okresie pomiędzy wojnami przez X. Prymasa Hlonda dla pracy wśród Polonii Zagranicznej. Pod tym kątem szło szkolenie i zakon ten istnieje dalej, przygotowując kapłanów dla emigracji.

Jak odbywa się selekcja księży na wyjazd? Sprawa ta jest bardzo charakterystyczna. Decydujące słowo ma tu nie X. Prymas Wyszyński, nie Piasecki z PAXu, ale Frankowski. Nie trzeba dodawać, że ściśle współpracuje on z KC i Urzędem dla Spraw Wyznań, oraz, zapewne także z UB. Gdy jest zapotrzebowanie, powiedzmy na pięciu księżach zagranicę, Frankowski w imieniu swych mocodawców, i w ścisłym z nimi porozumieniu, przedstawia Prymasowi listę 9 księży, na których wyjazd władze zezwolą i z tej tylko listy Prymas może wybrać owych pięciu. Jasne, że wśród wyselekcjonowanych w ten sposób nie ma ludzi, którzy by czymkolwiek się narazili reżymowi. Jeżeli wśród nich znajdują się niechętni reżymowi, to tylko ci młodszy, którzy umieli z niczym się nie zdradzić. To że z tych powodów przyjeżdżają przeważnie młodzi, bardzo nam zresztą odpowiada, bo dłużej wśród nas zostaną. Ale zdarzały się wypadki, że nowo-

przysłany ksiądz pracował dość ściśle z Konsulatem PRL. Konsul chwalił się przy wódce pewnemu byznesmenowi emigracyjnemu: „Po co nam penetrować wasze organizacje, jeśli ksiądz Y i tak mi wszystko przyniesie?” Jeden z takich księży pod presją ze strony emigracji musiał opuścić Australię, a z innym sam miałem osobliwą rozmowę, w czasie której przekonywał mnie o wyższości ustroju w Polsce i twierdził, że emigracja to walka z wiatrakami. Pewien też obiekt podebrał on bardzo zgrabnie na własność Zgromadzenia Chrystusowego, o co było niemało kwasu, gdy się za późno zorientowano.

Zatargi politycznej natury też najczęściej wynikają z różnicy mentalności, ale w tym wypadku z różnicy pomiędzy „krajową” a „emigracyjną”. Np. ksiądz wchodzi w kontakt z konsulem (komplementy i obiadki) i rozumuje na pozór słusznie, że skoro konsulowie amerykański, holenderski, niemiecki i włoski bronią swych obywateli i opiekują się nimi — to nic by nie było złego gdyby i konsul PRL był taki sam. Księżyna pocziwy, ale niezbyt się orientujący, do dziś czeka na ową pomoc, a z czym wygadał się — nie wiadomo. Trudno uwierzyć, że konsulat PRL wypłaca bezinteresownie dotacje dla Polaków przebywających w sanatoriach dla umysłowo chorych i w więzieniach, czym ów ksiądz od lat się zajmuje.

Inny problem to sprawa Lwowa i Wilna, a raczej herbów tych miast w kościele polskim, ufundowanym przez całą Polonię, na które ksiądz nie chciał się zgodzić. Ten młody ksiądz, wychowanek Polski Ludowej, który nie zna tych miast i pewnie nie rozumie jakim symbolem są one dla emigracji. Zresztą nie po-mija on Katynia w kazaniach, więc chyba nie było tu złej woli.

Pewne zaniepokojenie wywołał na emigracji fakt, że biskupa Rubina wyznaczył opiekunem Emigracji Polskiej nie Papież lecz X. Prymas Wyszyński. Posądzanie X. Prymasa o spisek z Gomułą w celu skomunizowania Emigracji poprzez Kościół jest oczywistym nonsensem, zaś zbytne akcentowanie zupełnej odrębności emigracyjnego Kościoła jest na pewno szkodliwe, tym niemniej jakieś obszerne i jasne oświadczenie X. Biskupa w celu uspokojenia umysłów — aż się prosi, nawet gdyby to miało grozić niedaniem Biskupowi wizy do Polski. Ostatecznie do Rzymu przyjeżdżają od czasu do czasu biskupi krajowi, więc kontakt by się nie urwał. Należałoby też wyjaśnić czy jest możliwy projekt szkolenia księży na emigracji i czy się to bierze pod uwagę. Na pewno księża wzrosli na emigracji, znający jej zagadnienia i mający podobną mentalność — mogliby tu pracować lepiej niż przysłani z kraju.

Przydałyby się także jakieś dyrektywy, by księża emigracyjni wyjeżdżający do Kraju z wycieczką czy pielgrzymką, nie zabierali tam głosu na tematy polityczne; były wypadki, że księżuło po latach pobytu zagranicą pojechało do Polski, podawał się za delegata Polonii Australijskiej, zaproszono go do Rady Państwa, napojono, wzruszył się, udzielił bardzo niesmacznego wywiadu a po powrocie do Australii się kajał. Jeśli się wie jak pracują

w kraju prasa i cenzura — ostrożniej jest nie zabierać głosu, bo potem nie każdy wierzy w wyjaśnienia, a to podkopuje autorytet księdza.

Reasumując — co należałoby zrobić, ażeby wzajemne stosunki Kościoła i emigracji uzdrowić, co niewątpliwie przyczyniłoby się do usprawnienia pracy społecznej i religijnej księży i pomogłoby emigracji w przetrwaniu?

1. Konieczność podniesienia poziomu intelektualnego i moralnego Duchowieństwa jest tak jasna dla wszystkich i tyle się już na ten temat u nas pisało, że nie ma celu dalej się nad tym rozwodzić.

2. Zalecenia i duch soborowy powinny być widoczniejsze w naszym życiu, głównie na dwóch płaszczyznach: większy udział laikatu w życiu Kościoła na emigracji i ściślejsza współpraca polskiego Duchowieństwa i wiernych z innymi wyznaniem chrześcijańskimi, co walenie przyczyniłoby się do podtrzymania polskości, gdyż np. u nas Polacy-innowiercy stoją zazwyczaj poza naszym życiem społecznym. Mamy od niedawna w Australii świetnie zorganizowanych adwentystów polskich z pastorami Skrzypczkiem i Lipskim, mamy grupkę Polaków prawosławnych i ich księdza, byłego kapelana W.P. J. Kamińskiego, mamy Świadków Jehowy, ewangelików, Żydów a nawet mahometan polskich, ale nasze duchowieństwo ciągle ich — delikatnie mówiąc — nie dostrzega. Tych innowierców, można zaktywizować w naszym życiu społecznym, ostracyzm religijny z naszej katolickiej strony, sprawia, że najczęściej pozostają na uboczu i szybciej mogą wskutek tego odejść od polskości. Należy wykazać, że tolerancja religijna to nie jest przeszłość z podręczników historycznych, ale sprawa żywa, dzisiejsza i emigracyjna.

3. Konieczne jest wyraźne rozgraniczenie spraw świeckich i duchownych, wyraźne rozstrzygnięcie spraw hierarchicznych i tych co zahaczają o politykę, gdyż społeczeństwo mało o nich wie. Każdy dziś chyba widzi, że rozdział władzy kościelnej od państwa, czy czynnika świeckiego wyszedł tylko Kościołowi na dobre. Wielu ludziom o specjalnej mentalności ten nieszczęsny problem ciągle wydaje się absurdalny i zdrożny, a przecież innego wyjścia nie ma. W praktyce sprowadzałoby się do tego, że w sprawach świeckich i społecznych ksiądz pomaga organizacjom, a w żadnym wypadku nie przeszkadza i na odwrót, organizacje pomagają księdzu w jego pracy duszpasterskiej. Jest to łatwe i jedyne rozsądne rozwiązanie, lecz w praktyce konieczne byłoby tu wyraźne dyrektywy X. Biskupa — o których ludzie by wiedzieli i mogli się na nie powołać w razie konfliktu. Inaczej ksiądz na emigracji nie będąc odpowiedzialny przed opinią publiczną, a jedynie przed swymi władzami, które o ewentualnym zatargu mają tylko jego naświetlenie, praktycznie jest poza jakąkolwiek odpowiedzialnością.

Każdy teren emigracyjny na tle własnych możliwości i specyficznych warunków lokalnych wypracowuje sobie swój własny styl pracy organizacyjnej i społecznej. Jeśli chodzi o przetrwa-

nie polskości, a raczej o to aby nieunikniona asymilacja przebiegała harmonijnie i bez wstrząsów połączonych z zaburzeniami psychicznymi dając jednak *background* polskości naszym dzieciom aby mogły czuć się pewnie w nowym społeczeństwie, i może kiedyś pełniej do polskości powrócić bez konfliktów. Księża mogą tu odegrać rolę najważniejszą pracując rozsądnie i zgodnie z organami świeckimi. Taka praca kapłańska nie tylko przyda się polskości i krajowi osiedlenia, ale przede wszystkim religii. Tak jak jest obecnie życie religijne na emigracji słabnie, a najczęściej powodują to zatargi z duchowieństwem. Praca religijna jest pierwszym obowiązkiem kapłana, a nie kultywowanie polskości, ale gdy dobrze pojęta praca religijna może pomóc w utrzymaniu polskości to tym lepiej. I tak te sprawy widzi wielu ludzi i tak je poddajemy pod dyskusję.

Andrzej CHCIUK

Co wysłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN T A Z A B A
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?
Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”
bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver”, kalkulujące się u
TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł
za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-;
500 szt. £ 12.15.0; 1000 szt. £ 22.15.0.

Biuletynami ***, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych
leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich
i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

Upiory rewolucji

Życie społeczne w tym kraju jest permanentną konspiracją przeciw prawdzie. Tam, kto nie daje się okłamać uchodzi za zdrajcę. Tam, śmiać się z przechwałek, odtrącać kłamstwo, przeczyć samodurstawu politycznemu, *uzasadniać posłuszeństwo*, znaczy tyle co podnosić rękę na Państwo i Władcę; czyli ryzykować los rewolucjonisty, spiskowca, wroga porządku, zbrodniarza obrażającego majestat, Polaka, a wiecie dobrze jaki okrutny to los...

Astolphe de Custine: *Lettres de Russie*, 1839.

I

W drugiej połowie 1918 roku pewna drukarnia moskiewska otrzymała manuskrypt sympozjonu jedenastu wybitnych rosyjskich myślicieli, pisarzy i publicystów *Iz głubiny — De profundis*. Wkrótce potem fala terroru, rozpetana po zamachu Dory Kapłan na Lenina, stanęła na przeszkodzie wydaniu książki. W r. 1921, dzięki samorządnej inicjatywie zecerów i drukarzy, sympozjon był gotów do kolportażu. Skonfiskowano go natychmiast. Okrężnymi ścieżkami, omijając naturalnie po drodze księgarnie, trafił do nielicznych tylko czytelników. Dwa egzemplarze zdołały przeniknąć zagranicę. Jeden z nich posłużył ostatnio, po blisko półwieczu, do ocalenia *Iz głubiny* od całkowitego zapomnienia staraniem emigracyjnego wydawnictwa rosyjskiego w Paryżu.

„Proroczą książką” nazywa sympozjon w swoim słowie wstępnym Nikita Struwe:

„Uderzająca jest — w odróżnieniu od poetów — pełna zgodność rosyjskich myślicieli w ocenie rewolucji: pozbawiona wszelkiej siły twórczej,

stała się dla nich wszystkich od samego początku najgłębszą duchową *katastrofą*. Autorzy sympozjonu badają rewolucję rosyjską w trzech wymiarach: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nigdzie dotąd z taką jasnością i wnikliwością nie były obnażone te osobliwości duszy rosyjskiej i rosyjskie uwarunkowania historyczne, które doprowadziły do wybuchu 1917 roku. Nigdzie dotąd ostateczne przeznaczenie bolszewizmu nie było tak głęboko przeanalizowane i uzasadnione. Nigdzie dotąd straszne zjawiska rewolucji nie były tak jaskrawo i bezlitośnie nie tyle opisane, co przeżute. „Szigalewszczyźnie” i „gogolowskim duchom”, dojrzanym przez Bierdiajewa od pierwszych już miesięcy rewolucji, sądzone było długie panowanie o niebywałym zasięgu. Zmieniały się z upływem lat poglądy niektórych autorów, szczególnie tegoż właśnie Bierdiajewa, ale rzeczywistość rewolucyjna pozostawała zdumiewająco zgodna z ich oceną i opisem. Niemniej proroczy okazał się sympozjon w odniesieniu do naszych czasów. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, lecz także chyba za sprawą jakiejś tajemnej konieczności, sympozjon ukazuje się w przededniu pięćdziesięciolecia rewolucji październikowej. Żadne cuda techniki przywołane na ten dzień, żadne świętowania i niezliczone broszurki wychwalające zdobycze Października, nie zagłuszą tego głębokiego kryzysu jaki przeżywa dziś Rosja. Jak pięćdziesiąt lat temu grupka myślicieli, tak dziś szerokie rzesze nowej inteligencji rosyjskiej wołają *de profundis*”.

Ten wstęp daje przybliżone pojęcie o sympozjonie, jest nawet w jakiejś mierze dość wiernym odbiciem jego tonu: dramatycznego i dobywanego „z głębin”, niekiedy natchnionego i kaznodziejskiego, prawie zawsze katastroficznego. Dla jedenastu uczestników sympozjonu — w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat — rewolucja 1917 roku była „najgłębszą katastrofą duchową” jako zwyrodnienie i skompromitowanie potrzeby zmian, odczuwanej powszechnie w kołach światłej inteligencji przedrewolucyjnej. „Przeklęte problemy” rosyjskie, pozornie utopione w potokach krwi, wypłynęły szybko na powierzchnię w jeszcze bardziej karykaturalnej formie. Pod włożoną dla niepoznaki maską odnowy odżyła dawna twarz, wykrzywiona w szyderczym i diabelskim niemal grymasie „zmienianej” kosztem ogromnych ofiar i cierpień niezmienności. Nie nowa, lecz stara i dobrze znana Rosja przeraziła w rewolucji autorów sympozjonu. Zwłaszcza jego głównego autora, Nikołaja Bierdiajewa, którego szkic *Duchi ruskiej rewolucji* rozlega się po latach najdonośniejszym echem z porewolucyjnej *głębiny*.

II

Jest to dziwny szkic, w stylu namiętnego, improwizowanego oratorstwa kazań. Bierdiajew brodzi w ciemnościach kryjących Rosję, kołuje, cofa się, wybiega naprzód, powtarza się nieustannie, to gromi podniesionym głosem to wypowiada się szeptem z własnej rozpacz, przeklina i zaklina, miesza inwektywy i ana-

temy z błagalnymi inwokacjami, wciąż jednak mając przed oczami trzy kierunkowe światła zapalające się i gasnące na przemian w oddali. Są to Gogol, Dostojewski i Tołstoj, trzy „duchy rewolucji rosyjskiej”. Pojęcie „ducha” obejmuje szeroki wachlarz znaczeń: od dziedzictwa (Gogol), poprzez prorocstwo (Dostojewski), do zaczynu (Tołstoj).

„Nasze stare narodowe choroby i grzechy doprowadziły do rewolucji i określiły jej charakter. Duchy rewolucji rosyjskiej to duchy rosyjskie, chociaż wykorzystane przez naszego wroga na naszą zgubę... Rewolucja jest zawsze w znacznym stopniu maskaradą, i wystarczy zerwać maski by zobaczyć stare, znajome twarze... Spróbujcie zajrzeć w głąb, pod pokrywę rewolucyjnej Rosji. Rozpoznacie tam starą Rosję, spotkacie starych znajomych. Nieśmiertelne postacie Chlestakowa, Piotra Wierchowieskiego i Smierdiakowa pojawiają się na każdym kroku w rewolucyjnej Rosji i odgrywają w niej niemałą rolę, spotyka się je na samych szczytach władzy. Metafizyczna dialektyka Dostojewskiego i moralna refleksja Tołstoja kształtują wewnętrzny bieg rewolucji. Jeśli pójść w głąb Rosji, to za rewolucyjną walką i rewolucyjną frazeologią nie trudno odkryć kwiczące gogolowskie mordy i gęby”.

Dla Bierdiajewa (podobnie jak dla Rozanowa) Gogol nie jest mistrzem realistycznej groteski czy satyrykiem, lecz poetą zła absolutnego, bez nadziei i pociechy, zła silniejszego od wszelkich reform społecznych i politycznych. W rozdziale o gogolowskim „duchu” rewolucji rosyjskiej to przekonanie ma cechy obsesji: Bierdiajew zapewnia, że „i teraz po wszystkich reformach i rewolucji Rosja pełna jest martwych dusz i rewizorów, a gogolowskie postacie nie umarły, nie odeszły w przeszłość jak postacie Turgie-niewa czy Gonczarowa”; nalega, że „w rewolucji odsoniła się wciąż ta sama stara, wiecznie gogolowska Rosja, nieludzka, pół-zwierzęca Rosja maszkar i pysków, a w nieznośnej rewolucyjnej *poszłości* odezwało się coś wiecznie gogolowskiego”; piorunuje, że „choć nie ma już samodzierżawia, w Rosji po dawnemu roi się od martwych dusz, po dawnemu uprawia się nimi handel”; dodaje nawet, że „Chlestakowom i Cziczikowom łatwiej dziś pohulać, niż za czasów samodzierżawia”. Gogolowski „duch” rewolucji rosyjskiej jest więc w ujęciu Bierdiajewa przede wszystkim strasznym dziedzictwem, które rok 1917 pomnożył jeszcze zamiast się od niego uwolnić. Dziedzictwem tylko, czy nieuleczalnym kalectwem? Jakkolwiek w rozdziale o Gogolu mowa o „konieczności duchowego przewrotu i odrodzenia narodu” w walce z gogolowskimi „maszkarami i mordami”, Bierdiajew zdaje się sceptycznie patrzeć na jej wynik: „Być może, wszystko co najciemniejsze i najbardziej beznadziejne w rewolucji rosyjskiej jest w niej gogolowskie; w tym co pochodzi w niej od Dostojewskiego widać więcej prześwitów”. Gogolowi, poecie zła, potęga jego własnej wizji odcina powrót między ludzi z podróży do rosyjskich piekieł.

„Jeśli Gogol w rewolucji rosyjskiej jest nie od razu widoczny i samo postawienie tego tematu może budzić wątpliwość, to w Dostojewskim niesposób nie widzieć proroka rewolucji rosyjskiej”. Autorowi *Biesów* i *Braci Karamazow* przypada centralne miejsce w wielkiej trójcy „duchów”.

Zdaniem Bierdiajewa Dostojewski zgłębił dialektykę rosyjskiej rewolucyjności i wyciągnął z niej ostateczne wnioski. Nie zatrzymał się na powierzchni idei i struktur społeczno-politycznych, lecz obnażył metafizykę rewolucjonistów rosyjskich, wiedząc dobrze że rosyjski impuls rewolucyjny jest zjawiskiem metafizycznym i religijnym, a nie politycznym i społecznym. Udało mu się przejrzeć do dna istotę rosyjskiego socjalizmu, który zajęty jest pytaniem czy istnieje Bóg czy Go nie ma. Potrafił uchwycić i pokazać żywioł rosyjskiego nihilizmu i zupełnie swóistego rosyjskiego ateizmu, nie podobnego do niczego co określa się tym mianem na Zachodzie.

„Cała twórczość Dostojewskiego jest antropologicznym objawieniem, dochodzą w niej do głosu te myśli i namietności człowieka, które stanowią już nie psychologię lecz ontologię natury ludzkiej. U Dostojewskiego, w przeciwieństwie do Gogola, zostaje zawsze ocalony wizerunek człowieka, zło nie wypala go ze szczerem. Dostojewski wierzy, że drogą wewnętrznej katastrofy zło może przerodzić się w dobro. Dlatego jego twórczość wywołuje mniejszą grozę niż twórczość Gogola, w której nie ma żadnej prawie nadziei”.

Oto, według Bierdiajewa, sekret który znał prorok i zwiastun rewolucji rosyjskiej: „Rosjanin jest apokaliptykiem albo nihilistą, apokaliptykiem na dodatnim biegunie, nihilistą na ujemnym”. Gdyż „rosyjskie poszukiwanie prawdy zawsze przybiera charakter apokaliptyczny lub nihilistyczny”. Iwan Karamazow powiada do Alioszy: „A cóż to dziś robią rosyjskie chłopaki? Zejdą się w cuchnącej knajpie, zaszyją w kąt... O czym będą rozprawiać? O wszechświatowych zagadnieniach, a jakże; czy jest Bóg? czy jest nieśmiertelność? Ci zaś, co w Boga nie wierzą — o socjalizmie, o anarchizmie, o przerobieniu całej ludzkości na nową modłę, na jedno wychodzi, przecież to te same zagadnienia tylko od drugiego końca”. Problem rosyjskiego socjalizmu i nihilizmu — dodaje Bierdiajew — to problem apokaliptyczny, zwrócony ku wszystko rozstrzygającemu finałowi; rosyjski socjalizm rewolucyjny nigdy nie uważał się za coś przejściowego, za jeden z programów przebudowy ustroju społecznego, czuł się zawsze powołany do ustanowienia królestwa Bożego na ziemi, do rozplątania eschatologicznego węzła doli człowieczej.

„Rosyjskie chłopaki, nihiliści-apokaliptycy. Zaczęli od niekończących się rozmów w śmierdzących szynkach. I trudno było uwierzyć, że te rozmowy o zastąpieniu Boga socjalizmem i anarchizmem, o przerobieniu całej ludz-

kości na nową modłę, mogą się stać decydującą siłą w naszej historii i zdruzgotać Wielką Rosję”.

Od „rosyjskich chłopaków”, debatujących w smrodzie i zaduchu knajp, krok do Piotra Wierchowińskiego, który główną rolę w rewolucji wyznacza „czystym szubrawcom” i chce zaszczerpieć w ludzkich sercach „wstyd posiadania własnych poglądów”; do arcylogicznego rewolucjonisty Szigalewa który „wychodząc z bezgranicznej wolności, dochodzi do bezgranicznego despotyzmu”; do „podkstałconego” rewolucyjnie lokaja Smierdiakowa, który wprowadza w czyn zasadę że „wszystko wolno skoro nie ma Boga” zabijając starego Karamazowa.

I wreszcie trzeci „duch rewolucji rosyjskiej”. W wywodzie Bierdiajewa słyhać teraz nuty prawie gniewnego krzyku, autor *Wojny i pokoju* nazywany jest „złym geniuszem Rosji” i „trucicielem źródeł życia”:

„Tołstoj miał dla rewolucji rosyjskiej nie mniejsze znaczenie, niż Rousseau dla francuskiej. To prawda, przerażyłyby go gwałty i rozlew krwi, wyobrażał sobie inaczej urzeczywistnienie swych idei. Ale przecież Rousseau byłby też przerażony działalnością Robespierre’a i terrorem rewolucyjnym. Rousseau jednak ponosi tak samo odpowiedzialność za rewolucję francuską, jak Tołstoj za rosyjską. Myslę nawet, że nauki Tołstoja były bardziej destrukcyjne niż nauki Rousseau. To Tołstoj uczynił moralnie niemożliwym istnienie Wielkiej Rosji i zrobił wiele dla jej podkopania. Lecz był w tym samobójczym dziele Rosjaninem, przemówiły przez niego fatalne i nieszczęsne cechy rosyjskie”.

„Fatalne i nieszczęsne cechy rosyjskie” to moralizm uniwersalny nierozzerwalnie zrośnięty z amoralnością indywidualną. Z jednej strony wieczne moralistyczne pretensje pod adresem losu, historii, władzy, kultury; z drugiej chorobliwa amoralność jednostki roztopionej w kolektywie, wyzutej z poczucia odpowiedzialności i obowiązku, obojętnej na walory osobiste:

„Nie znająca granic pretensja moralistyczna Tołstoja wszystko czyni widmowym i podejrzanym, obala realność historii, realność cerkwi, realność państwa, realność narodu, realność jednostki i realność wszystkich wartości nadrzędnych, całego życia duchowego”.

W Tołstoju rosyjski moralizm spotkał się z rosyjskim nihilizmem, czy raczej rosyjski nihilizm otrzymał swoje religijno-moralne usprawiedliwienie (na równi z rosyjskim narodnictwem):

„Tołstojowska moralność zatriumfowała w rewolucji rosyjskiej, lecz nie tymi idyllicznymi i pełnymi miłości drogami, jakie marzyły się samemu Tołstojowi. Sam Tołstoj zachnąłby się prawdopodobnie na widok takiego ucieleśnienia swoich ocen moralnych. Ale wzdychał do wielu, zbyt wielu rzeczy z tego co się obecnie dzieje. Wywoływał duchy które rządzą rewolucją, i sam był przez nie opętany”.

Był maksymalistą odrzucającym wszelkie historyczne prawa następstwa i gradacji, zaszczerpił inteligencji rosyjskiej nienawiść do wszystkiego co historyczne i hierarchiczne. Był skrajnym anarchistą, wrogiem wszelkiej państwowości, uważał państwo za źródło zła (co w jego rozumieniu oznaczało: przemoc), dał moralno-religijną sankcję antypaństwowym, anarchicznym instynktom narodu rosyjskiego. Krótko mówiąc, „zatruił Rosjan refleksją moralną”.

III

Duchy rewolucji rosyjskiej są szkicem typowo „wyznawczym”, ze wszystkimi nieuniknionymi wadami tego gatunku. Nie ma więc potrzeby, ani nawet sensu, procesować się z Bierdiajewem o częstą w jego wywodach skłonność do przesady lub uproszczeń, można mu też darować całkowity brak wycieniowania poplątanych niekiedy wpływów i związków. (O istnieniu tych odcieni daje na przykład pojęcie Andrzej Walicki: „Pod wieloma względami ideologia Tołstoja, wielkiego heretyka, nieubłaganego krytyka wszystkich oficjalnych autorytetów, bliższa była narodnictwu niż ideologia Dostojewskiego. Dostojewskij jednak, w odróżnieniu od hrabiego z Jasnej Polany, był narodnikom bliski społecznie jako niespokojny inteligent-raznoczyniec, były pietraszewiec zesłany przez Mikołaja I na katorgę syberyjską, i nie bez powodu radykalny odłam ówczesnego społeczeństwa wyczuwał w nim coś pokrewnego sobie”). Tekst Bierdiajewa należy po prostu czytać jak ogólną i w zasadzie słuszną diagnozę: „duchy rewolucji rosyjskiej” rodem z Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja nie były jego przywidzeniem.

Widział je jak zwiastowały rewolucję albo torowały jej mimowoli drogę, widział je krążące ze wzmożonym uporem w rok po zwycięstwie rewolucji. A później? Co się z nimi stało później? Zostały wchłonięte przez nową rzeczywistość rewolucyjną, rozplynęły się odegrawszy (nieświadomie bądź półświadomie) swoją rolę na scenie historii? Można te pytania postawić inaczej. Ma rację Nikita Struwe twierdząc, że „zmieniały się z upływem lat poglądy niektórych autorów sympozjonu, szczególnie Bierdiajewa, ale rzeczywistość rewolucyjna pozostawała zdumiewająco zgodna z ich oceną i opisem”? Nie było naprawdę realnych podstaw do zmiany poglądów Bierdiajewa? Skapitulował wobec nieustępliwych „duchów rewolucji”, czy na odwrót uznał że rewolucja w miarę „dorastania” i „krzepnięcia” zdołała je przezwyciężyć?

W roku 1926, zaledwie w osiem lat po powstaniu *Duchów*

rewolucji rosyjskiej, Piotr Struwe pisał w jednym z listów (ogłoszonych ostatnio przez Gleba Struwego), że „Bierdiajew ugrzązł w taktyce pod wrażeniem sowieckiej rzeczywistości, zmieniając się bezwiednie w apologetę i współnika Sowietów”. Nie była to widocznie zmiana aż tak „bezwiedna”, skoro w roku 1945 Bierdiajew wystąpił otwarcie ze swoim „sowieckim patriotyzmem” i wytrwał w nim prawie do śmierci w roku 1948. Dziwiono się temu, kręcono niedowierzająco głowami. A przecież wystarczy przeczytać uważnie i przemyśleć do końca *Duchy rewolucji rosyjskiej*, by zrozumieć ukryte lecz dostatecznie uzasadnione pobudki tej „transformacji”. Nie Bierdiajew się zmieniał, zmieniała się rzeczywistość rewolucyjna. Stopniowo, począwszy właśnie od roku 1926, odsłaniała się jej inna twarz, coraz czystsza i wolniejsza od cienia znienawidzonych przez Bierdiajewa „duchów”. Aż w roku 1945, po zwycięskiej wojnie, zajaśniała pełnym blaskiem Wielkiej Rosji. „Duchy”, które chcąc nie chcąc popychały niegdyś ku rewolucji, egzorcyzmowano w państwie rewolucyjnym. Bierdiajew miał prawo do swego „sowieckiego patriotyzmu”.

Miał do niego prawo przede wszystkim wobec „duchów” spod znaku Dostojewskiego i Tołstoja, bo wolno jednak wątpić czy surowa hieratyczna twarz porewolucyjnego Autokraty przesłoniła mu kiedykolwiek zupełnie porewolucyjne kłębowisko „kwiczących gogolowskich mord i gęb”, porewolucyjną Rosję martwych dusz i rewizorów. Ale nie bez zadowolenia i wewnętrzznego poklasku śledził zapewne, jak gorącym żelazem wypala się „metafizyczną dialektykę rewolucyjności” Dostojewskiego i „moralną refleksję” Tołstoja. „Dwubiegunowych” Rosjan — apokaliptyków albo nihilistów — stopiono w jedną bryłę i przekuto według wzorca sowieckiego człowieka ze stali. „Rosyjskich chłopaków”, tak skorych kiedyś do rozmów o „wszechświatowych zagadnieniach” i o „przerobieniu całej ludzkości na nową modłę”, wcielono do karnych szeregów Komsomołu, zsyłając opornych lub nieprawomyślnych do łagrów. Na śmietnik wyrzucono projekty ustanowienia królestwa Bożego na ziemi i rozplątania eschatologicznego węzła doli człowieczej: zastąpił je realizm budowy socjalizmu w jednym kraju i wzmocnienia państwa. Wierchowienkich i Szigalewów nauczono małowówności i posadzono za dyrektorskie biurka, Smierdiakowom dano zamiast lokajskich liberii podobne do nich mundury z epoletami. Do kopania Biłomorkanału zagnano tych, którzy w czasach carskich „podkopywali Wielką Rosję”. Intensywnej i przyspieszonej reedukacji poddano „fatalne i nieszczęsne cechy rosyjskie”, głównie nałóg rozpasywania „moralistycznych pretensji pod adresem losu, historii i władzy”. Przywrócono i ugruntowano „realność historii, realność cerkwi (w świeckiej inkarnacji partii), realność państwa, real-

ność narodu". Zrehabilitowano historyczne prawa następstwa i gradacji, zaszczerpiono inteligencji rosyjskiej miłość do wszystkiego co historyczne i hierarchiczne. Na ołtarzach ustawiono wszelką państwowość jako przedmiot pobożnej adoracji, uznano państwo (bynajmniej nie obumierające) za źródło dobra, opromieniono sankcją moralno-partyjną nowe państwowe i antyanarchiczne przymioty narodu rosyjskiego. Krótko mówiąc, usunięto z organizmu Rosjan „truciznę refleksji moralnej”.

Ta sowiecka Wielka Rosja nie mogła nie przypaść do gustu Bierdiajewowi: była częściowym bodaj dowodem „duchowego przewrotu i odrodzenia narodu”, którego pragnął i oczekiwał. Nie oczekiwał co prawda, że chwalebne dzieła dokona właśnie „dojrzalsza” z każdym rokiem rewolucja. Ale nie oczekiwał również, że „duchy rewolucji rosyjskiej” będą w przyszłości najzaciekłej ścigane i tępione właśnie przez rewolucję w sile swego „wieku męskiego”.

IV

„Duchy rewolucji rosyjskiej”, egzorcyzmowane i pędzone przez nią precz po zwycięstwie, wracają dziś jako jej upiory. Są jej upiorami, gdyż to ją teraz podkopują i stawiają w stan zagrożenia w imię nowej (choć nie zawsze głośno i jawnie przyzwanej) rewolucji.

Spotyka je się coraz częściej we współczesnej literaturze sowieckiej, czasem dla niepoznaki przebrane i zamaskowane, kiedy indziej w starych strojach i z odsłoniętymi twarzami. Dostojewskiego wymienia Siniawskij wśród sześciu świętych patronów sztuki zbuntowanej przeciw „realizmowi socjalistycznemu”, upiór Gogola unosi się nad jego *Lubimowem*. Refleks „gogolowskich mord i gęb” pojawia się w *Kustoszu muzeum*, znakomitej powieści Jurija Dombrowskiego. Mocniej czy słabiej, do bram pukają u wielu innych „przekłête problemy” autora *Braci Karamazow* i „moralistyczne pretensje” Tołstoja. Dwa znamienne przykłady pozwalają zobaczyć skrawek nieuchwytnego wciąż jeszcze w całości obrazu.

Ulubionym pisarzem czytającej młodzieży w Rosji jest obecnie Andriej Płatonow (1899-1951), systematycznie za życia zwalczany przez oficjalną krytykę jako „anarchista” i „nihilista”. Szczególnie żywy odzew budzi jego krótka jednoaktówka *Głos ojca*. Jest to dialog na cmentarzu. Dwudziestoletni syn „rozmawia” ze zmarłym ojcem, „kontynuatorem dzieła Watta i Diesla”. Ojciec zmarł w roku 1925, w wieku lat trzydziestu ośmiu. Rok dialogu nie jest podany, wiadomo tylko że ojciec „umarł dawno

temu", scena cmentarna odbywa się więc przypuszczalnie pod koniec lat trzydziestych. Pamiętając te daty i informacje o wieku „rozmówców”, wolno domyślać się w ojcu „kontynuatora dzieła” bardziej politycznych luminarzy niż Watt i Diesel. Ojciec był trzydziestoletnim mężczyzną w roku rewolucji, zmarł wkrótce po śmierci Lenina; syn należy do pierwszych pokoleń urodzonych po rewolucji. Instrukcja dla reżysera dość enigmatycznie objaśnia:

„Ojciec przemawia przez serce syna głosem syna; właściwie mówi syn, pyta i sam sobie odpowiada, ale głos syna nie jest podobny do głosu ojca, choć oba te głosy należą do jednego człowieka, człowieka z krwi i kości — syna, zaś głos ojca to w istocie głos syna. Na scenie głosu ojca nie powinien grać inny aktor, byłby to bowiem niewybaczalny błąd artystyczny, który przydałby scenie odcienną mistycyzmu, podczas gdy scena ta winna być potraktowana w sposób bezwzględnie realistyczny”.

„Nie przyroda jest wrogiem człowieka — oznajmia w pewnej chwili Głos Ojca — nie trudno odgadnąć jej tajemnice, wykorzystać dla dobra człowieka. Ileż się natomiast trzeba namęczyć, zanim ludzie przekonają się że działasz dla ich dobra, jak trudno ulżyć ich niedoli! Siedziałem za to w więzieniu”. Syn pyta: „Któż jest więc wrogiem człowieka?”. Głos Ojca odpowiada: „Drugi człowiek”. „A przyjacielem?”. „Też człowiek. I to jest właśnie źródło udręki i rozpacz. Gdyby ludzie mieli do czynienia wyłącznie z przyrodą, sprawa byłaby prosta i łatwa”. Ojciec „był idealistą”, teraz jego głos zza grobu jest pełen gorczy: „Moje rozumowanie było błędne, pomyliłem się. W rękach bydlaków i drani najwspanialsze osiągnięcia techniczne (umownie chodzi wciąż o „kontynuację dzieła Watta i Diesla”) obróć się przeciwko człowiekowi... Człowiek o wyższej, doskonalszej organizacji — oto tajemnica, której nie potrafiliśmy odkryć i dlatego umarliśmy pogrążeni w smutku”. Syn ślubuje: „Nawet gdybym musiał walczyć z całym światem, nawet gdyby ludzi zmogło zmęczenie, nawet gdyby zezwierzęcili, zdziczeli i rzucili się na siebie w przystępie nienawiści, gdyby zapomnieli o sensie swego istnienia, będę w samotności bronił ciebie i samego siebie”. Głos Ojca ostrzega: „Zginiesz niechybnie, mój chłopcze”. Syn nie boi się jednak śmierci. Głos Ojca, uspokojony, zamyka dialog: „Nie zdradzisz mnie nigdy i w ten sposób zapewnisz mi wieczność”. Naraz pojawia się Urzędnik, który zamierza „zlikwidować cmentarz” jako „przeżytek świadomości kapitalistycznej” i założyć na jego miejscu „park kultury, sztuki i wypoczynku, gdzie ludzie odpoczywając mogliby jednocześnie kształtować swoje charaktery”. Syn wzywa na pomoc Milicjanta. Czytelnik lub widz jednoaktówki Płatonowa, obdarzony pewną wyobraźnią,

zauważy niewątpliwie snującego się cały czas między grobami upiora „moralistycznego anarchysty” z Jasnej Polany.

W jednym z numerów nielegalnego pisma młodzieży sowieckiej *Feniks* 66 ukazał się obszerny elaborat *Rosyjska droga do socjalizmu i jej rezultaty*. Przypuszcza się że napisał go na krótko przed śmiercią wybitny ekonomista i akademik E. S. Warga, ale autorstwo nie jest stuprocentowo pewne: redagowane przez Gałanskowa pismo powieliło po prostu tekst krążący od paru lat wśród partyjnych „wtajemniczonych”. Elaborat przypisywany Wardze jest drobiazgowym i bezlitosnym bilansem bankructwa „rosyjskiej drogi do socjalizmu”, kończy się jednak propozycją (co prawda nieśmiałą i raczej sceptyczną) skorygowania błędnego kierunku marszu:

„By zmienić istniejącą dziś sytuację, trzeba doprowadzić do przełomu na szczycie. Inicjatywa nie może wyjść z dołu, gdyż masy pracujące tak przywykły do uległości, że nie są w stanie zmusić kierownictwa do zapoczątkowania realizacji tych zadań, jakie Lenin w ostatnich latach swego życia postawił przed społeczeństwem sowieckim. Komunizm nie sprowadza się do wzrostu sił wytwórczych, do produktywności pracy i kultury materialnej. Komunizm jest przede wszystkim pełnym tryumfem demokratyzmu socjalistycznego, oraz autonomicznej i swobodnej inicjatywy mas, opartej na samorządzie ludzi pracy we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Dopóki nie zacznie się stopniowo i świadomie przezwycięzać ciężkich zniekształceń demokracji socjalistycznej które nadają w gruncie rzeczy najwydatniejsze piętno systemowi społecznemu panującemu obecnie w ZSSR, nie urzeczywistni się w tym kraju żadnego komunizmu ani za dwadzieścia ani za sto lat. W warunkach aktualnych możliwa jest wyłącznie parodia komunizmu”.

Bardziej od tych niebłahych przecież słów uderza komentarz młodych redaktorów pisma:

„Nie wiemy jakie cele wytknął Lenin w ostatnich latach swego życia. Ale wiemy, że Rosja znajdzie sposób obudzenia inicjatywy z dołu, by sprokować nieodzowny przełom na szczycie. Jest to dla niej kwestia życia i śmierci. Mówi nam się, że masy pracujące przywykły do uległości. Ale my wiemy, że tkwi w człowieku siła większa od nawyku uległości. Jest nią wieczne ludzkie pragnienie sprawiedliwości i braterstwa. Pod tym znakiem dokonały się wszystkie rewolucje przeszłości i dokonają się wszystkie rewolucje przyszłości”.

Tak wraca upiór „chłopaków rosyjskich” pochłoniętych znowu debatą o „zagadnieniach wszechświatowych”, „apokaliptyków albo nihilistów”, rozsądników choroby którą Zamiatin nazywał *morbis rossica*, „pięknej rosyjskiej miłości domagającej się wszystkiego lub niczego”. Nie darmo Gałanskow mówi o sobie w liście otwartym do Szołochowa: „Jestem pisarzem z *podpolja*, w sensie *podpolja* ludzkiego, jak u Dostojewskiego”.

V

Markiz de Custine ma wiele tytułów do niesłabnącej wciąż admiracji ze strony ludzi zajętych zawodowo czy amatorsko próbami rozwikłania „zagadki Rosji”, słusznie czytuje się i cytuje nadal jego *Listy z Rosji* jako wzór przenikliwości i ostrości spojrzenia. Ale w czasach owej pamiętnej podróży, w piętnaście zaledwie lat po spisku dekabrystów, tylko jedno oko markiza działało sprawnie i widziało wybornie „kraj w którym życie społeczne jest permanentną konspiracją przeciw prawdzie”. Było jeszcze za wcześniej by zaostrzyło się także drugie i ujrzało pod powierzchnią kraj podziemny, w którym życie społeczne jest permanentną konspiracją w obronie prawdy. Nawet za cenę losu rewolucjonisty, spiskowca, wroga porządku, zbrodniarza obrażającego majestat, Polaka, a wiemy dobrze jaki okrutny to los.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

« Kolędy polskie »

Fenomen PAX'u ma już od szeregu lat swą obfitą literaturę tak polską jak obcojęzyczną, pełną zresztą wzajemnie sprzecznych ocen i opinii, w podobnej niemal mierze co (uwzględniając oczywiście „proporcje rzeczy”) literatura na temat wolnomularstwa.

Istotnie, tajemniczość tej organizacji, wielopostaciowość jej działania i nader niejasny status, w znakomitej mierze wspomagają wyobraźnię interpretatorów i egzegetów nie przyczyniając się przy tym do rozjaśnienia mroku sprzyjającego niewątpliwie intencjom „stworzyszenia”.

Wydaje się jednak że rzeczywistość jest tu o wiele bardziej złożona niż jakikolwiek obraz „powerzchni rzeczy”. Obecna sytuacja zdaje się przypominać w wielkiej mierze ową goethowską „miotłę czarnoksiężnika”, która raz wprowadzona w ruch stała się w swym działaniu co najmniej ambiwalentna.

Nie ulega wątpliwości że w myśl założeń partyjnych PAX miał spełnić rolę „Prokuratorii Świętego Synodu” — instytucji która Piotrowi I-mu pozwoliła uczynić z rosyjskiego prawosławia narzędzie państwowej polityki.

Oczywiście inspirując się tym podniosłym wzorem (instytucje komunistyczne czerpały i czerpią nader obficie z tradycji caratu i rosyjskiej państwowości — warto by temu poświęcić szczegółowe studium historyczne) PAX musiał zostać wyposażony w środki i możliwości.

Partia decydując się na wykorzystanie „fideistycznego idealizmu” dla swych celów i jednocześnie świadoma niemożności jego fizycznej likwidacji zmuszona była przyznać dość szeroki margines dopuszczalnego działania.

Drugą stroną tego „mariażu z rozsądku” kierowały zapewne dość złożone przesłanki — jakkolwiek w PAXie nie brakowało i nie brakuje wszelakiego autoramentu spryciarzy i „spłyciarzy” (wyrażenie Witkacego) byłoby przesadą twierdzić, że oni właśnie są jego czynnikiem decydującym.

Oczywiście PAX otrzymując wiano w postaci koncesji na „pluskwę kapitalizmu” (niemal w stylu Majakowskiego) stał się oazą (przez długi czas jedyną) sensownego i efektywnego działania gospodarczego, w dalszej perspektywie dostarczając statutowego wzoru następnym, dziś kwitującym organizmom („Libella”, „Ars Christiana” itd.)...

Dziś, bilansując po dwudziestu z górą latami jego aktywa i pasywa, stwierdzić trzeba, że obiektywnie (pewnie najzupełniej wbrew woli) są one wysoce antypartyjne.

Podstawowy cel — przemawianie w imieniu polskiego katolicyzmu i podporządkowanie sobie jego zorganizowanego organu w postaci Kościoła jest dziś najdalszy od osiągalności.

Również prasa PAXu będąca kalką prasy partyjnej („bo my to właściwie rozpisujemy „Trybunę Ludu” dodając wiadomości religijne” — powiedział mi kiedyś jeden z redaktorów „Słowa Powszechnego”) — jest typową „cegłą” zalegającą kioski (w przeciwieństwie do rozchwytywanego „Tygodnika Powszechnego”) i nie odgrywa żadnej istotnej roli w kształtowaniu opinii.

Oczywiście doktryna i program PAXu były i są jasne... Głosząc uznanie autorytetu Kościoła w sprawach religijnych rozumiano przez nie możliwie zawężony zakres spraw katechizmowych, by nie rzec czysto rytualnych, oderwanych od istniejącej rzeczywistości. Ona właśnie miała stanowić wyłączną domenę PAXu.

Rozwój wydarzeń poszedł, jak wiemy, innymi torami. Być może, że „partyjny dyrektoriat” zdaje sobie od dawna sprawę z niepowodzenia wszystkich interesujących go celów, jednakże istnieniu PAXu nic chyba nie zagraża. Fakt że nie pozwolono nigdy na zmianę jego charakteru, z „kameralnej” postaci „stowarzyszenia” na organizację bardziej masową, zdaje się być dodatkowym czynnikiem jego trwałości. PAX to zresztą chyba w większej mierze nie owa ekskluzywna grupa członków „stowarzyszenia”, ale raczej ludzie związani — w ten czy inny sposób zaangażowani — w działalność jego rozlicznych organizmów.

Nie mam tu oczywiście na myśli ludzi zapewniających sprawne działanie jego przedsiębiorstw przemysłowych. Ci ostatni są

niemał wyłącznie „zawodowcami” dla których jedynym magnesem są normalniejsze stosunki i znacznie wyższe zarobki niż w gospodarce państwowej. Ludźmi kształtującymi w znacznej mierze oblicze PAXu, nawet nie należąc doń formalnie, są w pierwszym rzędzie pracownicy i współpracownicy jego „Instytutu Wydawniczego”. I tu znajdujemy się w punkcie niewątpliwie interesującym, gdyż o ile publicystyka prasy PAXu nie odznacza się na ogół nawet w dziedzinach „neutralnych” wysokością lotów czy oryginalnością myśli, o tyle działalności „Instytutu Wydawniczego” trudno odmówić posiadania rzeczywistych ambicji, a często nawet autentycznej odwagi. Na tym też zdaje się polegać trwała wartość jego dorobku.

Oczywiście trudno zaprzeczyć, że wśród produkcji wydawniczej pokaźny odsetek stanowi grafomania czystej wody, tak obca jak rodzima, ale nie o to w końcu przecież chodzi. Fakt bowiem niewątpliwy, że obok pisarzy-konformistów, dla których sztyld katolicyzmu stwarza sytuację równie komfortową w sensie życiowym jak intelektualnym, PAX po raz pierwszy udostępnił polskiemu czytelnikowi ogromny dorobek chrześcijańskiej myśli i kultury i to zarówno w postaci przekładów „klasyki” dawnej i współczesnej, jak wydań dorobku polskiej myśli inspirowanej filozofią religijną.

W tej też dziedzinie ma on na swym koncie szereg cennych „odkryć”, jak choćby kapitalne tomy ascetycznej prozy Konińskiego — „Ex Labiryntho” i „Nox atra”. Dzięki temu polski czytelnik miał stosunkowo łatwy dostęp do myśli stanowiącej tak czy inaczej przeciwny biegun „ideologicznego szkolenia”. Warto też przy tym dodać, że niejednokrotnie w PAXie znajdowali „schronienie” oraz możliwość druku, i tym samym egzystencji nie tylko pisarskiej, autorzy którym jeśli już nie sprzeciw oficjalny (zakaz druku) to niemniej skuteczny „prywatny telefonik” tych lub innych wielkorządców „socjalistycznej kultury” zamykał drogę czyniąc bezprzedmiotowymi negocjacje z wydawnictwami państwowymi.

Z tego właśnie ambitnego nurtu wydawniczej działalności wywodzi się obecna publikacja — monumentalny zbiór polskich kołęd średniowiecza i renesansu. Za jego bezpośrednią inspirację uznać trzeba wydaną poprzednio w opracowaniu Podsiada i Jastrzębskiego „Antologię Modlitwy Poetyckiej”. Ten ostatni zbiór dostarcza ważnemu czytelnikowi poza znakomitym wyborem tekstów także dużo przewrotnej radości, wtedy zwłaszcza gdy znajduje on poezję o autentycznej religijnej inspiracji sygnowaną nazwiskami poetów obdarzonych za życia czy pośmiertnie „honorową legitymacją partyjną” (K. I. Gałczyński, Julian Tuwim)...

„Kołędy Polskie” jakkolwiek są kontynuacją akcji publikowania pomników polskiej kultury religijnej, mają też jednocześnie dalej sięgające ambicje jako dzieło naukowe. Publikacja ta ma na celu ukazanie całokształtu zachowanego repertorium tej szczególnej formy poetycko-muzycznej jaką jest kołęda polska i

łacińska kultywowana na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Tłem publikowanych tekstów jest szata graficzna oparta na reprodukcjach miniatur i grafiki książkowej o tematyce Bożego Narodzenia wraz z jej ikonograficzną interpretacją. Oczywiście tak obszerne potraktowanie tematu wymagało udziału specjalistów szeregu dziedzin jak historia literatury, filologia polska i łacińska, muzykologia, historia sztuki oraz grafika*.

Zespół realizujący to wydawnictwo (następne tomy mają obejmować okres baroku, klasycyzmu i romantyzmu) składa się z autorów reprezentujących niewątpliwą autorytet naukowy a jednocześnie są to poważnie ludzie stosunkowo młodzi, w pełni twórczego okresu działalności, w traktowaniu przedmiotu dalecy tak od niedojrzałości, jak „luminarskiej” powierzchowności.

Publikacja „Kolęd Polskich” składa się z dwu tomów; I-szy zawiera teksty poetyckie w raz z komentarzem historycznym i filologicznym oraz ilustracje będące reprodukcjami miniatur polskich średniowiecznych i renesansowych kodeksów iluminowanych oraz grafiki renesansowych oficyn drukarskich, przeważnie krakowskich. Tom drugi zawiera teksty muzyczne kolęd w transkrypcji na współczesną notację oraz obszerny wstęp i komentarz muzykologiczny.

Wydawnictwo w ten sposób przygotowane służy z natury rzeczy wielu celom — jest jednocześnie dziełem naukowym, dokumentem dawnej kultury oraz zbiorem poezji, muzyki i reprodukcji plastyki dostępnym każdemu o pewnym przygotowaniu kulturalnym, zainteresowaniach i wrażliwości estetycznej. Fakt ten oraz względy komercyjne sprawiły, że przed autorami stanął szereg problemów trudnych do rozwiązania, niekiedy stanowiących wręcz przysłowiową „kwadraturę koła”. Nie we wszystkich też wypadkach zostały one rozwiązane w sposób zadowalający. Oczywiście sprawą stosunkowo prostą było opracowanie specjalistycznych komentarzy filologicznych czy źródłoznawczych zajmujących niewielką stosunkowo objętość i adresowanych do specjalistów, możliwych natomiast do pominięcia przez większość czytelników. Istotny natomiast problem stawały przed autorami ogólne wprowadzenia historyczne do poszczególnych zagadnień. Umiejętność jasnego i klarownego przedstawienia problemów historycznych, w sposób nie wymagający od czytelnika specjalistycznego przygotowania, a wolny jednocześnie od uproszczeń i „popularyzatorstwa” jest rzadka i chyba coraz rzadsza w polskim świecie nauki. Pod tym też względem jedynie

* J. Nowak-Dłużewski — opracowanie historyczno-literackie; S. Nieznowski — zebranie i układ materiału; M. Karplukówna — opracowanie językowe tekstów polskich; H. Kowalewicz — identyfikacja tekstów łacińskich; D. Turkowska — opracowanie tekstów i wariantów łacińskich; K. Wilkowska-Chomińska — opracowanie muzyczne; J. Niziński — grafika nutowa; A. Borecki — opracowanie graficzne. „Instytut Wydawniczy PAX, 1966 (w rzeczywistości książka ukazała się w końcu roku 1967).

tekst Zofii Rozanow (analiza stylistyczna i ikonograficzna miniatur i grafik) nie przynosi najmniejszego zawodu.

Autorka, mająca za sobą już znaczną ilość publikacji z tej dziedziny („Miniatury Graduału Jana Olbrachta”, „Tematy muzyczne w miniaturze polskiej”, „Rozmyślania Dominikańskie”), reprezentująca nowoczesny kierunek interpretacji form plastycznych tamtych epok poprzez dotarcie do inspirujących je tekstów teologicznych, filozoficznych czy poetyckich, dokonała przystępnie sformułowanej a jednocześnie znakomicie uargumentowanej analizy, uwypuklając istotne wartości polskiej plastyki ilustracyjnej i jej wielostronne związki z całkoształtem kultury epoki.

Fakt zrealizowania publikacji przez PAX pozwolił autorom na nieliczenie się z „tabu” wydawnictw państwowych, gdzie wszelkie opracowanie dzieł sztuki religijnej musi pomijać tkwiące u ich podłoża zjawiska kultury religijnej, jeżeli już nie doszukiwać się za wszelką cenę jawnej i ukrytej „laickości” drogą najbardziej karkołomnych „egzegez”. Autorzy wydający w PAXie pod tym choć względem wolni są od ograniczeń. Niestety jednak dwa dalsze teksty wprowadzające: Juliusza Nowak-Dłużewskiego (do tekstów poetyckich) i Krystyny Wilkowskiej-Chomińskiej (do tekstów muzycznych) nie posiadają tych samych walorów co tekst poprzednio wymieniony. Pierwszy z nich zbyt oscyluje między popularyzatorstwem a specjalistyczną historią literatury, drugi natomiast nadmiernie obciążony „erudycyjnym” balastem często traktuje o rzeczach odległych od istotnego zagadnienia. W końcu jednak najistotniejsze są same materiały; czytelnik otrzymuje tu niemal kompletny zbiór znanych dziś kołęd kulturowanych przez polskie późne średniowiecze i renesans, a specjalista dodatkowo obszerną dokumentację konkordancji i aparatu krytycznego.

Lektura zbioru ukazuje dzieje kołęd — zarówno tych które do dziś trwają w żywej tradycji, jak i tych które od dawna zapomniane odnajdujemy w rękopisach czy starych drukach. Ukazuje on jednocześnie związki staropolskiej kultury z twórczością innych środowisk, niekiedy bliskich jak czeskiego lub niemieckiego, niekiedy odległych jak w wypadku Francji lub Hiszpanii.

Mimo że „Kołodóm Polskim” można zarzucić zupełną kompletność materiału, a w zakresie opracowania, zwłaszcza części muzycznej, także wątpliwości co do sposobu redakcji transkrypcji, jest rzeczą oczywistą że mamy tu do czynienia z wydawnictwem w pełni udanym tak pod względem wyboru tematu jak jego opracowania. Inicjatywy tego rodzaju niewątpliwie zmniejszają dysproporcję między stanem posiadania polskiej kultury a udostępnieniem jej wartości. Jest to tym bardziej ważne, że ostatnie lata przyniosły regres w tej dziedzinie tym bardziej rażący na tle działalności pełnej inicjatywy praskiej „Artii” czy licznych ostatnio wydawnictw poświęconych zabytkom staroruskiej sztuki. Daleka wprawdzie jeszcze droga do udostępnienia w znacznej chociaż mierze wartości staropolskiej kultury, jednak

podobne do obecnej inicjatywy sygnalizują przynajmniej jej istnienie.

„Kolędy Polskie” stały się mimo dosyć wysokiej ceny *best-seller'em* na krajowym rynku czytelniczym. Fakt ten jest też w pełni uzasadniony. Album zaspakaja wymagania wytrawnego bibliofila i przyznać trzeba, że zrobiono wszystko aby przezwyciężając fatalny obecnie techniczny stan polskich drukarni uzyskać bardzo dobre barwne reprodukcje miniatur i ogólną staranność edytorską. W części muzycznej ich ekwiwalent stanowi artystyczna grafika nutowa Jerzego Nizińskiego. W sumie publikacja ta jest także w pełni godna uwagi czytelnika poza granicami Polski.

Adam SUTKOWSKI

Uczniowie Machiavella

„Zobaczysz braciszku”, powiedział niedźwiedź Baloo do Mowgli’ego, „jak cała dżungla podda się przynajmniej jednemu prawu”. W opowiadaniu Kiplinga „prawo dżungli” zawiesza prawo silniejszego na czas wyjątkowy, gdy zabrakło wody. Wyrażenie to uartało się jednak w odwrotnym znaczeniu i określa najczęściej stan bezprawia. Podobny los spotkał Machiavella, ponieważ pisał o polityce bez ogródek, z uderającą szczerością. Minęły wieki zanim zrozumiano, że celem jego nie było wychwalanie siły i podstępów. Był przede wszystkim patriotą włoskim *avant la lettre*, w czasach gdy mało kto w jego kraju rozumiał potrzebę zjednoczenia Włoch, aby nie były „bardziej ujarzmione od Hebrajczyków, bardziej uciemiężone od Persów i bardziej rozproszone od Ateńczyków”.

Trzeba mieć nadzieję, że Leon Orłowski będzie miał więcej szczęścia, gdyż napisał wartościową książkę „O Polityce” takiej jaką się naprawdę uprawia, a nie o takiej jakiej byśmy pragnęli. Niebezpieczeństwo, że jego praca będzie pomijana lub przeinaczana istnieje z natury rzeczy ponieważ patrzenie prawdziwie w oczy klóci się z przyrodzoną skłonnością człowieka do unikania przykrej rzeczywistości. Ponadto autor wybrał metodę trudną, wysuwając na początku ujęcia skrajne, które następnie wyjaśnia i łągodzi.

Można by się z tym i owym uogólnieniem pokłócić. Na przykład, że „zakłamanie jest znamię naszych czasów”, że „polityka jest jedynie walką o władzę”, lub że od czasów Tucydya-

desa (piąty wiek przed Chrystusem) nic się nie zmieniło. A przecież zakłamanie jest odwieczną cechą postępowania człowieka w polityce; nie chodzi w niej też jedynie o walkę o władzę ale także o to jak się tej władzy używa. W tych problemach od czasu Tucydýdesa zmieniło się sporo. Nie w naturze człowieka — i tu rację mają pesymiści: Machiavelli, Spengler czy Orłowski — ale w korzyściach jakie polityk może wyciągnąć z konsekwentnego okłamywania innych. W demokratycznych społeczeństwach, przodujących pod względem rozwoju materialnego i kulturalnego, zakłamanie stało się przeważnie złą polityką, gdyż nikt nie ma już monopolu informacji i środków trwałego maskowania fałszu. Autor przyznaje tu zresztą pewien postęp od czasów greckich i formułuje regułę, że „możność użycia fałszu w polityce jest odwrotnie proporcjonalna do uświadomienia społeczeństwa”. Tę samą regułę można by zastosować do tezy, którą autor chyba zbyt pracowicie uzasadnia — mianowicie, że państwem rządzi zawsze jakaś mniejszość. Wydaje się to oczywiste. Autobusem nie może kierować komitet. Władza musi być delegowana. Zagadnienie polega raczej na tym jak taka „mniejszość rządząca” powstaje, jak rządzi i czy można ją zmienić bez użycia siły. Mimo wad ustrojów demokratycznych — w polityce lepiej nie szukać perfekcji — wyborca może tego dokonać. Jest on teraz na tyle zorganizowany, organizacje są tak zróżniczkowane, że trudno już dziś mówić o stałym wyzyskiwaniu rządzonych przez rządzących. Z drugiej strony grupa rządząca przestała być klasą, nie jest już tworem zwartym i niezmiennym i zatem nie może być z reguły wyzyskiwaczem masy wyborców. Dobór rządzących nie jest już przywilejem arystokracji czy jakichś „dwustu rodzin”. Churchill przyszedł na świat jako wnuk księcia, ale ojciec Clemenceau był lekarzem na prowincji. Kennedy był synem milionera, ale Woodrow Wilson, Truman, Eisenhower, Johnson, Attlee, Harold Wilson, Poincaré, Vincent Auriol czy de Gaulle nie urodzili się w żadnym *establishmencie*.

Tych kilka uwag w niczym nie ujmuje wartości książki napisanej z rozmachem i na podstawie rozległej znajomości historii i tematyki politycznej. Autor ma tu przewagę nad niejednym pisarzem politycznym gdyż nie jest tylko uczonym teoretykiem. Jako pracownik Polskiej Służby Zagranicznej od 1919 roku brał czynny udział w różnych aspektach życia politycznego i miał szerokie pole do obserwacji w Centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz na placówkach konsularnych i dyplomatycznych w Ameryce, Anglii i na Węgrzech gdzie był ostatnim posłem niezależnego rządu polskiego. Był w armii rosyjskiej w czasie pierwszej wojny światowej, przeżył w Rosji obie rewolucje 1917 roku i brał udział w kampanii 1920 roku jako ochotnik przybyły ze Stanów Zjednoczonych. Jako historyk dał się poznać ogłaszając pierwszą poważną monografię o Beniowskim, wynik wielu lat prac badawczych.

Z tego bogatego doświadczenia praktycznego, w połączeniu

z wielką erudycją polityczną i ekonomiczną zrodziła się książka „O Polityce”. Podobnie jak Spengler, Orłowski jest zwolennikiem analogii historycznej jako metody badań politycznych. Słusznie jednak podkreśla, że nie wszystkie przepowiednie Spenglera się sprawdziły. Dyktatury, „cezaryzmy” totalistyczne, co prawda powstały (Spengler to zapowiadał jeszcze przed pierwszą wojną światową, ale utrzymały się tylko w postaci komunizmu. To prawda, że w polityce tylko siła i tylko fakty mają znaczenie. Ale na siłę w ramach polityki składa się dziś znacznie więcej czynników niż na przełomie piętnastego i szesnastego wieku. Biorąc to pod uwagę Spenglerowi — w porównaniu z Machiavellim — brak perspektywy. Jest tylko pesymistą, wówczas gdy Machiavelli rozumiał wszystkie arkany polityki, a więc na przykład także praktyczną wartość humanitarnego czynu. Obaj, a wraz z nimi Orłowski, odrzucają w polityce złudzenia i pobożne życzenia: prawo nie może się ostać bez siły. Machiavelli, jak wyjaśnia Orłowski, pragnął zastosowania etyki chrześcijańskiej w polityce, ale nie znalazł wyjścia ze sprzeczności pomiędzy tą etyką a obowiązkiem „księcia” uciekania się do siły. Gdy chodzi o bezpieczeństwo państwa nikt tej sprzeczności dotąd całkowicie nie rozwiązał.

Od czasów Machiavella obowiązki „księcia” uległy jednak wielu komplikacjom. Z Rewolucji Francuskiej wyrosło zrozumienie, że „polityka ma za zadanie także poprawić los mas... głównie przez sprawiedliwy podział dochodu społecznego”. Podnosząc to autor chyba niesłusznie przypisuje zasługę tego „wyłomu” w koncepcjach Machiavella Marksowi. Trudno się też zgodzić z uogólnieniem, że „...intelektualiści w swej większości albo są zwolennikami marksizmu, albo też popierają go ze względów utylitarnych...” Niezależnie od trudności określenia kto właściwie jest intelektualistą, na miano to nie zasługują przecież tylko lewicowcy. Hitlerowiec Alfred Rosenberg, monarchista Charles Maurras, historyk Pierre Gaxotte czy konserwatysta James Burnham (niezależnie od tego co się myśli o ich poglądach) byli lub są intelektualistami. Tak czy inaczej w tym „wyłomie” leży klucz do zrozumienia zmian jakie zaszły w strukturze i wykonywaniu władzy od czasu Machiavella, w czym zdaje się nie zorientował się Spengler. Chociaż nie wszyscy marksiści są komunistami, wywodzący się ze szkoły Marksa komunizm określa w praktyce dążenia do sprawiedliwego podziału dochodu społecznego i stanowi realizację najbardziej ponurych przepowiedni Spenglera.

Może najbardziej celne są w książce Orłowskiego rozdziały omawiające wzajemny wpływ problemów politycznych i ekonomicznych: o socjalizmie, komunizmie, neo-kapitalizmie i stosunku władzy do własności. Daje on doskonałe ujęcia niektórych teorii ekonomicznych, w szczególności Marksa i Keynesa i przekonywująco uzasadnia potrzebę ograniczonej ingerencji państwa w życie gospodarcze. Można by na tym tle zaryzykować twierdzenie, że między absolutną władzą państwa nad życiem

ekonomicznym a jego interwencją jako powściągliwego arbitra i regulatora mieści się różnica między wolnością a niewolą obywatela. Rozdziały te przynoszą potwierdzenie, że kapitalizm okazuje się zdolny do ewolucji. Natomiast mimo widocznych wysiłków komunizm nie dał dotąd dowodów, że potrafi się gospodarczo racjonalnie zorganizować. Dotychczasowe osiągnięcia materialne komunizmu powstały tak samo jak piramidy egipskie: kosztem bezlitosnego wyzysku człowieka. Orłowski pisze: „... komunizm do dnia dzisiejszego boryka się z trudnościami znalezienia definicji wartości i ceny... W systemie komunistycznej produkcji nikt nie wie co dany produkt kosztował, a próby wprowadzenia „ceny” spotkały się ze słusznym zarzutem wprowadzenia niesocjalistycznego pojęcia rynku i w ogóle wchodzenia na drogi kalkulacji kapitalistycznej”.

Orłowski nie wierzy w przyszłość ustrojów komunistycznych jeżeli nie powrócą „do bardziej humanitarnych i humanistycznych metod”. A jeżeli zdołają powrócić — dodajmy od siebie — to co w nich pozostanie z komunizmu?

Można się nie zgadzać ze wszystkim co pisze Orłowski, ale lektura jego pracy wzbogaca wielką ilością trafnych porównań historycznych i oryginalnych rozważań o poglądach polityków, historyków i ekonomistów — od Tucydidesa po dzień dzisiejszy. Z książki wyłania się też obraz człowieka. Orłowski jest większym realistą od Spenglera i uczniem Machiavella, który stara się skonfrontować jego myśli z duchem i przeciwnościami naszych czasów. Orłowski wychodzi z założenia, że „polityka jest sztuką”, a zatem zależy od różnic w umysłach i charakterach uprawiających ją ludzi. Sceptyczny pogląd na życie łączy ze zrozumieniem, że człowiek musi w coś wierzyć, do czegoś dążyć i stąd rola w polityce „nieracjonalnych” mitów utrzymujących spoistość społeczeństw. Dalszą logiczną przesłanką jest ocena zawłości gry sił, nie polegającej tylko na gromadzeniu rakiet kosmicznych ale także na wyczuciu nieuniknionych impoderabiliów. Bez tej korektywy rządy dochodzą do błędnych obliczeń i do rozwiązań które — jak po drugiej wojnie światowej — okazują się równie niemoralne jak nieskuteczne.

Wnikliwą i przemyślaną postawę Orłowskiego określa może najlepiej zdanie nadające się świetnie na motto jego książki: „Żadna w ogóle teoria dotycząca polityki czy ekonomiki, a więc życia w jego najpełniejszej formie, nie może być absolutna i jest w większym lub mniejszym stopniu względna”.

Jan LIBRACH

Lechoń i jego dziennik

Dziennik Lechonia, jakby się go nie oceniało, jest literackim wydarzeniem w tak ubogim w dzienniki intymne polskim piśmiennictwie; jako świadectwo ludzkie jest dokumentem wstrząsającym.

Budzi we mnie tyle uczuć sprzecznych, od kategorycznego sprzeciwu, irytacji po wzruszenie i współczucie że pisząc o nim muszę myśli moje doprowadzić do końca, nie tylko żeby powiedzieć co myślę, ale żeby samemu *wiedzieć*, zdać sobie sprawę. Niech mi przyjaciele poety wybaczą, jeżeli będę niesprawiedliwy i brutalny, ale jak pisać inaczej o umarłym jak właśnie ani jego ani siebie nie oszczędzając.

Lechoń, który sam obiektywizmem nie grzeszył i właśnie mojego obiektywizmu nie znośił, może by mi to co napiszę wybaczył.

Linia podziału

Mówi się tyle o liniach podziału między pokoleniami; linie podziału między ludźmi innej formacji tego samego pokolenia (Lechoń był zaledwie trzy lata ode mnie młodszy) zdają mi się jeszcze mocniej zarysowane; specjalnie w młodości głusi jesteśmy wobec naszych współczesnych, okrutnie pewni swoich racji.

W latach dwudziestych nie czytałem Lechonia. Do Polski, o której właściwie pojęcia nie miałem, przyjechałem „barbarzyńca ze Wschodu”, z Rosji, po przebyciu tam dwóch rewolucji i już z Błokiem i Majakowskim w zanadrzu, wiersze Skamandra nie dotarły do mojej świadomości, te które przeczytałem zdały mi się pretensjonalne, grymaśne, to był świat, klimat absolutnie mi obcy.

Mój chrzest współczesnej polskiej literatury to był Tytus Czyżewski i „Nuż w bżuchu” Brunona Jasieńskiego! Do wielkiej polskiej poezji szedłem od Wyspiańskiego, którego czytałem w gorączce (koledzy moi, „arcynowocześni”, uważali to za starzyzną), a potem był Norwid.

Wiersze Lechonia trafiły do mnie wiele lat później: te z pierwszej eksplozji (zapłacił za nie, jak pisze, paru latami choroby nerwowej), które zyskały mu sławę nieledwie wieszczą, zdały mi się epigońsko romantyczne, nie do czytania, a tomik następny po „Karmazynowym poemacie” — „Srebrne i Czarne” — zimny, pseudoklasyczny, nie to że nie czułem magii tych wierszy, więcej — *nie wierzyłem im*, te śmierci, te miłości — to był papier. Nie myślę wcale bronić mojego ówczesnego do poezji Lechonia

stosunku, moje pierwsze uprzedzenia były związane z moją wówczas obcością i ignorancją nie tylko klimatu, w którym te wiersze powstały, ale całej genealogii poetyckiej Lechonia, to znaczy zaledwie mi wówczas znanej wielkiej poezji polskiej.

W 39 roku, zebrani w rocznicę Niepodległości w Starobielsku, brudni, zawszeni, na dnie nieszczęścia, wysłuchaliśmy wspaniałej deklamacji trzech wierszy Mickiewicza, Or-Ota i Lechonia. Mickiewicz i nawet Or-Ot — to był wstrząs nieopisany — trzeci wiersz Lechonia — Piłsudski (te „opary liliowe”, „białe margrabiny” „potępieńcze krzyki” „lansjery-bohaterzy”) — zdał mi się jeszcze wtedy, i właśnie wtedy, *nie do zniesienia!* Nie mogłem zrozumieć mojej reakcji tak gwałtownie negatywnej: że fałsz, że grymasy czy że wprost *inny język?* Linia podziachu!

Jeżeli o tym piszę, to dlatego że Lechoń musiał to czuć i jakże się dziwić, że mi był niechętny. Poznałem Lechonia osobiście w najgorszej jego epoce — epoce złudnych sukcesów i snobizmów w Paryżu lat trzydziestych. Zawsze w tłumie, agresywny, głośny, światowy i dyplomatyczny drażnił mnie, ani chwili nie czułem w nim poety — przecie raz jeden: wracałem od Godebskich gdzie się nieraz spotykaliśmy, odwoził mnie taksówką w nocy. W chwili gdy już miałem wychodzić z auta usłyszałem jego głos ściszony, najprostszy — nie widziałem jego twarzy — powiedział mi nagle swoim fatalnym francuskim akcentem parę zaledwie wierszy, parę zdań z Mallarmégo. To był dla mnie szok. Ależ Lechoń *jest* poetą — pomyślałem.

Po Paryżu lat trzydziestych spotkałem Lechonia dopiero w 50-tym w New Yorku. Miałem już do jego poezji stosunek o wiele bardziej złożony, za nami był potop, ileż spraw i wspomnień mogło wtedy nas połączyć.

Jednak moje próby zbliżenia się do niego (mieliśmy wówczas wspólnych bliskich przyjaciół) nie powiodły się. W rozmowie zdawał mi się to zamurowany, to banalnie błyskotliwy, moje próby prawdziwego kontaktu obrażały go, uważał to za brak form z mojej strony.

Dziennik

Jego dziennik to odkrycie Lechonia, do którego nigdy za życia dotrzeć nie potrafiłem. Pierwsze wrażenie przy kartkowaniu, posługując się indeksem, poprzez nazwiska znajomych (najgorsza metoda) było fatalne: nieustanne ataki na żywych i umarłych, niemożliwy poziom, wprost ubóstwo, intelektualne: „Faust to świnia niemiecka”, „Mitia Karamazow zawsze mnie śmieszył, wolę Kmicica” itd., itd. Wciąż powtarzane sztance, ani świeżym okiem zobaczone ani na nowo choć opukane — wprost bezmyślne, i kliny w głowie. Kiedy mówię „bezmyślne” chodzi mi o tę myśl „która sama myśli”, chodzi mi o ten oddech myśli niezależnej od woli, bez z góry przyjętego szlaku, która zdaje

mi się wtedy dopiero myślą nie stosowaną, naprawdę myślą.

(„Zważcie Panowie, głowa to jest taka, że sama myśli i wtedy jak powiedziałem, zadrżałem cały” — mówi jeden z bohaterów Mrożka).

Jakaś nienawiść, czy odwrócona miłość do Francji „w której nic poza łańcem nie jest wstanie trafić do powonienia kulturalnych Francuzów”, Mauriac to niewyżyty truciciel, Maritain — wyrzutek katolicyzmu (i jeszcze gorzej).

(Atak na Maritaina specjalnie mnie dotyka: w marcowej „Kulturze” z 1949 roku pomieściłem artykuł „Czy Maritain miał rację?”, gdzie zacytowałem jego zarzuty postawione Polsce — zarzuty antysemityzmu i pogardy dla Rosji. Te zarzuty, jakże słuszne ale zbyt ogólnikowo ujęte, i wypowiedziane zaraz po Powstaniu Warszawskim — mnie zabołały. Widać o tym mówiliśmy z Lechoniem, bo wywołało to z jego strony nie do powtórzenia burzę reakcji i wymyślań na człowieka tak wielkiej wartości, wcale nie wroga Polski, człowieka, któremu zresztą sam wiele zawdzięczam).

Ale te wszystkie wymyślania wyrastały z gwałtownej fanatycznej i ciasnej nie tylko miłości ale *religii* polskiej, Polski zawsze heroicznej, zawsze niewinnej. Tej jego wizji Polski, nie tylko nie wolno było w jakikolwiek sposób ruszyć, nie wolno było Polski kochać inaczej. Stąd jego pasja do „Kultury”, wszyscy jej pracownicy gorsi od zwykłych zdrajców, godni zawisnąć na gałęzi. Z wyzwiskami Lechonia nie może być nawet polemiki.

Czytając te Lechoniowe wyznania powraca mi jeden z najpiękniejszych dla mnie jego wczesnych wierszy o strofach bluźnierczych, gdzie pisze o Polsce*.

„Wydała mi się kościotrupem ze wszystkich kurhanów”

Ten polski monolit cnót, okadzany bez cienia myśli krytycznej — ależ to jest „kościotrup ze wszystkich kurhanów”.

Postanowiłem jednak Dziennik przeczytać od deski do deski, dał mi on wówczas, ku mojemu zdziwieniu, obraz Lechonia zupełnie inny, złożony. Bez śladu z mojej strony przymusu stał mi się bliższy. Niewątpliwa szczerość, ani śladu gładziny dziennika Gide’a który swój komponował, spojrzenie na siebie samego krytyczne, nieraz bardzo bolesne, nieustanny wysiłek by utrzymać nurt pracy wciąż zrywany. Przy tym ta pilność grzecznego pacjenta na odwołaniu codziennego zadania, codziennej strony dziennika, zabiegu terapeutycznego który mu doktor polecił kazać ten dziennik pisać. Lechoń zapisuje codziennie plan swych wysiłków, swoje porażki i to siedzenie bezsilne przez dwie godziny przed białą kartką papieru, gdy ma jednocześnie sto pomysłów, dramatów, wierszy, powieści, które co raz to postanawia napisać i nie może się na to zdobyć. Obok niewymyślnych urąganiań czytam akcenty przeciwne, strony ciepłe, gdzie Lechoń pisze o przyjaciółach; kiedy padają słowa „Kazio Wierzyński”, „Zosia

* „Herostrates”.

Kochańska" kiedy pisze z radością i zachwytem o poezji Wierzyńskiego, kiedy pada słowo Piłsudski, czy wspomina dzieciństwo i dom rodzinny, oddech zdania się zmienia, styl staje się bardziej giętki, płynny. Lechoń, który dla wielu Polaków dwudziestolecia Polski niepodległej był czołowym polskim poetą, odżywa tu nieumalowany, bez koturnów i mówi o sobie bez śladu patosu. Poeta niszczoney powolnie od wewnątrz chorobą, przed której nawrotem się broni. Może mści się na nim ta zdrada poezji, o której co raz to wspomina, zdrada na rzecz pasji bezpłodnych, towarzyskich, światowych, pasji błyszczenia, które robiły z niego w Warszawie najbardziej wyczekiwanego gościa*.

Zdrady? Ale kto z artystów nie zdradza. Baudelaire, jak opowiada Delacroix, bał się gadania jak rozpusty; gdy wchodził do jego pracowni zastrzegał się, że nie będzie mówił a potem mówił szereg godzin z rzędu.

Jego praca, upór w budowaniu wierszy, w pisaniu ogromnej powieści, którą porzuci, ta praca nad wierszem, hafty mozolne rytmów coraz innych i ten wewnętrzny nieustanny z sobą monolog:

„Naśladować Mickiewicza nie mając jego żaru, jego wiary i miłości i nienawiści z tego może wyjść tylko pseudoklasyczna strofa — Koźmian", pisze Lechoń. A dzień później notuje „kłęska". „Parę godzin kręcenia na wszystkie strony czterech nieudanych linijek. Nic z tego, codziennie gorzej". Czy w innym miejscu, gdy próbuje pisać wiersz „z mgiełką i niedomówieniami" jak to „niektórzy durnie uważają że tylko tak można pisać" i zaraz dodaje po objechaniu wszystkich „grafomanów od Norwida", że jego własny wiersz ma „woale i zasłony i niedomówienia", że one kryć mają tajemnicę, ale że jego własny wiersz nie ma tej tajemnicy.

Wszystko jakby potwierdza mój z dawnych czasów stosunek do jego poezji, moją niewiarę w powód, w ziarno tej poezji. Ale znów fakt, że on to widzi, że się tym nie tylko wzrusza ale męczy, odkrywa innego Lechonia. Czytelnik zaczyna wierzyć w świat poetycki w nim ukryty, tylko że tajemnicze rozdwojenie szym. W Dzienniku coraz to natrafiamy na tę „nić czarną".

I co uderza u Lechonia w Dzienniku, to jakby brak, katharsis — brak tej chwili, która najskromniejszemu artyście płaci za *wszystko*, za tygodnie lata mozołu, za uczucie nieprzekraczalnej przepaści między tym co widzi, a tym co może.

I tu dochodzimy chyba do tragedii Lechonia, słowo to nie jest zbyt mocne. Sam on pisze, że praca twórcza „pozostawia (mnie) później w pustce bez jakiegokolwiek radości z tego co uczyniłem".

* Kto chce się dowiedzieć czym był dla swoich przyjaciół w Warszawie czy nawet w New Yorku, Leszek olśniewający dowcipem, gadaniem, powinnien przeczytać piękne wspomnienie Hemara, pod świeżym wrażeniem jego śmierci, *Awantury w rodzinie*.

Fatum

„Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście
do człowieka
I zatopiło weń fatalne oczy
I czeka...”

Kto z czytelników Dziennika może zapomnieć, że autor na samym początku swej kariery poetyckiej truł się; został zaledwie odratowany a potem leczony przez szereg lat na nerwową chorobę, zaś w kilka lat po napisaniu tego Dziennika, zada sobie śmierć rzucając się z okna któregoś tam piętra, na bruk New Yorku. Przez lata i lata pod wszystkimi fasadami, warstwami pozorów, po nasyconych i nienasyconych ambicjach sukcesów poetyckich, towarzyskich snobizmów, pod tą gorączką życia i miłością życia („Im dłużej żyję, tym więcej czuję w sobie wdzięczności za każdy dzień życia, za samo szczęście istnienia” mówi Hemarowi przed samą śmiercią), tkwiła w nim panika — panika przed wariacją i pokusa samobójstwa.

Czermański opowiada, jak często Lechoń mówił mu, pisał, o samobójstwie i przyznaje, że z czasem stał się na te groźby znieczulony. „Mówisz że czujesz się źle, a bawisz się znakomicie”; Lechoń w odpowiedzi cytował wówczas słowa wesołego wariata z krakowskiego jeszcze sanatorium: „Z pozoru tylko się bawię, bo prywatnie jestem bardzo nieszczęśliwy”. Ten niby dowcip był najbliższy wewnętrznej prawdy Lechonia. Wszyscy jego przyjaciele przestali, tak jak Czermański, wierzyć w te groźby — poza jednym chyba Wierzyńskim — przyjacielem może najbliższym. W Dzienniku coraz to natrafiamy na tę nić czarną”.

„Czy możliwe żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego *niepojętego rozdwojenia*, które mnie rozdziera”.

Lechoń ukoronowany przedwcześnie, wie, że dotrzeć musi do realizacji swego poetyckiego naznaczenia, w które nie wątpi, realizację osiągnąć może tylko poprzez pracę ostateczną, całkowite oddanie, a jednocześnie boi się bo „każda praca bardziej wytężona, każdy niemal wiersz naprawdę dobry, okupiony jest tym jakimś odejściem od siebie i tym powierzeniem się jakimś tajemniczym siłom, które mnie ssą jak wampiry” więc ucieka w tłum, w przyjęcia, w dowcipy i pompy przeróżne, zagaduje to swoje wewnętrzne paniczne rozdarcie i haruje nad pensami zarobkowymi czy patriotycznymi.

W innym miejscu pisze o „niewidocznej dla innych wariacji” „jak kiedyś przed trzydziestu laty”, pisze że jest w mocy nie tylko swoich instynktów, ale jakichś demonów i pyta siebie czy to nie Erynie, niszczące go za zdradę sztuki. Ten motyw zdrady sztuki coraz to powraca, Lechoń szuka dla siebie usprawiedliwienia. W notatce o książce Parandowskiego o Oskarze Wilde zauważa, że Parandowski dobrze uchwycił „jakiś bliżej niezdefiniowany kompleks pisarza, który ucieka od pisania, który ma jakieś bardzo ważne powody, aby pisać dramat — swym życiem. Dziennik

jest pełen wzmianek o manii prześladowczej, rozdzieleniu, kosztmarach — to trwały refren pisany bez romantycznych lechoniowych metafor i superlatywów, stylem lekarskiej diagnozy.

„Dziki zwierz norwidowego fatum czeka, ma cierpliwość, ma czas, a Lechoń nie ma sił mu „odejrzeć”, nie może „odejrzeć”.

Zemsta za zdradę sztuki? Grzech niedopełnienia? Im więcej o tym myślę, tym bardziej nie umiem się obronić przed poczuciem, że zbyt łatwo zważyć wszystko na „grzechy” i „ucieczki” Lechonia.

Po przeczytaniu tej książki, nie opuszcza czytelnika dławiące wspomnienie poety, po raz tysięczny przemierzającego samotnie bruki ogromnego miasta, te bruki na które padnie zmiażdżony.

Dziki zwierz czekał cierpliwie i ofiary swojej doczekał.

Józef CZAPSKI

Antologia do czytania

W latach od 1945 do 1967 ukazało się w Niemczech 400 dzieł polskich poetów, prozaików i krytyków. Przeszło 20 książek, wydanych w ciągu ostatnich ośmiu lat, o łącznym dotychczasowym nakładzie 220.000, należy do dorobku jednego człowieka, Karla Dedeciusa. Wśród jego licznych pozycji, poetyckich i w mniejszym stopniu prozaicznych, należy wymienić następujące: *Lekcja ciszy*, nowa polska liryka, antologia zawierająca 60 wierszy 36 autorów krajowych i emigracyjnych, i St. J. Leca *Myśli nieuczesane*, wybór aforyzmów (Hanser, 1959); Zbigniewa Bieńkowskiego *Wstęp do poetyki*, *Widzę i opisuję* (Henssel, 1961); Adolfa Nowaczyńskiego *Skotopaski sowizdrzalskie*, wybór (Luchterhand, 1962); *Polskie pointy*, antologia satyr i małej prozy XX wieku, zawierająca 27 autorów od Irzykowskiego i Boya, poprzez Wierzyńskiego, Tuwima, Słonimskiego, Gałczyńskiego, Minkiewicza, aż po Mrożka (Hanser, 1963); Juliana Przybosa *Wiersze*, dwujęzyczny wybór 22 utworów (Langewiesche-Brandt, 1963); *Polska poezja XX wieku*, 144 wiersze 44 poetów, oraz *Nowe myśli nieuczesane*, zawierające 324 aforyzmy Leca (Hanser, 1964); Zbigniewa Herberta *Wiersze w wyborze* 53-ech (Suhrkamp, 1964); *Nowa polska liryka*, antologia zawierająca 119 wierszy 60 autorów — jak zawsze, i krajowych, i emigracyjnych — oraz wybór wierszy Tadeusza Różewicza pt. *Formy niepokoju* (Hanser, 1965). Nie sposób wymienić wszystkich przekładów poetyckich i innych poloników, jakie Dedecius ogłosił w ważniejszych antologiach, w rocznikach, czasopismach i gazetach. Ponadto, produkuje się on stale audycjami i esejami radiowymi

we wszystkich rozgłośniach niemieckiego radia i wygłasza prelekcje w towarzystwach literackich, uniwersytetach, klubach różnych miast NRF na najrozmaitsze tematy dotyczące polskiej literatury współczesnej. Można się dotychczas doliczyć pełnej setki tego rodzaju jego imprez. Do tej imponującej, nie tylko ilościowo, działalności dochodzi obecnie dwutomowa antologia prozy polskiej dwudziestego wieku¹.

O jakości przekładów Dedeciusa, o jego roli w przyswajaniu polskiej literatury współczesnej, zwłaszcza poezji, czytelnikowi niemieckiemu, o jego namiętności i oddaniu, znawstwie i talencie, powiedziano już wiele. Ten „tłumacz dobrej woli”, jak w listopadzie 1967 w Chicago Tymon Terlecki nazwał wybitnego gościa z Niemiec, konsul generalny polskiej literatury w krajach języka niemieckiego, jak go określa się w Polsce, Dedecius — zdaniem poety niemieckiego, Horsta Bieneka, (*Frankfurter Allgemeine Zeitung*) — sprawił, że o młodszej poezji polskiej wiadomo bodajże więcej niż o młodszej poezji francuskiej lub włoskiej. W nieustannym dążeniu do precyzji Dedecius korzysta z każdej sposobności, żeby z tłumaczonymi przez siebie autorami osobiście omawiać odcienie znaczeniowe i stylistyczne. Spotkania te, wzbogacające jego odczuwanie nie tylko polszczyzny, ale i polskości, dały początek niejednej przyjaźni czysto osobistej. Niezależny od wszelkich koterii, związków czy grup, Dedecius pracuje spontanicznie i swobodnie, cieszy się ogromnym szacunkiem i wdzięcznością, a otrzymane nagrody są wyłączną zasługą jego znakomitej pracy. To dotyczy zarówno nagrody za tłumaczenia, jaką Dedeciusa, pierwszego od zakończenia wojny Niemca, wyróżnił polski PEN-Club, jak i nagrody otrzymanej niedawno, wraz z Witoldem Wirpszą, od Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung².

Urodzony w 1921 r. w Łodzi, ukończył tam polskie gimnazjum i związał swój los z Polską w sposób tragiczny, wynikły z tragizmu dziejów. Wcielony do Wehrmachtu i wzięty do niewoli sowieckiej w 1944, więziony był w ZSSR do 1950 r., po czym, zwolniony, osiedlił się w Weimarze, gdzie był docentem w tamtejszym Instytucie Teatralnym. Od 1952 mieszka w Frankfurcie; za dnia pracuje jako urzędnik w jednym z największych niemieckich towarzystw ubezpieczeniowych, wieczorami tłumaczy. Tłumaczy także poetów rosyjskich (m.in. Majakowskiego) — zdaniem znawców, po mistrzowsku — ale tron swojej pasji tłumacza zwrócił ku naszej literaturze.

Dwutomowa *Proza polska dwudziestego wieku* Dedeciusa (tom I ukazał się w ostatnich dniach 1966 r., tom II kilka miesięcy później) nie tylko zaćmiewa, ale właściwie unicestwia złożoną tendencyjnie, wydaną w 1965 r. we wschodniobерlińskim Volk und Welt *Nowoczesną prozę polską*, zawierającą 32 opo-

1. *Polnische Prosa des 20. Jahrhunderts* (Monachium, Hanser Verlag, 1967), tom I — 326 str., tom II — 422 str.

2. Ostatnio Dedecius otrzymał nagrodę im. Jurzykowskiego.

wiadania 26 autorów, która w swym „liberalizmie” posunęła się do Mrożka, opuszczając naturalnie autorów emigracyjnych. Antologia Dedeciusa natomiast jest jednym z największych osiągnięć tego rodzaju na świecie, a na pewno najlepszą antologią prozy polskiej w jakimkolwiek obcym języku. Ogromne zainteresowanie, jakie wywołała — do września 1967 r. uzyskała recenzje w prasie i omówienia radiowe w łącznej liczbie 153-ech — zawdzięcza m.in. swej szczęśliwej i szczególnie rozsądnej koncepcji. Toteż jeśli Tadeusz Nowakowski w hamburskim czasopiśmie „Der Spiegel” nazwał ostatnie dzieło Dedeciusa wydarzeniem literackim, to nie z uciechy czysto patriotycznej, jakkolwiek i ta jest dla nas w pełni dozwolona i uzasadniona.

Poza szeregiem cennych innowacji — wprowadzenie ortografii polskiej w nazwach i imionach własnych, zaopatrzenie pracy zasadami polskiej fonetyki, a każdego autora i współpracującego tłumacza szkicem biograficznym i dokładną bibliografią — praca odznacza się oryginalną kompozycją, sprawiającą, że będąc sumienną i reprezentatywną antologią, jest również, i przede wszystkim, książką do czytania, a nie dziełem oczekującym w bibliotecznym kurzu ciekawości nielicznych filologów. Nic zatem dziwnego, że została również wydana w tańszym wydaniu broszurowym. Można bez utraty równowagi duchowej przeczytać obydwie tomy od deski do deski. W chęci ukazania wielości aspektów polskiego piśmiennictwa Dedecius rozbił materiał na poszczególne działy i stworzył dla nich, jak i dla fragmentów powieściowych i wielu opowiadań, oryginalne podtytuły. Ten układ świadczy o dużej jego wrażliwości i głębokiej znajomości sprawy; czytelnik niemiecki poznaje odcienie różnych kierunków literackich, ale jednocześnie — jak to podkreśla w omówieniu radiowym w Frankfurcie Heddy Pross-Weerth — uzyskuje wgląd w społeczne i duchowe życie kraju. Recenzentka dodaje, że wykazana, dyskretnie i pośrednio, polska inność (*Anderssein*) odbija się jednocześnie w zwierciadle duchowej wspólnoty europejskiej, dając wrażenie poważnego, obiektywnego i pełnego znawstwa spotkania z polskim krajobrazem literackim.

Antologia obejmuje 51 autorów krajowych i emigracyjnych — to współistnienie jest dla nas szczególnie cenną zaletą — z których 29 przetłumaczył sam autor, resztę powierzając innym zdolnym i doświadczonym tłumaczom. Językowa i stylistyczna strona tych przekładów, jej wysoki poziom i sumienny charakter wymagałyby oddzielnego, szerszego omówienia. Na podstawie przeprowadzonych na chybił trafił konfrontacji z oryginałami, można stwierdzić nie tylko wierność tak treści, jak i rozmaitym klimatom i tonom, ale też elastyczną równorodność sformułowań i frapującą nieraz pomysłowość w wyszukiwaniu niemieckich odpowiedników.

Jakość literacka przekładów, wyboru i kompozycji materiałów jest tak wysoka, że nie wchodzi tu w rachubę ani lektura, ani ocena z tzw. taryfą ulgową, wynikłą z obciążającego nas jesz-

cze, niestety, hasła: „jak świat światem...”. To wykluczenie dotyczy zresztą całej działalności Dedeciusa, który też, na szczęście, podchodzi do niej bez widocznych, niemieckich z kolei kompleksów. Toteż umie pisać o Polsce entuzjastycznie lecz normalnie i np. w posłowie, którym dla wprowadzenia historycznego i uzasadnienia swych klasyfikacji i podtytułów opatruje obydwie tomy, stwierdza bez żenady i uniżoności, niczym bijący się w piersi historyk lub krytyk polski, że wkraczając w wiek dwudziesty Polska nie zdążyła się jeszcze uporać z zagadnieniami dziewiętnastowiecznymi. Zupełnie słusznie: nie zdążyła — możemy dodać od siebie — po dziś dzień.

Materiał zgrupował autor na zasadzie oryginalnego kontrapunktu kontrastów i podobieństw. I tak np. w pierwszym dziale, zatytułowanym treściwie *Losy i charaktery* — od *Charakterów* Nałkowskiej i Dąbrowskiej „Nocy ponad światem” z *Ludzi stamtąd*, któremu to opowiadaniu, w imię harmonii kompozycyjnej, nadał tytuł *Schicksale* (*los, przeznaczenie*, w liczbie mnogiej) — zaskakuje obecność jedynych w XX wieku urodzonych Miłosza i Strykowskiego obok Berenta, Przybyszewskiego (mało zresztą, jak na niego, demonicznego), obok tetmajerowskiego Zwyrały, targu w Lipcach Reymonta i powstańców Żeromskiego (*Waldecho*). Po namyśle jednak dochodzimy do wniosku, że śmierć Magdaleny, gorszącej księżej gospodyni z *Doliny Issy* (Dedecius, nawiązując do treści, zatytułował rozdział *Wniebowstąpieniem Magdaleny*, mianowicie jego akcja rozgrywa się w dzień Matki Boskiej Zielnej), lub marzenia Aronka o wiecznym szabasie z *Głósów w ciemności* nawiązują do polskich „losów i charakterów” przedstawionej epoki. Sprawa tym bardziej uzasadniona — jakkolwiek wieloznacznie — że Dedecius w posłowie podkreśla trwałość „druidycznego” charakteru literatury polskiej. Nie można mu odmówić ani racji, ani wrażliwości, gdy stwierdza, że „wszystko, co polska literatura miała i ma do zaprezentowania, to namiętne, tragiczne i groteskowe warianty podstawowej formuły druidycznego bytu o charakterze tajemnego związku: z *harfą, mieczem i książką*”.

Zapożyczając od Irzykowskiego podtytuł drugiego działu antologii, *W garderobie duszy*, Dedecius stawia zawarte w nim utwory, pod znakiem autora *Pałuby*, względnie jego „demaskowania sentymentalizmu, odśłaniania jego obłudnej zachłanności i (...) działania przez usuwanie złudzeń, trzeźwiąco, oczyszczająco”. Kontrastując i porównując niejako Irzykowskiego (*Pałuba*) i Witkacego (*Nienasycenie*) — owe, możemy dodać, „dwa na słońcach swych przeciwnych Bogi” — nawiązuje też nieznacznie za pomocą *Pałuby*, modelu polskiej antypowieści, do antynoweli Wata („Żyd wieczny tułacz” z *Bezdomnego Lucyfera*). Ta z kolei, przez swą fantastyczność, kojarzy się z zupełnie odmienną fantastycznością jednego z kolejowych opowiadań Grabińskiego. Prostolinijność, dziewiętnastowieczność fantastycznego tworzywa Grabińskiego, proszącego się niemal o możliwie „literackie” uję-

cie, sąsiaduje z pseudo-opisową, realistycznie i brutalnie jedyną fantastyką — mimo wszystko fantastyką — Schulza („Ulica krokodyli” i „Manekiny”) i z „Bankietem” Gombrowicza. Wybrany ze zbioru *Bakakaj*, ten cenny przyczynek do studium patologii władzy, ukazuje również jasno fascynację autora *Kosmosu* np. formalistyką związków międzyludzkich (małżeństwo) i w ogóle przemożną siłą formy („trzeba zmusić króla do króla, króla uwięzić w królu, trzeba nam zamknąć króla w królu”). Dbając zawsze o wykazanie przynajmniej jednej istotnej cechy pisarskiej danego autora — najczęściej więcej niż jednej — a jednak kojarząc i kontrastując, powiązując i przeciwstawiając, osiąga Dedecius, przy jednoczesnym pobudzającym ciekawość urozmaiceniu, równowagę i harmonię w garderobie duszy antologii.

Harmonię tę, pełną tragizmu, odczuwa się najsilniej w *Vor Gericht*, trzeciej części książki, tak nazwanej od wojennego opowiadania Andrzejewskiego *Przed sądem*, które widnieje tu na pierwszym miejscu. Wojna jest tu niejako rozprawą sądową: partyzancka nowela Konwickiego „Kapral Koziołek i ja”, przykłady z *Żywego i martwego morza* Rudnickiego, z *Kamiennego świata* Borowskiego i in. Dzięki równorodności tonu utworów, w której nie pominięto tragikomizmu warszawskiej sceny okupacyjnej (Dygat), otrzymujemy o tyle pełny obraz tematu, o ile w ogóle literaturę na to stać. Tym pełniejszy, że Dedecius uwzględnia niepoślednie w naszej historii, przez zachodniego czytelnikaomalże zapomniane, w kraju przemilczane przejścia Polaków w ZSSR. Bez tego przypomnienia niesposób odtworzyć obrazu polskiego losu w XX wieku, a zrodzić się mogło jedynie w klimacie swobodnego myślenia, w rzetelnym umyśle odważnego człowieka. Warto zaznaczyć, że i tu autor zadbał o czytelność tomu sprawiając, że po lapidarnym, celowo suchym „Waad-i” (figurującym pod podtytułem „Pragnienie” — „Durst”) z Leo Lipskiego *Dnia i nocy* (po niemiecku, smutniej, *Noc i dzień*) następuje jeden z najbardziej znanych i patetycznie wstrząsających rozdziałów *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego (podtytuł: „Głód”). Tu głód, tam tyfus i biegunka, tu epopeja, tam miniatura; tu śmierć i tam śmierć — gehenna polskich obywateli w sowieckich łagrach. Nic co polskie nie jest Dedeciusowi obce, toteż i dla Londynu pod bombami znalazło się miejsce (fragment z *Kluczy Kuncewiczowej*). Z cechującym go poczuciem prawdy, z szacunkiem dla tego, co musi pozostać nie wypowiedziane, autor antologii, omawiając okrucieństwo tamtych lat, pisze w posłowniu: „Lipski, Herling-Grudziński, Borowski pokazują tylko część, i to nawet nie najokropniejszą”, a nieco dalej uczciwie stwierdza, że duch wojny i procedura jej sądów przeżyły w Polsce jej zakończenie.

Na pewno nie przez przypadek — bo nic w tej książce nie jest przypadkowe — część trzecią, przez którą przewija się w swych rozlicznych i przeraźliwych, polskich kształtach druga wojna światowa, zamyka „Król Herod czyli nędza moralistów”

z *Klucza niebieskiego* Leszka Kołakowskiego, dydaktyczne uzupełnienie odwiecznej problematyki winy i kary. Znamienny, nie pozbawiony swoistego optymizmu jest tu wybór Dedeciusa, bo „niemowlęta wymordowano, jednak, jak miało się okazać, akcja była nieskuteczna — właściwy cel wymknął się mieczom żandarmów”. Tę konkluzję potwierdza poniekąd czwarty, ostatni dział antologii, *Nauka o Ojczyźnie* (tytuł zaczerpnięty z Filipowicza). Okres błędów i wypaczeń, jak wyjaśnia Dedecius w postowiu, trwał w Polsce tak krótko — zaledwie pięć lat — że widać nie zasłużył na utrwalenie w antologii, skoro odznacza się tu nieobecnością, pozostawiając miejsce, zawsze w antologiach cenne, bardziej trwałym pomnikom. Pośród ech wojny i innych dobrze nam znanych kłopotów i obciążeń, przemawiają autorzy starsi (Pruszyński, Zawieyski, Kruczkowski), młodszy (Różewicz, Tadeusz Nowakowski, Lem) i jeszcze młodszy (Bryll, Mrozek, Hłasko). Najmłodszy z przedstawionych autorów to wybitnie utalentowany Marek Nowakowski (ur. 1935). Dla kontrastowej równowagi, o którą tak dba Dedecius, po „czarnej żonie” (Grochowiak) następuje „biała” (Żukrowski); w bliskim sąsiedztwie „europejskiego”, lecz po sarmacku kpiącego „Powrotu taty” Tadeusza Nowakowskiego („Człowiek, który kochał ojczyznę”, dla kontrastu z Filipowicza „Człowiekiem, który nienawidził ojczyzny” — pierwszy kocha i nie wraca, drugi odwrotnie), brykają tak bardzo polscy „Tatarzy” Ernesta Brylla, a Mrozek rozgrywa z dowcipną precyzją swą partię żywych szachów. Nie brak też przedstawicielstwa orientacji katolickiej (Malewska, J.J. Szczepański).

Warto zaznaczyć, że dużo w tym dziale — i niemało w innych — tego, co na Zachodzie od przeszło dziesięciu lat określa się mianem specyficznie polskiego poczucia humoru. Pośród wszystkich swych ogromnych zasług posiada Dedecius także i tę, że pomógł sprecyzować, trudną dla nas do uchwycenia i jeszcze trudniejszą do sformułowania i wytłumaczenia obcym istotę polskiego humoru. Wprowadził go w rozlicznych co prawda odmianach, a jednak w jakimś ogólnym, rzeczywiście znamienne polskim duchu, nadrealnie umownym, może absurdystyczno-racjonalistycznym, czasem skłonny do paradoksu, niekiedy mechanicznym, na pewno zaś sceptycznym a zarazem lirycznym.

Jeśli piśmiennictwu polskiemu potrzebne na świecie są drzwie i jakiś do nich klucz, można powiedzieć, że Dedecius siłą woli zbudował do naszej twórczości literackiej wspaniałą bramę, a talentem, pasją i wytrwałą pracą otworzył ją szeroko.

Olga SCHERER

Nadesłane nowości wydawnicze

- ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. T. 10. Uczucia. Str. 363 i 5 nlb. przetłumaczył dr Jan Bardan, objaśnieniami zaopatrzył prof. o. Feliks W. Bednarski, O.P. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, wrzesień 1967).
- ZAJĄC (Józef). *W Szkocji i na Środkowym Wschodzie*. II tom pamiętników wojennych: *Dwie wojny*. Str. 339 i 1 nlb. Tom 69 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, lipiec 1967, cena 45 sh.).
- SOSABOWSKI (Stanisław). *Droga wiodła ugięciem*. Str. 272. Tom 70 Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1967, cena 36 sh.).
- PIEKOSZEWSKI (Jan, ks. dr). *Kościół katolicki we współczesnej Ameryce* (Stany Zjednoczone). Wstęp J.E.ks.B. Władysław Rubin. Str. 160. (Wyd. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, listopad 1967, cena 21 sh.).
- DOYLE (William, ks., T.J.). *Powołanie*. Wyd. drugie. Str. 48. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1968, cena 4/6).
- LECHOŃ (Jan). *Dziennik*. Str. 446. Opr. płocienna z obwolutą. Wydawnictwo „Wiadomości”. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968, 50 sh.).
- BIELECKI (Tadeusz). *W szkole Dmowskiego*. Szkice i wspomnienia. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968, 25 sh.).
- „Wiadomości” na emigracji. Antologia prozy 1940-1967 w wyborze i z przedmową Stefani Kossowskiej. Str. 320. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968, 25 sh.).
- GARLIŃSKI (Józef). *Politycy i żołnierze*. Str. 320. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968, 25 sh.).
- Socjalizm na Zachodzie Europy*. Antologia w wyborze i z przedmową Adama CIOŁKOSZA. Str. 320. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968, 25 sh.).
- WINCZAKIEWICZOWA (Anna). *Przeżyłam*. Str. 86 i 2 nlb. Okładka i rysunki Haliny Ołomuckiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).
- LUBOML (Konstanty A.). *Na urzędu*. Poezje. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).
- BRANICKI (Konstanty). *Pro fide et patria*. Poezje. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1967).
- ROSTWOROWSKI (Jan). *Feretrone*. Poezje. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).
- SUKIENICKA (Halina). *Czarne i białe*. Rysunki. Przedmowa M. Bohusz-Szysko. (Wyd. Społeczność Akademicka Uniw. Stefana Batorego w Wilnie, Londyn, 1968. Druk Oficyny Stanisława Gliwy).
- HEŁM-PIRGO (Marian). *W sprawie tablicy „Orląt” w Londynie*. Czy tak należy postępować? Cz. 2. Str. 16. (Nakł. Autora, New York, 1967).
- BREGMAN (Aleksander). *Najlepszy sojusznik Hitlera*. Studium o współpracy niemiecko-sowieckiej 1939-1941. Wyd. trzecie. Str. 160 i 4 nlb. (Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Londyn, 1967).
- BEAUBREUIL (Pierre). *Le cinquième partage de la Pologne*. Str. 186. Powielacz. 6 map. Noty. (Bordeaux 1966).

DATA	POLITYKA
16-3-68	W dzień po przemówieniu Gierka, w którym groził on „połamaniem kości burzycielom”, milicja rozprężyła demonstrację w Katowicach, w której brało udział około 10.000 ludzi. Po ostrym sporze z premierem Wilsonem, brytyjski minister Spraw Zagranicznych, Brown, rezygnuje ze stanowiska. Jego następcą zostaje M. Stewart.
17-3-68	Prezesi banków emisyjnych najbogatszych krajów świata zachodniego, poza Francją, ustalili na konferencji w Waszyngtonie dwu-poziomowy system ceny złota.
18-3-68	A. Dubczek zapowiada w przemówieniu w Brnie, że obecny K.C. Partii jest dość silny, by nie dopuścić do odejścia od obecnej polityki. Jednocześnie premier Lenart i wice-premier Simunek, którzy na styczniowym Plenum głosowali za Nowotnym, oświadczyli, że zawsze wypowiadali się za programem reform i „odrodzeniem partii”.
19-3-68	W przemówieniu do „aktywu partyjnego” w Warszawie Gomułka atakuje „grupę polityków z tytułami naukowymi”, którzy podburzają młodzież wymieniając m.in. prof. Brusa, Kołakowskiego i Baumaną oraz literatów: Jasienicę i Kisielewskiego. Gomułka polemizuje również z tezami politycznymi „Kultury” cytując fragmenty artykułów J. Mieroszewskiego.
20-3-68	Według doniesień prasy francuskiej i jugosłowiańskiej w Warszawie powstał Komitet Koordynacyjny, którego celem jest uzgadnianie akcji studentów wszystkich warszawskich wyższych uczelni.
21-3-68	
22-3-68	Radio Praga podaje wiadomość o ustąpieniu prezydenta Novotnego. Oddziały izraelskie dokonują wypadów na bazy terrorystów arabskich położone na terytorium Jordanii. W walkach zginęło ponad 150 Arabów.
23-3-68	W Dreźnie rozpoczęły się obrady komunistycznej „konferencji na szczycie”, na której nowi przywódcy czechosłowaccy składali sprawozdanie z rozwoju wydarzeń. Rumunia nie wzięła udziału w obradach. Komunikat zapowiada zwołanie konferencji dla omówienia dalszej współpracy gospodarczej w ramach RWPG.

KULTURA I NAUKA

Węgierskie czasopismo literackie zamieszcza wywiad z przewodniczącym czeskosłowackiego Związku Pisarzy prof. E. Goldstückerem na temat nowej atmosfery twórczej w Czechosłowacji.

Rude Pravo ogłasza, że będzie samodzielnie formowało politykę partii; domaga się zniesienia zależności od wydziałów KC. Organ partii powinien być odpowiedzialny tylko przed Plenum KC.

Dr Czesław Bieżanko, profesor Uniwersytetu w Pelotas i Rio Grande (Brazylia) znany przyrodnik, fizyk i chemik, który w 1965 r. obchodził 40-lecie pracy naukowej, został mianowany 3. I. 1968 Członkiem Korespondentem Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu.

Polski film krótkometrażowy „Laterna Magica” zdobył pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mar del Plata w Argentynie.

Krzysztof Penderecki przyjął propozycję ONZ skomponowania utworu dla uczczenia 22 rocznicy uchwalenia Deklaracji Praw Człowieka.

RÓŻNE

Czechosłowacki minister Spraw Wewnętrznych J. Kudrna i Prokurator Generalny J. Bartuska zwolnieni zostali ze stanowisk.

10 marca zmarł w Vancouver, Kanada, dr William J. Rose, wybitny sławista i przyjaciel Polski.

W Bukareszcie ogłoszono, że prezydent de Gaulle odwiedzi Rumunię w połowie maja.

W Czechosłowacji następuje rozpad masowych organizacji, m.in. organizacji współpracy z wojskiem „Savzarm”. Na ich miejsce powstają zespoły harcerskie, kluby automobilowe itp.

W Pradze i w Bratysławie odbywają się masowe wiece, na których wysuwane są żądania dymisji prezydenta Novotnego i premiera Lenarta.

Zmarł dr Czesław Chowaniec, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu.

DATA	POLITYKA
24-3-68	Na Zachód nadeszły wiadomości o pobiciu przez milicję szeregu profesorów wyższych uczelni w Krakowie, którzy ujęli się za studentami w czasie demonstracji ulicznych. Wśród pobitych znajdują się m.in.: rektor M. Klimaszewski i prof. K. Estreicher. Rektor Politechniki K. Sokalski zmarł na atak serca. Milicja użyła psów przeciw robotnikom w Nowej Hucie, którzy przeprowadzili strajk solidarności ze studentami. 112 osób odniosło obrażenia. Robotnicy wrocławskiego PAFAWAGU uchwalili rezolucję popierającą studentów Politechniki Warszawskiej.
25-3-68	Do Paryża przybył na czele oficjalnej delegacji premier węgierski Jeno Fock. Wypowiedział się on za nawiązaniem kontaktów ze Wspólnym Rynkiem.
26-3-68	Członek Politbiura węgierskiego Komocsin przypomina doświadczenia roku 1956 na Węgrzech i wzywa przywódców czechosłowackich do „opanowania prób wprowadzenia anarchii”. Twierdzi on, że w Czechosłowacji pojawiły się „siły anty-socjalistyczne i prawicowe”.
27-3-68	
28-3-68	Nowym prezydentem Czechosłowacji wybrany został gen. L. Svoboda, który w czasie wojny był d-cą legionu czechosłowackiego: w Polsce w r. 1939, a potem w Rosji.
29-3-68	Breżniew wystąpił z gwałtownym atakiem na pisarzy „niedojrzałych ideologicznie” i zapowiedział, że „renegaci” nie mogą mieć nadziei, że minie ich kara. Breżniew oświadczył również, że partia nie zamierza wyrzec się czołowej roli w życiu Związku Sowieckiego. Radio moskiewskie specjalnie przedłużyło swój program w języku czeskim i słowackim, by nadać przemówienie Breżniewa w całości.

KULTURA I NAUKA

W Ratuszu w Świdnicach odkryto stare freski. Są to prawdopodobnie najstarsze malowidła w budynkach świeckich w Polsce.

W Polsce usunięto ze stanowisk 4 profesorów: B. Baczeko, W. Brusa, L. Kołakowskiego i S. T. Morawskiego, oraz 2 docentów: Z. Baumaną i M. Hirszowicz. Profesorowie Żółkiewski i Schaff usunięci zostali ze stanowisk w Polskiej Akademii Nauk.

Angielskie wydawnictwo periodyczne *History of the Second World War* zamieszcza obszerny artykuł płk. Iranka Osmeckiego o Powstaniu Warszawskim.

RÓŻNE

Parlament Jugosłowiański ma utworzyć komisję, która sprawować będzie nadzór nad działalnością Służby Bezpieczeństwa, celem „zagwarantowania wolności i praw obywateli”.

Zmarł w Australii b. ambasador Alfred Poniński.

Na wielu Wyższych Uczelniach w Polsce odbywają się strajki okupacyjne. Aresztowano porę tysięcy studentów.

Juri Gagarin, pierwszy kosmonauta sowiecki zginął w wypadku samolotowym.

Z Warszawy nadeszła wiadomość o śmierci wybitnego działacza T. Szturm de Sztrema.

W Krakowie zmarł B. Drobner, przed wojną działacz socjalistyczny, później członek PZPR.

DATA	POLITYKA
30-3-68	Wbrew zakazom odbywania zebrań publicznych, około 2.000 studentów Uniwersytetu Warszawskiego demonstrowało przeciw zwolenieniu ze stanowisk 6 profesorów Uniwersytetu.
31-3-68	Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński wyraził w kazaniu w Warszawie, podziw dla dojrzałości studentów polskich i ubolewanie z powodu użycia przeciw nim siły.
1-4-68	Prezydent Johnson oświadczył w przemówieniu telewizyjnym, że nie zamierza kandydować ponownie na stanowisko prezydenta. Zapowiedział jednocześnie ograniczenie bombardowań Północnego Wietnamu i wezwał Hanoi do podjęcia rokowań pokojowych.
2-4-68	Dziennik <i>Żołnierz Wolności</i> stwierdza, że w wojsku istniała „dywersja ideologiczna” i wzywa do zaostrzenia czujności. Wice-minister Handlu Zagranicznego, J. Kutin, usunięty został ze stanowiska. Pisarze należący do PZPR i ZSL wezwali zarząd główny ZLP do skreślenia z listy członków J. Grzędzińskiego, P. Jasienicę i S. Kisielewskiego, za „anty-socjalistyczną działalność polityczną”. Prasa nie podaje nazwisk wnioskodawców.
3-4-68	Północny Wietnam wyraża gotowość do podjęcia rozmów ze Stanami Zjednoczonymi. Rząd amerykański wyraża zgodę na nawiązanie kontaktu z przedstawicielami Hanoi.
4-4-68	Umiarkowany przywódca Murzynów Amerykańskich, laureat pokojowej nagrody Nobla, dr Martin Luther King ginie w mieście Memphis, zastrzelony przez białego zamachowca.
5-4-68	Po ustąpieniu Lenarta nowym premierem w Czechosłowacji został dotychczasowy szef Komisji Planowania Oldrych Czernik. Na stanowisko jednego z wice-premierów mianowano jednego z czołowych autorów programu reform gospodarczych, prof. O. Szika.
6-4-68	W wielu miastach amerykańskich dochodzi do gwałtownych demonstracji murzyńskich i aktów gwałtu. Kilkanaście osób poniosło śmierć.

KULTURA I NAUKA

Rumuńskie pismo literackie *Seculol 20* zamieściło wybór utworów rumuńskiego pisarza emigracyjnego Mircea Eliade. Był on dawniej określony jako „wróg marksizmu-leninizmu i narodu rumuńskiego”. Eliade jest profesorem uniwersytetu chicagowskiego.

We Włoszech ukazał się pierwszy tom dzieł zebranych Józefa Conrada.

Telewizja holenderska zakupiła angielski film telewizyjny o Getcie Warszawskim, zawierający wiele nieznanych materiałów.

Rektor Łódzkiej Szkoły Filmowej dr J. Toeplitz zwolniony został ze stanowiska. Zwolniono również wice-rektora, R. Wajdowicza.

RÓŻNE

Zmarł Józef Tomeczek, długoletni redaktor i współzałożyciel wychodzących w NRF „Ostatnich Wiadomości”.

W Londynie zmarł były Naczelný Intendent WP gen. Karol Masny.

Były Szef Obrony Cywilnej we Francji M. Picard oskarżony został o szkodliwe dla interesów państwa utrzymywanie kontaktów z obcymi wywiadami.

W lesie niedaleko Pragi znaleziono zwłoki powieszonego wice-przewodniczącego Sądu Najwyższego Brestanskiego. Miał on zająć się rewizją procesów z poprzedniego okresu.

3 liniowych generałów w Polsce przesunięto na stanowiska administracyjne. Są nimi: C. Waryszak, Z. Huszcza i E. Rozłubirski. Rozłubirski był d-cą jedynej w Polsce dywizji desantowej.

DATA	POLITYKA
7-4-68	Rzecznik rządu NRF Ahlers zapowiedział, że Bonn wystąpi wobec Sowietów z sugestią wymiany deklaracji o wyrzeczeniu się siły w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. Podobne propozycje mają być złożone w stolicach krajów Europy Wschodniej.
8-4-68	Przewodniczący Rady Państwa PRL, Edward Ochab, podał się do dymisji „z powodu złego stanu zdrowia”.
9-4-68	Nowe władze partyjne w Czechosłowacji opublikowały „Program akcji czechosłowackiej drogi do socjalizmu”. Gwarantuje on wolność słowa, zgromadzeń i swobodę poruszania się.
10-4-68	W Moskwie obraduje Plenum K.C. celem rozpatrzenia sytuacji w światowym ruchu komunistycznym. Początkowo obrady Plenum miały dotyczyć zagadnień rolnictwa. Obecnie przypuszcza się, że głównym tematem obrad są wydarzenia w Czechosłowacji i niepokoje w Polsce.
11-4-68	„Sejm” wybrał przewodniczącym Rady Państwa dotychczasowego ministra Obrony M. Spychalskiego. Ministrem Obrony został gen. W. Jaruzelski, szefem sztabu, gen. B. Chocha, a wice-ministrami Obrony: Chocha, Urbanowicz i Tuczapski. Mianowano nowych wice-ministrów Spraw Zagranicznych: Adama Kruczkowskiego i Zygfryda Wolniaka. Zwolniono ze stanowisk ministra Przemysłu Lekkiego E. Stawińskiego i ministra Przemysłu Żywnościowego i Skupu F. Pisulę. Nowymi ministrami zostali: T. Kunicki i S. Gucwa. J. Zawieyski ustąpił z Rady Państwa.
13-4-68	Przywódca Mongolii zewnętrznej, Ulanfu, usunięty ze stanowiska w wyniku „rewolucji kulturalnej” w 1966 r., „podjął próbę kontrrewolucji” — twierdzi komunistyczne radio chińskie.
14-4-68	<i>New York Times</i> podaje w korespondencji z Warszawy, że młodszy „aktyw” partyjny w ministerstwie Spraw Zagranicznych domaga się usunięcia około 200 urzędników ministerstwa. Rozeszły się pogłoski, że z tym właśnie się wiąże „dyplomatyczna” choroba Rapackiego.
15-4-68	

KULTURA I NAUKA

Na miejsce usuniętego prof. A. Schaf-fa, dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN wyznaczony został prof. Jan Szczepański.

Zygmunt Mycielski został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego *Ruchu Muzycznego* za zsolidaryzowanie się ze stanowiskiem literatów.

RÓŻNE

Zmarła w Polsce znana pisarka, Zofia Kossak-Szczucka.

Przywódca skrajnie lewicowych studentów w NRF, Rudi Dutschke, zostaje ciężko ranny w Berlinie Zachodnim przez zamachowca.

W pobliżu sowieckich obozów wojskowych na Węgrzech pojawiły się plakaty: „Ruscy do domu”.

Neue Zürcher Zeitung i *Times* zostały dopuszczone do sprzedaży w Moskwie. Są to pierwsze zachodnie pisma niekomunistyczne, które otrzymały ten przywilej.

W wielu miastach niemieckich i europejskich doszło do gwałtownych rozruchów studenckich na tle zamachu na Rudi Dutschke i protestów przeciw wojnie wietnamskiej.

Sąd Najwyższy RSFSR odrzucił apelację skazanych w styczniu br. czterech młodych intelektualistów rosyjskich: A. Ginsburga (5 lat), J. Galanskowa (7 lat), Al. Dobrowolskiego (2 lata), Wiery Łaskowej (1 rok).

Listy do Redakcji

Londyn, 13 kwietnia 1968 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Jakiś czas temu Czesław Miłosz wspominał na łamach „Kultury”, że Ludwig Wittgenstein jest autorem dzieła pt. „Tractatus Mathematico-Logicus”. W ostatnim numerze Paweł Hostowiec parafrazuje „konkluzję łacińskiej rozprawy Wittgensteina, że o tym, czego się nie da jasno sformułować, należy milczeć”.

Otóż Wittgenstein napisał po niemiecku dzieło pt. „Logisch-Philosophische Abhandlung” ogłoszone w 1921 r. w czasopiśmie pt. „Annalen der Naturphilosophie”, a rok później w angielsko-niemieckim wydaniu książkowym z przedmową Russella i pod nowym tytułem „Tractatus logico-philosophicus” zaproponowanym przez Moore’a. Ostatnie zdanie dzieła brzmi „Wovon man nicht sprechen kann, darüber muss man schweigen”.

Kolekcjonerów nieprawdopodobnych i nieistotnych polonistów zainteresuje fakt, że Wittgenstein, który w pierwszej wojnie światowej służył w armii austriackiej i miał przy sobie na froncie rękopis „Tractatusa”, odbył część służby w Krakowie i na statku patrolującym Wisłę.

Łączę wyrazy uznania,

Adam CZERNIAWSKI



W londyńskim *Tygodniu Polskim* z 13 kwietnia br. ukazała się nota pt. „Ewolucja paryskiej *Kultury*”, w której p. Stanisław Zarzewski usiłuje przedstawić mój artykuł „Nieskończona rewolucja” (w marcowym numerze *Kultury*) publicystyce Juliusza Mieroszewskiego. Jest to nota, mówiąc bardzo ogólnie, nieścisła.

Po pierwsze, przytoczona przez p. Zarzewskiego wypowiedź nie jest moja, lecz włoskiego pisarza politycznego Enzo Bettiza. Nie ja więc „piszę wręcz”. „Pisze wręcz” Bettiza, co w moim artykule zostało zaznaczone.

Po drugie, p. Zarzewski usunął z cytowanej przeze mnie i przez siebie wypowiedzi publicysty włoskiego jedno długie i dość istotne zdanie, które zbliża poglądy Bettizy do poglądów Gardera.

Po trzecie, p. Zarzewski pomija mój komentarz do wypowiedzi Bettizy. Bettiza zakończył ją tak: „Ale abstrahując nawet od faktu że cała ewolucja dziejów Rosji odbywała się raczej w drodze gwałtu dokonywanego na historii niż kompromisów z historią, nie należy zapominać że teza gradualistyczna ma za sobą wielkie zaprzeczenie: rok 1956”. Mój komentarz brzmi tak: „Nie należy o tym zapominać, ale nie ma też ani powodu ani potrzeby lekceważyć wszystkiego co ocalało po roku 1956. Jeśli wolno dziś myśleć o „doj-

rzewaniu sytuacji rewolucyjnej” w Rosji, to w znacznej mierze dzięki działaniu wprowadzonej wtedy w ruch presji ewolucyjnej. Dopiero ona, przybierając na sile i natrafiając wciąż na opór, obróci może kiedyś ostatni rozdział nieskończonej rewolucji w pierwszy rozdział nowej”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



15 marca 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem do redakcji p. Jana Darowskiego na „drukarstwo-emigracyjne” tematy, ogłoszonym w „Kulturze” za styczeń-luty br., ośmielam się zwrócić temu niewątpliwie żądanemu wiedzy uczniowi Gutenberga uwagę na innego jeszcze przy życiu „drukarskiego” emigracyjnego: pana Anatola Girsę z Detroit, znanego bibliofilom europejskim bardziej pod nazwą firmy *Oficina Warszawska na Obczyźnie*.

W szczególności zachęcam gorąco p. Darowskiego, aby zechciał przejrzeć sobie jeden z produktów „Oficyny Warszawskiej”, mianowicie książkę pt. „Stanislaus Polonus ein polnischer Frühdrucker in Spanien”, wydaną w Monachium w r. 1946.

Nie uchodzi też, myślę, nadymać słowa jak balony. Jeśli podziwu godne, i bardzo płodne placówki wydawnicze państwa Bednarczyków, czy pana Gliwy, nazwiemy, jak to czyni p. Darowski, *domami wydawniczymi*, to co nam zostanie na określenie działalności wydawniczej, np. *Instytutu Literackiego* w Paryżu?

Czyż piękne, z historią drukarstwa tak mocno związane, słowo *oficina drukarska* już nie wystarcza?

Pozostaje z głębokim szacunkiem,

Jan KOWALIK

Komunikat

25 ROCZNICA BITWY POD MONTE CASSINO

W roku 1969 przypada 25 rocznica bitwy pod Monte Cassino. Rocznicą ta będzie obchodzona specjalnie uroczystości. W tym celu w dniu 29. VII - 11. VIII 1969 r. będzie zorganizowany zjazd b. żołnierzy 2-go Korpusu, inwalidów spod Monte Cassino oraz rodzin poległych żołnierzy. Jednocześnie w tym samym czasie będzie zorganizowany światowy, dwutygodniowy zlot Harcerstwa Polskiego na Obczyźnie w rejonie Monte Cassino, połączony z uroczystym przekazaniem młodzieży tradycji walk o niepodległość.

Dla zorganizowania tych uroczystości powstał specjalny Komitet pod protektorem gen. W. Andersa i bpa Rubina.

Zjazd weteranów 2 Korpusu jest tak zharmonizowany, że odbędzie się na zakończenie Światowego Zlotu Harcerstwa Polskiego na obczyźnie. Zlot

ten odbędzie się w rejonie Monte Cassino w dniach 29 lipca do 11 sierpnia 1969 r., natomiast w dniach 9 i 10 sierpnia odbędą się wspólne uroczystości na samym cmentarzu Monte Cassino.

Program dla Harcerzy jest szczególnie urozmaicony. Do nich bowiem będzie należało uporządkowanie grobów żołnierskich i cmentarzy. Ta zaszczytna czynność zapisana im będzie do książeczek harcerskich. Nadto uczestnicy walk o Monte Cassino opisywać im będą przy ogniskach fragmenty i przebieg tych walk. Przewidziane jest także zwiedzanie pola walk. Wieczorem rejon walk oświetlony będzie rakietami.

Punkt kulminacyjny uroczystości przypada na dzień 10 sierpnia. W czasie Mszy św. odprawionej przez ks. biskupa dr. W. Rubina warty honorowe przy każdym grobie trzymać będą harcerka, harcerz lub inni przedstawiciele młodego pokolenia. Po przemówieniu gen. W. Andersa odbędzie się wręczenie sztandarów 15 Wileńskiemu Baonowi Strzelców i 16 Lwowskiemu Baonowi Strzelców, które jednocześnie odznaczone będą Krzyżem Virtuti Militari. Po tej ceremonii odbędzie się wielka defilada poprzedzona ogłoszeniem oddziału wojskowego 2 Korpusu jako patrona poszczególnych drużyn harcerskich. Od tej chwili każda z tych drużyn będzie musiała objąć opieką groby żołnierzy polskich tego oddziału, którego nazwę otrzyma dana drużyna czy hufiec.

Organizatorzy liczą na znaczny udział weteranów 2 Korpusu, a przede wszystkim młodzieży, której trzeba zapewnić 2 tygodniowy pobyt we Włoszech oraz kosztą przejazdu. W tym celu zaplanowana została wielka akcja zbiórkowa na listy, które rozesłano na cały świat. Ofiary wpłacać należy na: konto bankowe:

„Anniversary of Battle of Monte Cassino Fund” i przelać czek pod adresem: Ppłk. L. Gnatowski — „Sunnyside” Oswald Road, London S.W.17.

Adres Komitetu Wykonawczego: 42, Emperor's Gate, London S.W.7.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK.
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Korespondent „Kultury” w Stanach Zjednoczonych: Leopold TYRMAND,
State University of New York at Albany, Social Sciences,
1400 Washington Ave., Albany, N.Y. 12203.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1397176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonsneuve O., Montreal 28, Que., Tel.: 488-5224; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél.: 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 153 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYNASTY

Zawiera m.in. prace: Tadeusza Katelbacha: *Zet*; W.T. Drymmera: *Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939*; E. Puacza: *Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia*; T. Romera: *U kolebki pewnego sojuszu*; J. Weinsteina: *Scenariusz ministra Gafencu*.

Str. 240.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,00)



TOM 154 — KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CZARNY POLONEZ

P o e z j e

Str. 40.

Cena egz. F. 7 (dol. 1,75)



TOM 155 — CZESŁAW DOBEK

DRUGI RZUT

I INNE OPOWIADANIA

Str. 288.

Cena egz. F. 17 (dol. 4,00)



TOM 156 — WACŁAW IWANIUK

CIEMNY CZAS

P o e z j e

Str. 80.

Cena egz. F. 8 (dol. 2,00)

Cena 5,00 F